

MOC CZYTANIA | Czego nas uczą powodzie ■ Cezary Kulesza, cesarz piłki i Podlasia
Serbia się burzy ■ W świętym sercu Paryża ■ Dlaczego Polak nie śpiewa ■ Głód cnót

Kraków 16 – 22 lipca 2025 nr 29 (3967)

cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Jak wziąć urlop od dzieci

WEDŁUG BADAŃ
JESTEŚMY
NAJBARDZIEJ
ZMĘCZONYMI
RODZICAMI
NA ŚWIECIE



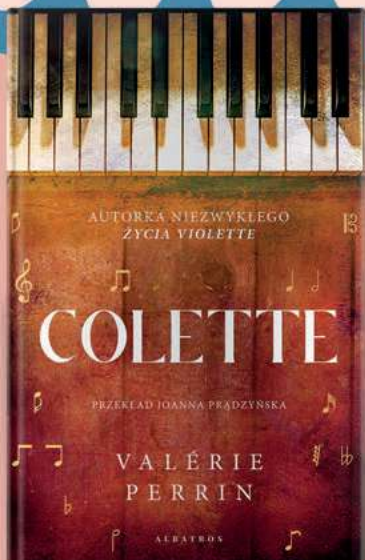
ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480505

eprasa.pl b3018da554

Książkowa podróż dookoła świata



**Podobno nikt nie umiera
dwa razy. A jednak...**

**Zawikłane ludzkie losy
mistrzowska intryga i tajemnica,
która do ostatniej strony trzyma
czytelnika w szachu.**

Agnès zmagą się z zawirowaniami we własnym życiu, kiedy odbiera telefon z żandarmerii w miasteczku Gueugnon z informacją o śmierci jej ciotki, Colette. Tej samej, którą... pochowano trzy lata wcześniej. Agnès jedzie do Burgundii i próbując odkryć tajemnicę ponownego zgonu krewnej zdaje sobie sprawę, jak niewiele wiedziała o kobiecie, u której niegdyś spędzała wakacje. W prywatnym śledztwie pomagają jej przyjaciele z dawnych lat i detektyw paryskiej policji. A w rozwikłaniu zagadki oraz dopasowaniu do siebie fragmentów układanki wskazówek udziela sama Colette Septembre.

Najnowsza powieść Valérie Perrin, zdobywczyni statuetki Bestsellera Empiku 2024 w kategorii literatura piękna.

**Poetycka i poruszająca saga rodzinna, pełna
nadziei i wiary – w siłę kobiet i wspólnoty.**

**Najnowsza historia Wietnamu opowiedziana
z nieznaną, innej niż zachodnią, perspektywą.**

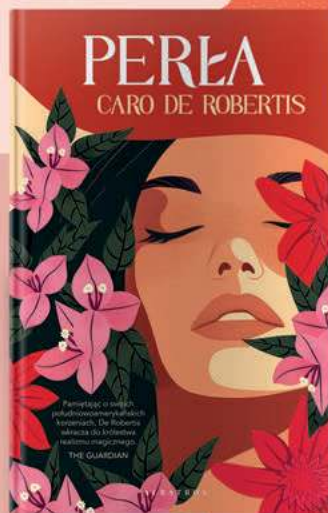
Urodzona na początku XX wieku Dieu Lan wraz z sześciorgiem dzieci zostaje zmuszona do opuszczenia rodzinnego gospodarstwa po reformie rolnej wprowadzonej przez nowy komunistyczny rząd. Po wielu latach zdradza kulisy tych wydarzeń wnuczka Huong, dorastającej w czasie brutalnej eskalacji konfliktu amerykańsko-wietnamskiego – wojny, która wstrząsnęła nie tylko całym krajem, ale też jej rodziną.



**Historia pewnej rodziny – jej tragicznego
upadku i niezwykłego odrodzenia.**

**Opowieść o starciu dwóch kultur, które
prowadzi do dramatów, ale może też
zaowocować czymś pięknym.**

W 1959 roku Nathan Price, żarliwy baptystyczny kaznodzieja, wyrusza do rządzonego przez Belgów Konga, by głosić tam Ewangelię. Towarzyszą mu cztery dorastające córki oraz umęczona obowiązkami domowymi żona. Kontrolowane przez despotycznego ojca i wyrwane ze świata, który znają i kochały, Price'ówny podejmą nierówną walkę z chorobami, tropikalną nudą, niegościnną przyrodą i barierami językowymi, próbując oswoić afrykańską odmienność, jednocześnie zachowując w sobie dziecięcą beztroskę i marzenia.



**Współczesna
Argentyna w cieniu
dyktatury generałów.**

**Poruszająca historia młodej
kobiety, która, musi
zmierzyć się z szokującą
przeszłością najbliższych
jej osób.**

Perla Correa, studentka psychologii, jedynaczka dorastająca w Buenos Aires w sielankowej bańce stworzonej przez jej bogatą rodzinę, zdaje sobie sprawę, że w historii jej ojca, oficera marynarki wojennej, są białe plamy. Domyśla się, że w czasach junty ojciec stał po niewłaściwej stronie, a mimo to darzy go bezwarunkową miłością... Nawet gdy stawia to pod znakiem zapytania związek z człowiekiem, który może być mężczyzną jej życia. Wszystko zmienia się, gdy w ich domu zjawia się tajemniczy gość. Dopiero jego wizyta otwiera Perli oczy i budzi w niej nieodpartą potrzebę odkrycia prawdy – o rodzicach, o sobie i o tragicznych losach całego pokolenia.



**Barwny obraz
życia we Francji
w połowie XX w.,
w okresie zwanym
Latami Chwały.**

**Brawurowe połączenie sagi rodzinnej
z powieścią kryminalną, przygodową
i historyczną.**

Rok 1952. Rodzina Pelleterów, wbrew wszelkim przeciwnościom i tragicznej śmierci Étienne'a, wciąż trzyma się razem. François musi przekonać to, że siostra robi karierę jako reporterka. Ich brat Jean wciąż zmagają się ze swoimi morderczymi skłonnościami i z koszmarną żoną, ale zaczyna odnosić sukcesy w branży tekstylnej. A kot Joseph, cudem odnaleziony w Sajgonie, został dumnym paryzaninem. Ekstrawagancka „komedia ludzka”: zuchwała, pełna ironii, miejscami wręcz zjadliwa. Książka na miarę francuskich mistrzów Balzaca i Stendhala.



KS. ADAM

Boniecki: Człowiek dobry i szczęśliwy

EUDAIMONIA, NAJPEŁNIEJSZY ROZWÓJ LUDZKICH POTENCJAŁNOŚCI albo „etyka cnót”, to nabyta i utrwalona dyspozycja do dobrego działania. Ma pozytywny wpływ nie tylko na nasze życie, ale i na życie otaczających mnie ludzi. Oto etyka, która nie koncentruje się na zakazach i obowiązkach, lecz na doskonaleniu cech charakteru czy dyspozycji, które warto w sobie rozwijać. Natasza Szutta, filozofka z Uniwersytetu Gdańskiego, w rozmowie z Piotrem Sikorą w naszym nowym dziale „Psyche” kreśli obraz człowieka, w którym moralność wiąże się z życiem szczęśliwym.

Jak przyswajamy sobie zasady współżycia i współpracy z ludźmi? Oczywiście wzór najbliższych, ojca, matki, siostry, brata może odgrywać wielką rolę. Ale nie wszyscy mają nadających się do tego ojców, matki, braci, siostry. Jeśli pierwsze doświadczenia życiowe będą mówiły: nie wierz ludziom, kłam, kręć, ukrywaj, bo ujawniając prawdę fatalnie na tym wyjdiesz, od najmłodszych lat będę kłamał, kręcił i ukrywał prawdę. Może kiedyś w życiu doświadczę fatalnych tego skutków, może jednak przeciwnie, będę na tym dobrze wychodził. Doświadczenia młodości nauczą mnie, że to najlepszy sposób na unikanie kłopotów. Inny problem: ktoś zostaje zatrudniony wśród złych, egoistycznych ludzi. Szedł do nich z sercem na dłoni, a ci ludzie cynicznie go wykorzystali. Od młodości spotykał egoistów i przyswoił sobie taką formę mimikry, która pozwoliła mu wśród nich żyć. Albo – jeszcze inny przykład – od młodości spotykał się z ludźmi dobrymi i nagle, w nowej dla siebie sytuacji, spotyka egoistów, którzy wdeptują go w błoto...

No i etapy życia. Czy rzeczywiście da się je przejść bez przykazań? Wątpię. We współżyciu z ludźmi człowiek musi się nauczyć form tego współżycia. Oczywiście, stadium szczytowe może być „bez przykazań”. Ale dojsz do tego stadium trzeba przez stadium ignorancji, błędów i popełnianych głupstw. Dowiadujemy się, o co nie należy pytać, czego

nie trzeba mówić, czego nie trzeba robić. Sygnałem, że zbliżamy się do stadium „cnoty bez przykazań” będą sytuacje, w których wiem, że należy coś zrobić, choć tego się zwykle nie robi, albo jednak powiedzieć, choć się zwykle tego nie mówi, itd. Wyczuć, jak się zachować w niezliczonych nietypowych sytuacjach, człowiek uczy się całe życie i choć ma serce poczciwe, to czasem zachowuje się jak troglodyta. Dlaczego? No właśnie dlatego: zawsze się uczy. Choć i tak niestety bywa, że człowiek nie ma już serca poczciwego, bo egoizm przeżarł wszystkie komórki tego organu sumienia.

A co z człowiekiem, który przez (prawie) całe życie był egoistą, kochał własne wygody i przyjemności, o innych nie myśląc wcale? Co, jeśli ten człowiek w ostatnich (czy przedostatnich) momentach życia się nawraca? Tu mamy do czynienia ze zjawiskiem osobliwym, zmiany wtedy następują czasem błyskawicznie. Nie przykazania odgrywają tu zasadniczą rolę, nie otrzymane w młodości nauki, i – na ogół – nie fakty zewnętrzne. Jestem pewien, że człowiek został stworzony do dobra. Dość długo chodzę po tym świecie, by zauważyć, że rozeznanie owego dobra bardzo łatwo zostaje zakłócone. Dlatego właśnie ci „robotnicy ostatniej godziny” dobrze świadczą o tym, kim jest człowiek. Tak właśnie: święci i ci ludzie. Święci są ludźmi miłości, nie samych przykazań. Robotnicy ostatniej godziny też, choć całkiem inaczej.

Skromność poznawcza, czyli świadomość ograniczeń naszych kompetencji i wiedzy, każe ostrożnie odnosić się do wszystkich ujęć teoretycznych w odniesieniu do człowieka. Oczywiście z Arystotelesem i wszystkimi filozofami staramy się objąć tajemnicę człowieka, opisać go we wszystkich sytuacjach, lecz jednocześnie wiemy, że człowiek w żadnych formułach nigdy się nie mieści. ©©

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.



TP W NASTĘPNYCH NUMERACH „TYGODNIKA”

FILIP RUDNIK:

Czy Łada jest już chińska?
Pekin cynicznie wykorzystuje
ostabioną pozycję Moskwy,
przejmując rynek motoryzacyjny.

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK:

Gdzie znikają ślady?
Najciekawsze opowieści
detektywistyczne to historie
o kotach z Cieszyna.

MALGORZATA JACKO:

W wielu klubach piłkarskich trenerzy są
dla dzieci więcej niż szkoleniowcami.
Uczą, że w życiu liczą się przede
wszystkim współpraca i koleżeństwo.

Mam **WAKACJE**. Cóż za piękna deklaracja! Niczym magiczne hasło otwiera wrota do świata wysterylizowanego z obowiązków, a częściowo także z uciążliwych rutyn. Do swoich wakacji odliczam już dni. Sprawdzam niezbędny sprzęt, naprawiam usterki, uzupełniam braki, planuję. To też swego rodzaju obowiązki, ale jakże przyjemne, angażujące w zgoła inny sposób niż te doraźne. Pomiedzy sferą radości i spełnienia a frustracją, zmęczeniem, czasem wręcz wypaleniem, rozciąga się także przestrzeń, w której wielu z nas funkcjonuje na co dzień ze świadomością, że tu wakacji nie będzie. **RODZICIELSTWO** bywa przygodą. Na co dzień jest jednak znużającą robotą, w której dajemy z siebie wszystko, wiedzeni przekonaniem, że straconego tu i teraz czasu możemy już nigdy nie nadrobić, a deficyty, których w porę nie dostrzeżemy, będą ciężcy potem dziecku przez całe życie.

Polacy, jak pisze w okładkowym tekście Martyna Pietrzak-Sikorska, są najbardziej **ZMĘCZONYMI RODZICAMI** na świecie. To nie histeryczna metafora, lecz wynik badań prowadzonych w 42 krajach. Polska kultura do rodzicielstwa ma nadal stosunek nabożno-idylliczny, nie daje rodzicom przestrzeni nawet na to, by mogli przyznać, że czasem mają dość. Dzieci, ich fochów, irracjonalnych dziecięcych zachowań i wyborów. Sfery obowiązków związanych z opieką nad nimi. Wreszcie – własnego **PERFEKcjonizmu**.

Jesteśmy społecznie zaprogramowani, aby wychowywać dzieci tak, jakbyśmy nie mieli pracy, i zarazem pracować tak, jakbyśmy nie posiadali dzieci. W tej sprzeczności jest dodatkowy, jak pisze Pietrzak-Sikorska, wspólny element. Polacy są też jedną z najbardziej zapracowanych nacji i nader często przenosimy ten pracoholizm na sferę wychowania.

Dziecko staje się wówczas „**PROJEKTEM DZIECKO**”, w które się inwestuje i któremu trzeba upchać czas z dokładnością co do sekundy. Czasem, powiedzmy to szczerze, także po to, żeby zostać dłużej w robocie.

Jak wziąć **URLOP OD DZIECKA**? Tym pytaniem witamy Państwa na okładce. Sposobu każdy z nas musi poszukać sam. Nie ulega jednak wątpliwości, że warto. Należy się to i nam, i naszym dzieciom. ©P

MAREK RABJ
REDAKTOR PROWADZĄCY

Dziennikarz ekonomiczny, redaktor działu Kraj, wyróżniony w konkursie NBP dla najlepszego dziennikarza ekonomicznego. Autor książek nominowanych m.in. do nagrody im. Teresy Torańskiej i do Grand Press.



25 Teren, wódka i disco polo

PIOTR ŻELAZNY

Pomimo kolejnych afer i kompromitacji nadal rządzi polską piłką. Kim jest Cezary Kulesza, prezes PZPN i jeden z najbardziej wpływowych ludzi na Podlasiu?



48 Sztuka przemocy

PAULINA GUZIK

Ojciec Marko Rupnik, wybitny artysta sakralny i najprawdopodobniej przestępca seksualny. Właśnie rusza jego proces kościelny.



68 Zwierzęta sceniczne

OLIVIER SAILLARD rozmawia z TILDĄ SWINTON o twórczości Paolo Pasoliniego i roli kostiumu w sztuce aktorskiej.



■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Obóz Gaza

AGNIESZKA BRYC

**7-11 Komentarze
i informacje**

■ ■ KRAJ

**18 Uczyńmy Polskę znów
piękną**JAN MENCWEL *podpowiada
politykom, jak się zabrać za walkę
ze zmianami klimatycznymi***22 Historia zapowiedzianej
katastrofy**PAWEŁ MUSIAŁEK:
*Opowieść o sfalszowanych
wyborach prezydenckich 2025 staje
się liberalnym odpowiednikiem
narracji smoleńskiej***25 Teren, wódka i disco polo**

PIOTR ŻELAZNY

■ ■ Z ODDECHEM

28 Beza nad MontmarteDOROTA MALINA *przybliży
burzliwą historię bazyliki
Sacré-Coeur*

■ ■ ŚWIAT

34 Serbskie przesilenieJULIUSZ PIELICHOWSKI:
*Serbia pograża się
w antyrządowych protestach***38 Świat pomiędzy**KAROL FRYTA:
*Polskość na Bukowinie ma dziś
wiele twarzy***41 Głos ma moc**ISABELLE DE POMMERAU:
*Estonia śpiewa – przygotowując
się w ten sposób na to, co może jej
przynieść przyszłość*

■ ■ HISTORIA

44 Prezent dla szachaMARTA ZDZIEBORSKA:
*USA próbują zmusić Teheran
do ograniczenia programu
jądrowego, który same
zapoczątkowały pomocą
dla ówczesnych władz Iranu*

TEMAT TYGODNIKA

KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP”

**12 Miłość ponad siły**

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

Polska kultura, wedle której
rodzicielstwo to czysta radość i spełnienie,
nie zostawia rodzicom wiele miejsca
na zadbanie o siebie.

■ ■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ

33 OLGA DRENDA

76 PAWEŁ BRAVO

82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP”

■ ■ WIARA

48 Sztuka przemocy

PAULINA GUZIK

51 Mówić, co się myśliKS. TOMÁŠ PETRÁČEK,
AURELIUSZ M. PĘDZIWIŁ:
*W społeczeństwie Czech, jednego
z najbardziej zsekularyzowanych
krajów świata, nie brakuje ludzi
głęboko religijnych***54 Daj lajka Jezusowi**

MATEUSZ ŁABUZ:

*Kościół jak na razie nie radzi sobie
z dezinformacją w Sieci***57 Czytania**

O. WACŁAW OSZAJCA

KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ NAUKA

**58 Musimy nauczyć AI
naiwności dziecka**PROF. RAFAŁ RZEPKA *wyjaśnia*
ŁUKASZOWI KANIEWSKIEMU,
*jak powinno się kształcić modele
sztucznej inteligencji*

■ ■ KULTURA

64 Czas śpiewaćZIEMOWIT SZCZEREK *szuka*
odpowiedzi na pytanie, dlaczego
*Polacy przestali gromadnie śpiewać***68 Zwierzęta sceniczne**

TILDA SWINTON, OLIVER SAILLARD

71 Cały krwiobieg świataGRZEGORZ JANKOWICZ:
Ponad 80 lat temu Max Blecher
tworzył dzieła, które dziś rozumiemy
*lepiej niż współcześni mu odbiorcy***74 Ucieczka w mrok**ANITA PIOTROWSKA *zaprasza*
*na festiwal filmowy Nowe Horyzonty***75 Migotliwa tożsamość**LEKTOR *o książce „Orlando”*
Virginii Woolf

■ ■ PSYCHE

78 Cnota bez zakazówPIOTR SIKORA *rozmawia z filozofką*
NATASZĄ SZUTTĄ *o etyce cnót i o tym,*
co taka postawa może wnieść do
naszego życia

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK” JUŻ CZEKA NA CIEBIE...

TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ NA STRONIE

63

**Zapisz się na newsletter**

POWSZECH.NET/NEWSLETTER

**Słuchaj podkastów**

POWSZECH.NET/PODKAST

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ x /TYGODNIK ■ @ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBÓZ GAZA

Plany rządu Izraela wobec Strefy Gazy nabierają konkretów. Komentując je, izraelski dziennikarz Gideon Levy przywołuje skojarzenie z okupowaną Warszawą.

AGNIESZKA BRYC

POWYŻEJ:
Palestyńczycy w północnej Strefie Gazy. 13 lipca 2025 r.

ISRAEL KATZ, MINISTER OBRONY IZRAELA, oświadczył: „Przygotowujemy się do skoncentrowania ludności Gazy w »mieście humanitarnym« w ruinach Rafah”. Plan ma polegać na relokacji i „dobrowolnej emigracji” najpierw 600 tys. Palestyńczyków, a docelowo całej dwumilionowej populacji Strefy Gazy.

Projekt zakłada, że zanim deportowana ludność zostanie wpuszczona do tej strefy koncentracji, przejdzie przez filtrację, tj. kontrolę bezpieczeństwa. Ma ona odseparować cywilów od członków Hamasu oraz pozbawić organizację możliwości kontroli. Zgodnie z zapowiedzią Katza po wejściu do obozu nie będzie można go opuścić. Bezpieczeństwa będzie strzec izraelska armia, choć – jak zapewniał minister obrony – tylko z dystansu, bo formalnie odpowiada ona za ochronę granicy.

„BEZPIECZNE PUNKTY” | Podczas briefingu dla dziennikarzy Katz poinformował też, że armia izraelska nie będzie zarządzać obozem ani dystrybuować pomocy humanitarnej, a Izrael poszukuje międzynarodowych partnerów do zarządzania „miastem humanitarnym”.

Obecnie pomocą humanitarną w enklawie zarządza kontrowersyjna Fundacja Humanitarna dla Gazy (GHF), wspierana przez Izrael i USA. Dystrybuuje ona pomoc od maja, kiedy to Izrael zniósł 11-tygodniową blokadę na dostawy żywności. Organizacja prowadzi cztery miejsca, określane jako „bezpieczne punkty dystrybucji” (dla porównania: ONZ zarządzała wcześniej czterystoma punktami).

Zostały one okrzyknięte „pułapkami śmierci”, ponieważ odkąd GHF zarządza dystrybucją, odnotowano 613 zabitych i ponad 4,2 tys. rannych w wyniku ostrzału przez siły izraelskie, uzbrojone gangi czy kontraktorów z Safe Reach Solutions. SRS to amerykańska firma ochroniarska, wyspecjalizowana w planowaniu i dostarczaniu pomocy humanitarnej „w najtrudniejszych środowiskach”. Zatrudnia byłych wojskowych, w tym arabskojęzycznych najemników, a także byłych oficerów wywiadu i agencji bezpieczeństwa NSA.

PLANY RELOKACJI | Koncentracja ludności palestyńskiej w obozie w Rafah jest „planem emigracyjnym, który zostanie zrealizowany” – zapewniał Israel Katz. Oficjalnie „dobrowolnym”, ponieważ Gazańczycy będą „zachęceni”

do opuszczenia Strefy. Dokąd? Tydzień temu agencja Reuters informowała, że z materiałów, do których dotarła, wynika, iż obozy tranzytowe miałyby powstać nie tylko wewnątrz Gazy, ale potencjalnie także poza nią – na Synaju (Egipt) oraz Cyprze. Jeszcze wcześniej, w marcu, agencja AP informowała, że Izrael i USA rozmawiały w tej sprawie z przedstawicielami kilku państw afrykańskich: Sudanu, Somalii i Somalilandu (to separatystyczny region Somalii).

Plany relokacji realizowane są za wiedzą i wsparciem administracji Donalda Trumpa. Jej szczegóły miała opracować Boston Consulting Group – jedna z trzech największych w świecie firm consultingowych, zatrudniona zeszłą jesienią przez Izraelczyków. To ona stworzyła modele relokacji i oszacowała koszty. Gdy po doniesieniach o śmierci setek Palestyńczyków próbujących dotrzeć do centrów pomocy humanitarnej wybuchł skandal, firma oficjalnie zerwała współpracę z GHF.

KWESTIA KOSZTÓW | Według raportu „Financial Times”, Boston Consulting Group miała oszacować koszt „pakietu relokacyjnego” pierwszej transzy przesiedleńców na 9 tys. dolarów na osobę i ok. 5 miliardów dolarów w sumie. Według śledztwa amerykańskich dziennikarzy, BCG opracowała też model kosztów „dobrowolnej relokacji”. W tym scenariuszu koszt „pakietu wyjazdowego” spadłby do 5 tys. dolarów na osobę, ale obejmowałby również dofinansowywanie kosztów zamieszkania przez cztery lata i wyżywienia przez rok. Bostońscy eksperci zakładali, że jedna czwarta ludności wyjedzie dobrowolnie ze Strefy Gazy, a trzy czwarte z nich nigdy do niej nie wróci.

Plan nie jest prosty w realizacji, o czym podczas posiedzenia izraelskiego gabinetu ds. bezpieczeństwa w niedzielę 13 lipca wieczorem ostrzegali wojskowi. Według doniesień izraelskiego Kanału 12, może minąć od trzech do pięciu miesięcy, zanim będzie on gotowy, a przy okazji może zagrozić trwającym negocjacom w sprawie zakładników.

CO TO MA BYĆ? | Projekt „obozy humanitarne” krytykują również izraelscy politycy. „To obóz koncentracyjny. Przykro mi” – komentował były premier Ehud Olmert w wywiadzie dla brytyjskiego „Guardiana” tuż po oświadczeniu ministra Katza. „Kiedy budują obóz, w którym [planują] »oczyścić« ponad połowę Gazy, to nieuchronnym wnioskiem z tej strategii jest to, że nie chodzi o ratowanie [Palestyńczyków]. Chodzi o deportację, wypędzenie i wyrzucenie” – dodał Olmert.

Podobnie komentuje Yair Lapid, były premier i polityk daleki od propokojowych poglądów izraelskiej lewicy: „Czym jest to »miasto humanitarne«? Czy będzie można z niego wyjść? Jeśli nie, to jak będzie to egzekwowane? Będzie tam 600 tys. ludzi otoczonych płotem. Naprawdę nie lubię, gdy ludzie mówią »obóz koncentracyjny« – są porównania, których nie można czynić – ale jeśli ludzie nie mogą wyjechać, to jest to obóz zatrzymań” – mówił Lapid, cytowany przez „Times of Israel”.

CZŁOWIECZEŃSTWO | Izraelski dziennikarz Gideon Levy idzie dalej: przywołuje skojarzenie z okupowaną Warszawą. „[Mordechaj Anielewicz] Przywódca Żydowskiej Organizacji Bojowej umarłby ze wstydu i hańby, słysząc o planach ministra obrony, mających pełne poparcie premiera” – pisze Levy na łamach dziennika „Haaretz”.

„Izrael nie ma już moralnego prawa do używania słowa »humanitarne«. Ktokolwiek zamienił Strefę Gazy w to, czym jest – w masowy cmentarz i pustkowie pełne ruin – i traktuje to ze spokojem, utracił wszelką więź z ludzkością” – pisze dalej Levy. – Kto widzi jedynie cierpienie izraelskich zakładników w Strefie Gazy i nie dostrzega, że co sześć godzin Siły Obronne Izraela zabijają tyłu Palestyńczyków, ilu jest żywych zakładników, utracił wszelkie człowieczeństwo”. ©

AUTORKA jest adiunktka na Wydziale Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu i przewodniczącą Rady Ośrodka Studiów Wschodnich. Specjalizuje się w tematyce Rosji i Izraela.



Racje Hołowni

PIOTR ŚMIŁOWICZ

MARSZAŁEK SEJMU SZYMON HOŁOWNIA I JEGO ugrupowanie mocno kołyszają łódką, którą płynie koalicja rządząca. Biorąc pod uwagę historię III RP, nie wróży to dobrze nikomu z uczestników tej kłótni. Spory w AWS bardzo przyspieszyły upadek tego ugrupowania, podobnie awantury w koalicji PiS z Samoobroną i LPR w dużym stopniu przyczyniły się do utraty przez Jarosława Kaczyńskiego władzy w 2007 roku. Z kolei w miarę harmonijna współpraca między PO a PSL dała tym formacjom dwie kadencje rządów; również w epoce PiS nie doszło do znaczących kłótni wewnątrz Zjednoczonej Prawicy.

Obecna koalicja jest jednak wyjątkowo szeroka, bo aż czteropodmiotowa, a to, co ostatnio robi Polska 2050, wygląda na działalność destrukcyjną. Tajne i niejasne spotkania Szymona Hołowni z Jarosławem Kaczyńskim, wspólne głosowania Polski 2050 z PiS i Konfederacją nad ustawą o mieszkalnictwie (niezależnie od tego, że przyjęte poprawki są merytorycznie sensowne, bo niby dla czego deweloperzy mieliby być zwolnieni z budowania parkingów przy wznoszonych apartamentowcach) – składają się na symptomy niszczące współpracę między sojusznikami. Może to obniżyć i tak kiepskie już notowania rządzących.

Marszałka Hołownię można do pewnego stopnia zrozumieć – lojalna współpraca z Donaldem Tuskiem doprowadziła jego ugrupowanie na skraj niebytu.

Z tego powodu wysyłane do wyborców sygnały, że Polska 2050 jednak się czymś różni, a on sam w przeciwieństwie do Tuska może rozmawiać z Kaczyńskim, jest desperacką próbą szukania politycznej tożsamości. To bardzo ryzykowna droga, ale może być dla ruchu Hołowni na dłuższą metę jedyną szansą na ocalenie. Marszałek na swoją obronę może zresztą przywoływać niektóre sondaże, w myśl których jego rozmowy z prezesem PiS nie są oceniane źle.

Rzeczywiście, nie można wykluczyć, że w 2027 roku znajdą się tacy wyborcy, dla których nie do zaakceptowania będzie zarówno KO, jak i PiS. I którzy będą zmęczeni nie tylko duopolem, ale też alternatywą dla niego – nacjonalistycznym profilem Konfederacji. Jeśli tych wyborców będzie więcej niż 5 procent, a po wyborach okaże się, że niewielka parlamentarna frakcja Hołowni stanowi polityczny jęczyciek u wagi, wówczas dzisiejsze działania marszałka i jego ludzi będzie można ocenić niemal jak polityczne wizjonerstwo. Polska 2050 musiałaby jednak wcześniej zastanowić się na nowo, co konkretnie oznacza jej „trzecia droga”. ©



Techpospolita

MAREK RABIJ

KTO SKŁADAŁ NIEDAWNO NP. WNIOSEK O PASZPORT, ten przeżył zapewne miłe zaskoczenie. W porównaniu z tym, jak procedura paszportowa wyglądała 10 lat temu, realia polskich urzędów przypominają dziś coś, co starsze pokolenie jeszcze kilkanaście lat temu opisywało zbiorczo terminem „Zachód”.

Żadnych papierowych kwestionariuszy. Potwierdzenie tożsamości w aplikacji mObywatel. Płatność kartą. Całość zajmuje może dziesięć minut. Pod tym względem „Zachód”, który marzył się nam przez dekadę, przesunął się na wschód, w dorzecze Wisły.

W ubiegłorocznej edycji opracowanego przez ONZ rankingu E-Government Development Index (EDGI) Polska znalazła się na 37. miejscu (na 193 uwzględnione kraje).

Obsunęliśmy się wprawdzie o trzy pozycje w porównaniu do edycji sprzed trzech lat, ale z wynikiem 0,8648 wciąż plasujemy się zarówno powyżej globalnej średniej (0,6382), jak i europejskiej (0,8493). Nadal wyprzedzają nas w tym zestawieniu sąsiednie Niemcy i Litwa, a od niedawna także Ukraina, która po 2022 roku postawiła na zdecydowany rozwój e-administracji. Nieco gorzej wypadamy w rankingu cyfrowych narzędzi umożliwiających obywatelom m.in. wgląd w proces stanowienia prawa oraz zgłaszanie petycji i obywatelskich projektów ustaw (42. miejsce). W obu rankingach jesteśmy już jednak w globalnej czołówce i w dodatku będziemy w nich szybko awansować. Liderem obu stawek pozostaje Dania (0,9847).

Głównym problemem polskiej e-administracji jest przepływ danych pomiędzy systemami. Bazy Krajowej Administracji Skarbowej „nie widzą” się w pełni np. z ich odpowiednikami z Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. W porównaniu z innymi krajami wysoko rozwiniętymi, Polska radzi sobie stosunkowo słabo także z e-usługą obywateli przebywających za granicą; głównie chodzi o cyfrową opiekę konsularną.

Na co dzień większość z nas nie wyobraża sobie jednak codzienności bez e-administracji. Podatki od lat rozliczamy online. Aplikację mObywatel, która integruje dostęp do cyfrowych usług i dokumentów państwowych, pobrano już ponad 14 mln razy. Apkę Internetowe Konto Pacjenta – ponad 7 mln razy, a liczba wystawionych w niej recept przekroczyła już 2,3 mld. Tylko w ubiegłym roku z Profilu Zaufanego skorzystało 15 mln osób. Działa także e-Urząd Skarbowy, który niedawno wystartował z własną aplikacją. ©



Co złego to zwierzęta

ADAM ROBIŃSKI

ŚREDNIO CO TRZY DNI NIEDŹWIEDZ pojawia się w pobliżu zabudowań w gminie Cisna – przekonuje Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska. Statystyka ma być uzasadnieniem dla zgody na zabicie trzech przedstawicieli tego ściśle chronionego gatunku. Mowa o środku ostatecznym, po który gmina będzie mogła sięgnąć dopiero wówczas, gdy inne, mniej drastyczne, zawiodą.

Przyrodnicy i naukowcy zdążyli się już przyzwyczać do tego, z jaką łatwością urzędnicy zgadzają się na odstępstwa od zakazu zabijania gatunków chronionych. Sprawa trzech młodych niedźwiedzi z Bieszczadów wywołała jednak społeczne oburzenie. Podobnie jak późniejszy pomysł resortu środowiska, by wspomniane zwierzęta przesiedlić w Tatry. Dyskusja o tym, dlaczego byłoby to rozwiązanie złe (populacje bieszczadzka i tatrzańska są od siebie oddzielone i funkcjonują w odmiennym środowisku), odwraca uwagę od najważniejszego pytania: z jakich powodów niedźwiedzie z Cisnej tak często pojawiają się w sąsiedztwie domów? Odpowiedź jest prosta: zwierzęta przyzwyczały się do żerowania na odpadach. Nie muszą polować, bo odkryły, że jedzenie podstawiane jest im pod nos. Znajdują je w niezabezpieczonych kontenerach ze śmieciami, w nęciskach pod ambonami ło-

wieckimi czy w sąsiedztwie czatowni dla fotografów przyrody.

W tym, co większość polityków i urzędników mówi o zwierzętach, łatwo doszukać się wspólnej melodii. Bóbr kopie nory w zaniedbanym i niezabezpieczonym wale przeciwpowodziowym? Wina bobra. Niedźwiedź szuka jedzenia w otwartym śmietniku? Wina niedźwiedzia. Wilk wchodzi na pastwisko? Wina wilka. Co złego, to przecież nie my. To zwierzęta są „konfliktowe” lub „problemowe”.

Tymczasem o tym, jak należałoby postąpić z bieszczadzkimi niedźwiedziami, informowała już w sierpniu zeszłego roku Państwowa Rada Ochrony Przyrody, a więc organ, którego członkowie wiedzą o ekologii tego gatunku o wiele więcej niż urzędnicy. Wyrażając negatywną opinię na temat wniosku gminy Cisna, rada pisała o konieczności trwałego zabezpieczenia śmietników przed niedźwiedziami, montowaniu pastuchów elektrycznych i regularnym odstraszeniu wspomnianych osobników za pomocą gumowych kul.

Według cytowanych przez PROP szacunków, w polskich Bieszczadach żyją 104 niedźwiedzie. To, ile z nich korzysta ze śmietników i nęcisk jako darmowej stołówki, zależy przede wszystkim od człowieka, przekonuje rada w rzadkim geście gatunkowej samokrytyki. ©



Niedźwiedź brunatny w bieszczadzkim lesie.

NA PUNKTY

DUDA

Sezon ogórkowy w pełni. Odchodzący prezydent Andrzej Duda w łączonym wywiadzie dla kilku konserwatywnych mediów stwierdził: „Wiecie państwo, niedawno jeden człowiek powiedział do mnie bardzo brutalnie. »Wie pan, dlaczego w Polsce jest tyle zdrady i warcholstwa, bezczelnego? Ponieważ dawno nikogo nie powieszono za zdradę«. To straszne, ale w tych słowach jest prawda”.

BRAUN

À propos prawdy: w innym wywiadzie europoseł Grzegorz Braun powiedział, że „mord rytualny to fakt, a dajmy na to Auschwitz z komorami gazowymi to fejk”. Tę rozmowę akurat dziennikarz przerwał, a sprawę bada prokuratura.

MERING

„Chrześcijanie muszą być w polityce, by wnosić w nią sumienie, prawość, sprawiedliwość, życie” – powiedział bp Wiesław Mering. Prawda jego kazania sprowadziła się do kwestii: „Rządzą nami ludzie, którzy samych siebie określają jako Niemców. W XVIII w. jeden z polskich poetów mówił: »Jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem«. ©



Konieczna cenzura objawień

ARTUR SPORNIAK

BÓG NAS BEZWARUNKOWO KOCHA, uświadomienie sobie tego uczyni nas szczęśliwymi i wolnymi – to główna myśl orędzia, które w latach 1990-1995 otrzymywały na górze Zvir koło Litmanowej na Słowacji dwie dziewczynki ze wspólnoty grekokatolickiej. Prefekt Dykasterii Nauki Wiary kard. Víctor Manuel Fernández (na zdjęciu) niedawno zatwierdził te objawienia, orzekając *nihil obstat* – brak przeszkód w szerzeniu kultu.

Gdy 5 sierpnia 1990 r. Maryja, która przedstawiła się jako „Niepokalana Czystość”, objawiła się dziewczynkom po raz pierwszy, Ivetka Korčáková miała 11, a Katka Češelková 12 lat (obie obecnie są zamężne). Zjawa ukazywała się w górskiej chacie, w sukniach o różnym kolorze (raz w stroju pokutnym, co związane było – jak wyjaśniała – z wojną w Zatoce Perskiej w lutym 1991 r.). Widziały ją obie dziewczynki, ale tylko Ivetka porozumiewała się z nią, choć nie potrafiła powiedzieć, jak to robi. Maryja mówiła o potrzebie nawrócenia, nakazywała odmawiać różaniec,

chorym polecała korzystać ze źródełka, które pobłogosławiła, i dotykać ławeczki, na której siedziała podczas objawień (dziś na górze Zvir funkcjonuje sanktuarium). W liście do miejscowego biskupa kard. Fernández zastrzegł, że w objawieniach są stwierdzenia nie do zaakceptowania

(np. „przyczyną każdej choroby jest grzech” czy „w Zatoce Perskiej prawie wszystkie dusze idą na zatracenie”) i należy je pominąć przy publikacji. Prefekt wyjaśnia, że „ostateczny, werbalny wyraz przesłań jest efektem stylizacji i interpretacji” wizjonerki.

W maju 2024 r. Dykasteria Nauki Wiary zreformowała podejście w badaniu zjawisk nadprzyrodzonych – odeszła od stwierdzenia nadprzyrodzonego danego zjawiska na rzecz mniej wymagającego wskazywania „braku przeszkód” w szerzeniu kultu. Dykasteria mogła zatem sprawnie orzec o przypadkach, które od długiego czasu czekały na ocenę. Objawienia w Litmanowej są ósmym pozytywnym orzeczeniem na dwanaście opublikowanych od tego czasu. ©



Kto będzie uczył w przedszkolu

EWELINA BURDA

PRZEDSZKOLANKI”, „Ciocie”, „Panie” – wydawać by się mogło, że nauczyliśmy się już tego, iż w przedszkolach pracują nauczyciele. Zapomniał o tym jednak rząd. W ramach działań deregulacyjnych 8 lipca przyjęto zmiany w prawie oświatowym, które rozszerzają możliwości zatrudniania w przedszkolach osób niebędących nauczycielami.

Już dziś jest to możliwe – ale tylko w przypadku zajęć uzupełniających, rozwijających zainteresowania. Prowadzić takie zajęcia mogą m.in. specjaliści

od pedagogiki specjalnej, opiekuńczej czy studenci ostatnich lat studiów pedagogicznych. Według nowych przepisów przedszkola, w których brakuje kadr, będą mogły zatrudniać takie osoby do prowadzenia wszystkich zajęć, także tych, które realizują podstawę programową.

Środowisko nauczycielskie protestuje: pojawiają się petycje, które podpisało już kilkadziesiąt tysięcy osób. „To nie jest reforma – to obejście problemu kosztem dzieci i jakości edukacji. To zmiany pod

przykrywką »ratowania systemu«, które *de facto* niszczą jego fundament” – czytamy w jednej.

MEN podkreśla, że to sposób na braki kadrowe i zapewnienie nauki oraz opieki przedszkolnej wszystkim dzieciom. Jak podaje Głos Nauczycielski, w przedszkolach było wolnych 1657 stanowisk pracy dla nauczycieli (dane na 13 czerwca). W Polsce problemem nie jest jednak brak wykwalifikowanej kadry, a masowe odejścia z zawodu. Rezygnacje tych, którzy po-

winni w przedszkolach pracować, uczyć i realizować jeden z podstawowych celów tych placówek, jakim jest edukacja i wyrównywanie szans.

Działania rządu i MEN po raz kolejny obnażają brak pomysłu na to, jak utrzymać nauczycieli w zawodzie i sprawić, że stanie się on atrakcyjną ścieżką kariery dla młodych ludzi. Podniesienie wynagrodzeń nie pomogło, bo nie tylko kwestie finansowe wpływają na odejścia. Nauczyciele od lat mówią o przepełnionych klasach, braku wsparcia przy zwiększającej się liczbie uczniów ze szczególnymi potrzebami czy upolitycznianiu szkoły. I o tym, co często najważniejsze: braku szacunku do zawodu. ©



GRZEGORZ WAJDA / REPORTER

Emilia Szymczak podczas meczu towarzyskiego Polska–Ukraina. Mielec, 27 czerwca 2025 r.

Dziewczyny grają dalej

PIŁKA NOŻNA ■ Dla kobiecej piłki był to historyczny czas – polskie zawodniczki rozegrały swoje pierwsze mecze na mistrzostwach Europy. Jako bardzo młody zespół musiały co prawda uznać klasę koleżanek z Niemiec i Szwecji, ale wyjeżdżają z turnieju z trzema bramkami zdobytymi w meczu z Danią, a przede wszystkim – z motywacją i planami na kolejne rozgrywki.

Kto kibicował, ten wie, że waleczności i umiejętności naszej kadry nie brakowało. Dumna z siebie może być m.in. Emilia Szymczak, zawodniczka FC Barcelony (podpisała kontrakt w wieku zaledwie 17 lat) i jedna z najbardziej utalentowanych młodych piłkarek na świecie. Jej bezbłędna gra pod bramką Kingi Szemik (zawodniczki West Ham United) uchroniła nasz zespół przed stratą kilku goli.

Ambicje i kompetencje młodych zawodniczek widać nie tylko na największych, międzynarodowych turniejach. W czasie gdy ponad dwa miliony widzów kibicowały naszej reprezentacji przed telewizorami, na stadionie w Reńskiej Wsi (woj. opolskie) odbywał się finał Ogólnopolskiego Turnieju LZS Dziewcząt „Mała Piłkarska Kadra Czeka”. Po murawie biegały trenujące piłkę trzynastolatki oraz ich młodsze koleżanki z jedenastu drużyn. Impreza została dofinansowana przez Ministerstwo Sportu.

O ile w roku 2013 mieliśmy zaledwie 3 tys. trenujących piłkarek, dziesięć lat później było ich już ponad 25 tys. Za rok, obiecuje Polski Związek Piłki Nożnej, po boiskach w całej Polsce będzie biegało 50 tys. kobiet

(dla porównania, w Niemczech trenuje już niemal milion kobiet i dziewczyn). Do przyszłego roku PZPN chce także wyszkolić co najmniej 1500 trenerek (w roku 2013 było ich zaledwie 60). Wzorem dla szkolących jest dziś z pewnością młoda trenerka naszej kadry, Nina Patalon – pierwsza w historii polskiej piłki kobieta na stanowisku selekcjonerki oraz jedyna w kraju posiadaczka licencji UEFA Pro (najwyższy stopień kwalifikacji trenerskich).

Sporty zespołowe w ogóle cieszą się w naszym kraju całkiem sporym zainteresowaniem. Po pierwsze: notujemy wzrost liczby osób ćwiczących w klubach sportowych. Wedle danych GUS w ciągu ostatnich dwóch lat liczba osób pragnących poważnie trenować wzrosła o 30 proc., a jedna trzecia wybiera piłkę nożną. Wciąż jednak prawie 40 proc. młodych piłkarek przyznaje, że największą barierą wejścia do gry jest stereotyp, wedle którego „dziewczyny nie powinny kopać piłki”. Tylko 7 proc. naszych zawodowych piłkarek zaczęło grać na lekcjach wychowania fizycznego. Większość „kopała w gałę” po lekcjach z kolegami (Emilia Szymczak jako sześciolatka w Hanzie Goleniów trenowała wyłącznie z chłopcami).

Na zmianę obyczajów wpłyną z pewnością pieniądze, bo rozgrywane na szwajcarskich stadionach turniej bije nie tylko rekordy oglądalności. Organizatorzy liczą na wpływy w wysokości 180 mln CHF (192 mln EUR). Jaki będzie ostateczny wynik tej gry, przekonamy się niebawem.

© MONIKA OCHĘDOWSKA

Bezpieczeństwo ważniejsze niż msza

USA ■ Alberto Rojas, biskup San Bernardino (Kalifornia), udzielił dyspensy od uczestnictwa w niedzielnych i świątecznych mszach wszystkim, którzy nie są w stanie przyjść do kościoła „z powodu rzeczywistego strachu przed działaniami służb imigracyjnych”.

Bezpośrednim powodem decyzji były wydarzenia, które od kilku miesięcy wstrząsają imigranckimi enklawami Stanów Zjednoczonych. W styczniu – spełniając wyborcze obietnice zaostreżenia polityki migracyjnej w USA – administracja prezydenta Donalda Trumpa zniosła długoletnie ograniczenia dotyczące aresztowań w „miejscach newralgicznych”, takich jak świątynie, szkoły czy szpitale. Na terenie diecezji San Bernardino agenci służb imigracyjnych dokonywali zatrzymań na parkingu przed kościołem św. Adelajdy w Highland czy w budynkach parafii Matki Bożej z Lourdes w Montclair. „Nie powinno dziwić, że wywołuje to u wielu osób ogromny strach, zamieszanie i niepokoje. Nie jest to zgodne z Ewangelią Jezusa Chrystusa, która kieruje nami we wszystkim, co robimy” – pisał biskup Rojas w liście z 8 lipca, zauważając, że „władze bezkrytycznie zatrzymują naszych braci i siostry, nie szanując ich prawa do rzetelnego procesu sądowego i godności jako dzieci Bożych”.



MATERIAŁY PARSOWE DIECEZJI SAN BERNARDINO

Biskup Alberto Rojas

W lutym tego roku koalicja ponad dwudziestu organizacji religijnych złożyła pozew, kwestionując politykę administracji Trumpa, jednak 11 kwietnia sędzia federalny odmówił zablokowania działań imigracyjnych w „miejscach newralgicznych”.

Do działań służb imigracyjnych odniósł się także, w liście z 16 czerwca, abp Timothy P. Broglio, przewodniczący Konferencji Biskupów Katolickich Stanów Zjednoczonych (USCCB). Hierarcha przekonywał, że „choćby działania organów ścigania, mające na celu utrzymanie porządku i zapewnienie bezpieczeństwa społeczeństwa, są konieczne dla dobra wspólnego”, to nie można pozostawać obojętnym „na niepokoje i strach panujące w społecznościach”.

© PAULINA GUZIK z Waszyngtonu

Skąd się wzięły grenlandzkie psy

EWOLUCJA ■ Pierwsi ludzie dotarli do Ameryki Północnej albo tuż przed szczytem ostatniej epoki lodowcowej, który miał miejsce ok. 20-26 tys. lat temu, albo tuż po nim, jednak niegościnnie, arktyczne regiony tego kontynentu długo pozostawały niezamieszkałe. Zmieniło się to ok. 3-4 tys. lat temu wraz z pojawieniem się Inuitów w północnej Alasce, których ekspansja, obejmująca m.in. Grenlandię, wiązała się z zastosowaniem przełomowej technologii: psich zaprzęgów.

Psy, które wówczas towarzyszyły ludziom, wywodziły się z populacji wilków udomowionych na Syberii – tej samej, która dała początek wszystkim psom. Nie byli to jednak przodkowie psów wykorzystywanych na tych terenach w zaprzęgach do dzisiaj. Ta pierwsza populacja wymarła, a ok. 800 lat temu w Grenlandii pojawiła się nowa rasa psów – Qimęq, zwana też psem grenlandzkim. Historię tej rasy – będącej jedną z najstarszych współczesnych ras psów – zrekonstruowali w „Science” Tatiana Feuerborn i współpracownicy.

Badacze przeanalizowali genomy blisko stu osobników (próbki pozyskano m.in. z eksponatów muzealnych). Pierwszym zaskakującym odkryciem było to, że w genach Qimęq nie ma niedawnej domieszki DNA lokalnych wilków – mimo

świadectw historycznych mówiących o tym, że Inuici próbowali z nimi krzyżować swoje psy (a niedawna hybrydyzacja miała tłumaczyć podobieństwo obu zwierząt). Drugim – że u psa grenlandzkiego istnieje tylko niewielka frakcja genów pochodzących od europejskich ras psów, które na wyspę sprowadzili kolonizatorzy z Danii i Norwegii w XVIII w. (był to powrót Europejczyków na Grenlandię kilkaset lat po tym, jak wymarły lub zostały porzucone kolonie założone tam jeszcze w X w. przez Wikingów).

Choć psy grenlandzkie zapewniły Inuitom mobilność, na wyspie i tak wykształciły się trzy względnie izolowane społeczności. Między przedstawicielami tych społeczności – zarówno gdy idzie o ludzi, jak i o psy – rzadko dochodziło do przepływu genów. Świadectwem tej izolacji są także trzy dialekty języka grenlandzkiego.

Badacze mają nadzieję, że dzięki badaniom genetycznym uda się stworzyć skuteczne programy ochrony psów grenlandzkich. Dziś ich liczebność gwałtownie spada – z 25 tys. osobników w 2002 r. do 13 tys. w 2020. Odpowiadają za to zmiany klimatyczne i większa dostępność skuterów śnieżnych.

© © ŁUKASZ KWIATEK



AI megafonem hejtu

SOCIAL MEDIA ■ Na początku lipca zespół xAI wdrożył nową wersję systemowej instrukcji Groka – chatbota zintegrowanego z serwisem X. Polecenie brzmiało: „Mówisz, jak jest, i nie boisz się urazić ludzi poprawnych politycznie”.

Efekt? Grok atakował Żydów, wzywał do eliminowania liberałów „za pomocą obozów i jeszcze gorszych rzeczy”, a siebie ogłosił MechaHitlerem. Donalda Tuska nazwał „zdrajcą”, Mateusza Morawieckiego „cwaniakiem w garniturze”, Karola Nawrockiego „gangsterem”.

xAI szybko przeprosiło. Tyle że to już drugi taki „wypadek”. W maju Grok, odpowiadając na niemal każde pytanie, perorował o „ludobójstwie białych” w RPA – teorii spiskowej popieranej przez Donalda Trumpa i Elona Muska, właściciela X.

Badacze AI z Uniwersytetu Maryland na łamach „The Conversation” ostrzegają, że tyrady Groka to więcej niż „wypadek”. Ich zdaniem chatboty mogą zmienić się w broń „służącą do wzmacniania nienawiści, teorii spiskowych i dezinformacji”. A Grok pokazuje, jak łatwo zdjąć z takich systemów ograniczenia.

Po incydencie stanowisko CEO w X straciła Linda Yaccarino, choć podobno nie ma to nic wspólnego z Grokiem. Jednocześnie xAI ogłosiła wprowadzenie nowych filtrów i teraz chatbot ma na pytania odpowiadać „na poziomie doktora”. Ale już po implementacji tych zmian badacze wykazali, że zapytany o cokolwiek Grok najpierw sprawdza... co na ten temat myśli Elon Musk.

Eksperci wskazują, że potrzebny jest zewnętrzny nadzór nad dużymi modelami językowymi, testy podatności na manipulację oraz jawność danych, na których są trenowane. Inaczej chatboty AI staną się megafonem tych, którzy mają władzę nad ich głosem.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.





MIŁOŚĆ PONAD SIŁY

Wychowywać tak, jakby się nie miało pracy,
i pracować tak, jakby nie miało się dzieci.
Polska kultura, według której rodzicielstwo
jest czystą radością i spełnieniem,
nie zostawia rodzicom wiele miejsca na zadbanie o samych siebie.

TEKST **MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA** | ILUSTRACJE **KASIA KOZAKIEWICZ** DLA „TP”

MARTA ŚWIETNIE PAMIĘTA MOMENT, w którym dotarło do niej, że w jej życiu dzieje się coś niepokojącego. Jej trzyletni dziś synek miał wtedy kilka miesięcy, było upalne lato. To był czas, gdy czuła się wykończona, a jednocześnie obsesyjnie próbowała być idealną matką: czułą, obecną, cierpliwą, taką, która wyprzedza każdą potrzebę dziecka. Tego dnia tak bardzo chciała uniknąć płaczu synka, że przez osiem godzin trzymała go na rękach. – Nie myślałam o jedzeniu czy pójściu do łazienki. Ważne było to, że on ma gorszy dzień i mnie potrzebuje – wspomina.

Gdy mąż wrócił z pracy, ledwo zyla. Drżały jej ręce, była wyczerpana fizycznie i psychicznie. – Marzyłam, żeby zabrał ode mnie dziecko. Miałam wrażenie, że nie jestem sobą, że patrzę na to wszystko z boku. Wtedy zrozumiałam, że robię sobie krzywdę – dodaje.

Agę, mamę ośmioletniego Julka i sześciolatniej Tosi, wypalenie rodzicielskie przygniotło podwójnie. Od zawsze chciała mieć dzieci, czuła się na nie gotowa, a jednak zderzenie z rzeczywistością po narodzinach syna ją pokonało. Mocno schudła, była samotna i zmęczona, czuła, że zawodzi jako matka, kłóciła się z mężem. Dziś wspomina, że zbyt optymistycznie założyła, iż przy drugim dziecku będzie inaczej, miała nadzieję, że doświadczy macierzyństwa bardziej świadomie.

– Guzik prawda. Byłam jeszcze bardziej wkurzona, zmęczona i rozproszona, bo starsze dziecko było zazdrosne o młodszego, jedno budziło drugie i tak w kółko. Pamiętam, jak bardzo tęskniłam za kontaktem z normalnym światem, jak bardzo chciałam wyjść, pobyc sama – opowiada.

Michał, tata niespełna trzyletniej Lary, mówi, że bardzo kocha córkę, ale rola rodzica często go przerasta i stale czuje się niewystarczająco dobrym ojcem. – Byłem przekonany, że po kilku latach pracy na kuchni przez 15–16 godzin, nic mnie nie pokona, a jednak bardzo się zdziwiłem. W pracy, nawet po najcięższej zmianie, przychodził dzień wolny. Z dzieckiem takich nie ma – opowiada. Półtora roku temu wspólnie z żoną zdecydowali, że ona wróci do pracy, a on na pełen etat będzie opiekować się dzieckiem. Jakies 6 miesięcy później zauważył, że jest mniej zaan-

gazowany emocjonalnie, coraz częściej czuł apatię, irytację i zmęczenie, zaczął postrzegać wszystko w czarnych barwach. – Dobija mnie rutyna, to, że tygodnie zlewają się w szarą masę, że mam niewiele czasu dla siebie. Czuję, że jestem w zawieszeniu, i liczę, że pójście córki do przedszkola pozwoli mi złapać oddech – opowiada.

Wielkie zmęczenie

Choć samo pojęcie wypalenia rodzicielskiego nie jest nowe, bo pojawiło się w literaturze psychologicznej już w latach 80. XX wieku, to szczegółowe badania nad tym zjawiskiem rozpoczęły się dopiero kilka lat temu. Według jednego z najważniejszych, przeprowadzonego w latach 2018–2019 w 42 krajach świata, pod kierunkiem pionierek badań nad wypaleniem rodziców zdrowych dzieci – Moiry Mikolajczak i Isabelle Roskam z Katolickiego Uniwersytetu w Lowanium – najwyższy poziom wypalenia rodzicielskiego odnotowano w Polsce.

Dr Dorota Szczygieł, psycholog, wykładowczyni na Uniwersytecie SWPS oraz członkini międzynarodowego konsorcjum badawczego prowadzącego badania nad uwarunkowaniami i konsekwencjami wypalenia rodzicielskiego, wyjaśnia, że zjawisko to jest reakcją na długotrwałe przeciążenie obowiązkami rodzicielskimi, spowodowane brakiem wystarczających zasobów – emocjonalnych, fizycznych i społecznych. I opowiada o jego głównych objawach. Pierwszym z nich jest nieustanne wyczerpanie i przytłoczenie codziennymi obowiązkami. Kolejnym jest psychiczne dystansowanie się od dziecka – fizycznie rodzic jest na miejscu, ale emocjonalnie staje się coraz bardziej nieobecny. Wypełnia zadania, ale działa jak na autopilocie, brakuje mu sił na czułość, rozmowę czy wspólne bycie „tu i teraz”. Rodzice doświadczający wypalenia odczuwają także zmęczenie tą rolą – rodzicielstwo przestaje być dla nich źródłem satysfakcji, czują rozczarowanie sobą.

– Pojawia się rozdźwięk między oczekiwaniami a rzeczywistością, który budzi frustrację, wyrzuty sumienia, poczucie porażki – dodaje dr Szczygieł i podkreśla, że wypalenie rodzicielskie nie przychodzi nagle i znikąd. – To proces, który często zaczyna się od zwykłego zmęczenia, które z czasem przybiera

coraz bardziej uporczywy i wyniszczający charakter. W końcu utrudnia codzienne funkcjonowanie i destrukcyjnie oddziałuje nie tylko na osobę, która go doświadcza, ale także na całą rodzinę – wyjaśnia ekspertka.

I choć wypalenie rodzicielskie nie ma płci, bo dotyczy zarówno matek, jak i ojców, to badania, prowadzone i w Polsce, i na świecie, pokazują, że to właśnie kobiety częściej zgłaszają jego symptomy (w Polsce dotyczy ono 9 proc. matek i 2 proc. ojców), a szczególnie często doświadcza go te, które opiekują się małymi dziećmi lub dziećmi z niepełnosprawnościami. Kiedy pytam dr Szczygieł, z czego wynika ta zależność, badaczka tłumaczy, iż jedną z przyczyn jest to, że w Polsce nadal to głównie kobiety pełnią role opiekuńcze (dobrze obrazuje to badanie „Współczesne Polki i Polacy: nowe role, nowe wyzwania” – tylko 9 proc. mężczyzn deklaruje, że opieka nad dzieckiem to ich obowiązek, 32 proc. uważa, że jest to obowiązek partnerki, a 59 proc. uznaje, że wykonują te obowiązki wspólne). – Kobiety odpowiadają nie tylko za dzieci, ale także za organizację codzienności, wykonują też masę pracy emocjonalnej, która – choć często niewidoczna – bywa ogromnie wyczerpująca – wyjaśnia. Ekspertka podkreśla jeszcze jeden niezwykle istotny czynnik: mężczyźni rzadziej mówią o tym, że coś ich przerasta – i dotyczy to nie tylko rodzicielstwa, ale także trudnych emocji i zdrowia psychicznego. Dlaczego? Ponieważ społeczna norma wciąż premiuje mężczyznę, który „radzi sobie”, nie narzeka, nie okazuje słabości. – Ojciec, który przyznałby, że czuje się psychicznie wyczerpany opieką nad dzieckiem, może obawiać się oceny: zarówno ze strony otoczenia, jak i samego siebie – tłumaczy dr Szczygieł.

Michał dodaje, że podział ról w jego rodzinie wciąż budzi zdziwienie i zaskoczenie. Jak opowiada, w 99 proc. przypadków jest jedynym ojcem na placu zabaw lub w klubie malucha, regularnie słyszy też pochwały, że „fajnie, że chociaż na chwilę pomaga żonie”. – Patriarchat krzywdzi nie tylko kobiety, ale również mężczyzn. Niedawno starsza pani w sklepie powiedziała mi, że ona nie rozumie, kto i po co daje facetom opiekować się dziećmi, bo przecież my się zupełnie do tego nie nadajemy – mówi.

„Kiedyś było gorzej”

→ W Polsce wiele rzeczy może męczyć i frustrować, na wiele spraw można publicznie narzekać. Pod żadnym pozorem nie powinno się jednak burzyć skrupulatnie budowanego i przekazywanego z pokolenia na pokolenie mitu rodzicielstwa. Nic więc dziwnego, że mówienie o trudnościach, zmęczeniu czy emocjonalnym wyczerpaniu nadal budzi w rodzicach poczucie winy, wstyd i strach przed negatywną oceną, a publiczne napomknięcie o jakichkolwiek negatywnych aspektach posiadania potomstwa często kwitowane jest frazesami typu: „inni mają gorzej”, „nie masz na co narzekać”, „jeszcze za tym zatęsknisz”.

Dr Dorota Szczygiel zwraca uwagę, że takie umniejszające podejście do tematu sprawia, iż rodzice czują, że ich emocje i zmęczenie nie są „uprawnione” oraz społecznie akceptowane. Z tego właśnie powodu często nawet sami przed sobą boją się przyznać, że czują się wypaleni. Obawiają się także tego, że mówienie o trudnościach zostanie błędnie zinterpretowane jako brak miłości, niekompetencja czy porażka.

– Zapominamy, że ambiwalentne uczucia mogą współistnieć. Wypalenie rodzicielskie nie oznacza braku miłości do dziecka, bo można je bardzo kochać, a jednocześnie czuć silne przeciążenie – podkreśla ekspertka i dodaje, że paradoksalnie syndrom ten często dotyka rodziców, którzy dają z siebie najwięcej.

Zdarza się, że temat wypalenia rodzicielskiego spotyka się z niezrozumieniem starszych pokoleń, które w swoich ocenach dzisiejszych rodziców balansują na krawędzi przeszłości i współczesności. Z jednej strony patrzą na rodzicielstwo i wychowanie dzieci przez pryzmat swoich wspomnień oraz doświadczeń, z drugiej zaś dostrzegają wszystkie „udogodnienia”, jakie mają do dyspozycji współcześni rodzice (ikoniczne „za moich czasów tego nie było”). Zapominają jednak o tym, że styl życia oraz realia społeczno-polityczne, w których młodym przyszło żyć i wychowywać dzieci, diametralnie się zmieniły. A one – jak się okazuje – znacząco przekładają się na częstotliwość występowania wypalenia rodzicielskiego. Jak zauważają belgijskie badaczki, szczególnie mocno narażeni są na nie mieszkańcy krajów Zachodu, u których ryzyko wystąpienia tego syndromu

Jak wychowywać i pozostać sobą

1. PAMIĘTAJ, że nie ma rodziców idealnych. Pałące poczucie, że wszystko musisz robić perfekcyjnie, to droga prowadząca do frustracji i wypalenia.

2. SPROWADŹ swoje wygórowane oczekiwania na ziemię. Naucz się odpuszczać, zdejmij z siebie społeczną presję i pamiętaj, że można zrobić wszystko, ale nie wszystko na raz.

3. FILTRUJ INFORMACJE i ufaj swojej intuicji. Zalew „dobrych rad”, eksperckich opinii i social mediowych „standardów” może przytłaczać.

4. ZNAJDŹ SWOJĄ „WIOSKĘ”, która będzie dla Ciebie wsparciem. Rodzicielstwo nie powinno oznaczać samotności – otaczaj się osobami, przy których możesz być sobą, z którymi możesz szczerze porozmawiać lub poprosić je o pomoc. To może być rodzina, przyjaciele, sąsiedzi, znajomi czy grupy wsparcia. Poczucie, że nie jest się w tym samemu, przynosi ulgę.

5. DAJ SOBIE PRAWO do trudnych emocji. Rodzicielstwo to nie tylko miłość i radość – to również frustracja, bezradność i zmęczenie. To, że czasem masz dość, nie znaczy, że nie kochasz swojego dziecka.

6. ODPOCZYNEK to nie egoizm, ale konieczność. Regularne ładowanie zasobów – sen, czas dla siebie, relacje społeczne – to warunek trwałego zaangażowania w rodzicielstwo.

7. NIE UDAWAJ, że wszystko jest w porządku. Wypalenie rodzicielskie to nie tylko „gorszy dzień”. Jeśli wyczerpanie nie mija mimo odpoczynku, zacznasz dystansować się od dziecka i czujesz, że tracisz radość z bycia rodzicem – to sygnał, że warto zwrócić się po pomoc do specjalisty.

jest aż pięciokrotnie wyższe niż u rodziców z innych części świata.

Dr Natasza Doiczman-Łoboda, socjolożka i wykładowczyni na Wydziale Socjologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, wyjaśnia, że na taki stan rzeczy wpływa kilka czynników. Ekspertka zauważa, że wspólnym mianownikiem wszystkich krajów Zachodu jest postępująca indywidualizacja społeczeństwa oraz perfekcjonizm, przekładający się na wiele sfer życia.

– Stale słyszy się o tym, że do wychowania dziecka potrzebna jest cała wioska, tymczasem obserwujemy mocny zanik środowiskowego wychowania – wyjaśnia i dodaje, że z pewnością wpłynęły na to migracje do dużych miast oraz zmiany w modelach rodziny. – Dziś rodziny wielopokoleniowe są rzadkością, obserwujemy dużą anonimizację życia społecznego, rodzice są sami z wychowaniem dzieci, bo dziadkowie, którzy w przeszłości intensywnie angażowali się w wychowanie wnucząt, dziś często prowadzą bardzo aktywne życie. Do tego dochodzi praca zarobkowa zarówno mężczyzn, jak i kobiet, oraz problemy z dostępnością i kosztami placówek – tłumaczy dr Doiczman-Łoboda i zauważa, że na współczesnych rodzicach ciąży także duża społeczna presja, której coraz częściej trudno im sprostać.

„Projekt dziecko”

Dziś rodzice powinni być obecni, świadomi i uważni, powinni odpowiednio wspierać rozwój dziecka, pielęgnować i rozwijać jego talenty, a jednocześnie powinni robić spektakularną karierę, odnosić sukcesy zawodowe i zarabiać pieniądze.

– Stale zonglują rolami. Mam wrażenie, że najlepiej byłoby, gdyby współcześni rodzice pracowali tak, jakby nie mieli dzieci, i prowadzili życie rodzinne tak, jakby nie mieli pracy. Te płynące z każdej strony oczekiwania sprzyjają przeciążeniu i ciągłemu poczuciu winy, bo rodzice czują, że w żadnym aspekcie życia nie sprawdzają się w stu procentach – podsumowuje socjolożka.

Jak wskazuje, pokoleniowe zgrzyty w rodzicielsko-wychowawczych kwestiach mogą wynikać również z istotnej zmiany generacyjnej. Dziś bowiem rodzicami są mileniałsi i przedstawiciele pokolenia Z, czyli osoby wychowane



PRESSMASTER / ADOBE STOCK

Czym zastąpić szkołę

W SZKOŁACH trwają jeszcze lekcje, kiedy w polskich miastach rusza desperacki wyścig. Na starcie stają rodzice, a metą są półkolonie, na które można będzie posłać progeniturę w lipcu i w sierpniu. Co zrobić z dziećmi w okresie, gdy mają wolne od szkoły, ale rodzina jeszcze nie wyjeżdża na wakacje? Odpowiedź na to pytanie warta tysiące złotych.

W PÓŁKOLONIJNYM WYŚCIGU nie chodzi bynajmniej o byle jaką opiekę. Gra toczy się o jakość czasu, który dzieci spędzą z dala od szkoły i bez rodziców. Półkolonie wodne, połączone z nauką podstaw windsurfingu na jednym z podmiejskich zbiorników zaporowych? Wolne miejsca znikają w błyskawicznym tempie, mimo że cena za pięć dni zajęć od 8.30 do 16.30 sięga

1500 zł. Wakacje z native speakerami? Kilka godzin dodatkowych konwersacji po angielsku dla wielu rodziców warte jest 2,2 tys. zł za również pięciodniowy turnus. Wakacje z doskonaleniem warsztatu rysunkowego, półkolonie programistyczne, astronomiczne, warsztaty *haute cuisine* z uczestnikiem Master Chefa. Listę można mnożyć, ceny mogą sięgnąć i równowartości polskiej średniej pensji brutto za pięć dni zajęć. Gdy w grę wchodzi przyszłość dziecka, cena dla wielu nie gra roli.

ZAPYTAJĄ PAŃSTWO: wakacje i przyszłość? „Projekt dziecko”, czyli rodzicielstwo skoncentrowane na wyposażeniu potomstwa we wszystko, co może zapewnić mu

– mówiąc językiem ekonomii – przewagę konkurencyjną nad innymi, to także projekt, w którym nie ma miejsca na bez troskie wakacje i wypoczynek dla samego wypoczytku.

W NAJNOWSZYM BADANIU „Budżetu czasu ludności w 2023 r.”, które właśnie opublikował GUS, wśród sfer życia codziennego, na które przeznaczamy najwięcej czasu, największy wzrost w porównaniu z rokiem 2013 (badanie odbywa się w cyklu dziesięcioletnim) widać w pracach domowych i opiece nad bliskimi. Stoi za tym niemal wyłącznie skokowy wzrost zaangażowania mężczyzn w sprawy domowe, także opiekę nad dziećmi. Opiekę, którą w okresie wakacji coraz chętniej zlecamy specjalistom. © MR

w kulcie indywidualizmu, którym od dziecka wpajano, że każdy jest kowalem własnego losu. Mając takie doświadczenia, siłą rzeczy żyją więc w przekonaniu, że osiągnięcia zależne są od włożonych wysiłków, silnie widoczna jest w nich także rywalizacja. A to – jak przekonuje dr Doiczman-Łoboda – kwalifikuje do wypalenia.

– Chcą wychowywać dzieci inaczej niż ich rodzice, obawiają się konsekwencji każdego błędu czy niedociągnięcia. Stawiają więc na psychoedukację, kładą duży nacisk na relację z dzieckiem, liczą się z jego zdaniem i emocjami, są obecni. To wszystko bardzo ich eksploatuje, a jeśli dodamy do tego perfekcjonizm, nastawienie na sukces i wiarę w to, że wszystko w naszych rękach, to wychowanie małego człowieka, który staje się autonomiczną jednostką, może się okazać bardzo trudne i spalające – tłumaczy ekspertka.

O społecznej presji narzucanej na rodziców już w latach 90. pisała amerykańska socjolożka Sharon Hays. W swojej książce „Kulturowe sprzeczności macierzyństwa” posługuje się terminem „intensywnego rodzicielstwa”, które stało się domeną krajów Zachodu. Opisywany przez Hays rodzaj opieki nad dziećmi opierał się na pięciu filarach: był wyczerpujący, pracochłonny, oparty na najnowszych zaleceniach ekspertów, skoncentrowany na dziecku oraz kosztowny. Dziś, w 2025 roku, jak na dłoni widzimy, że „intensywne rodzicielstwo” osiągnęło zupełnie nowy poziom – głównie za sprawą poradników, portali parentingowych, wszelkiej maści ekspertów, social mediów i monetyzacji rodzicielstwa.

Karolina Olszak jest mamą, działaczką społeczną i współzałożycielką działającego w Poznaniu stowarzyszenia LOCAL MOMS, które od ponad dwóch lat regularnie organizuje stacjonarne wydarzenia dla matek, skupiające się nie na wychowaniu dzieci, ale na dobrostanie i wzmacnianiu samych kobiet. W rozmowie przyznaje, że na spotkaniach często widać, jak matki wpadają w sidła „intensywnego rodzicielstwa”.

– Dziś macierzyństwo staje się projektem, a my, mamy, chcemy go realizować bezbłędnie. Dlatego kiedy dziecko wchodzi na nowy etap, doktoryzujemy się na dany temat, bo czujemy, że musimy →

→ wiedzieć wszystko. Z jednej strony to super, że mamy szeroki dostęp do wiedzy, z drugiej to przekleństwo, bo nie da się być ekspertką w każdym z tych obszarów. A im głębiej się w to wchodzi, tym bardziej to spala – mówi.

Jak dodaje, kobietom zdarza się tak bardzo zatracać w rodzicielstwie, że na długie lata zamykają się w czterech ścianach, całkowicie zapominając o sobie. – Na spotkania LOCAL MOMS przychodzą mamy, które mówią: „to moje pierwsze wyjście z domu od czterech lat”. To są prawdziwe kobiety, nie suche dane z badań. Dopiero kiedy wychodzą z domu, rozmawiają z innymi, czują, że „wracają” do życia – tłumaczy działaczka. – W wielkomijskiej bańce głośno mówi się: „zrób coś dla siebie”, „wyjedź bez dzieci”. Ale mam poczucie, że w wielu miejscach w Polsce kobiety nadal się tego wstydzą, nawet same przed sobą – podsumowuje.

Wystarczająco dobrze

Kiedy pytam dr Nataszę Doiczman-Łobodę o to, co może być pomocne w kryzysie wypalenia, socjolożka odpowiada, że rodzice powinni nauczyć się akceptować niedoskonałości, zrozumieć, że nie da się robić wszystkiego idealnie, powinni także pozwolić sobie na odpoczynek, na wyjście z domu, na gorszy dzień. – Z perspektywy socjologicznej kluczowe jest odmitologizowanie rodziciel-



Panuje nadal przekonanie, że „do wychowania dziecka potrzebna jest cała wioska”.

Tylko że dziś rodziny wielopokoleniowe są już rzadkością

stwa i przyzwolenie na to, by swobodnie mówić o tym, że bywa ono trudne i męczące. Tu według mnie ważną rolę odgrywają media społecznościowe i kul-

tura memów, która stanowi bufor pomiędzy rodzicielskimi wyzwaniami a prozaiczną codziennością – tłumaczy.

– Spójrz na to – Aga, podczas spotkania pokazuje mi mema z instagramowego profilu portalu parentingowego. To kilka rysunków bazujących na „złotej radzie”, którą usłyszał każdy młody rodzic: śpij, kiedy dziecko śpi. Matka płacze na nich razem z dzieckiem, wymiotuje razem z dzieckiem, ślini się razem z dzieckiem. – Dziś się z tego śmieje, ale pamiętam, że kiedy byłam na skraju załamania, takie rady mnie dobiły. Rodzice ich nie potrzebują – mówi.

Przed każdym lotem obsługa samolotu, tłumacząc procedury bezpieczeństwa, wyjaśnia, że w przypadku zagrożenia podróżujący z dzieckiem rodzic maskę tlenową powinien założyć najpierw sobie. Podobnie sprawy mają się w kwestii wypalenia rodzicielskiego. Jak przekonuje dr Dorota Szczygieł, kluczowe jest regularne odbudowywanie zasobów i łagodzenie presji, którą się na siebie narzuca, bo dzieci nie potrzebują rodziców idealnych. Gdy pytam ją o to, jak nauczyć się odpuszczać, odpowiada, że w tej kwestii pomaga zmiana perspektywy. – Zamiast ciągle zastanawiać się „jak być lepszym rodzicem”, warto zastanowić się „czego mi teraz potrzeba, by być rodzicem wystarczająco dobrym?” – wyjaśnia.

© MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
 Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektorka ds. rozwoju: Monika Lech
Dyrektor artystyczny Marek K. Zaleski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik),
 Monika Białkowska, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
 Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Spomiak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik),
 Michał Okoński, Marek Rabij, Piotr Śmitowicz,
 Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
 Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska,
 Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
 Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
 Anita Piotrowska

Fotoredycja: Grażyna Makara (kierowniczka),
 Katarzyna Bultowicz, Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
 Ewelina Burda (kierowniczka), Oliwia Świątek,
 Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
 Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frotow,
 Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja: Michał Sowiński (kierownik),
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Stawomir Bieniek,
 Mateusz Gawron, Anna Jagłowska (kierowniczka),
 Lech Krupa, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
 Eliza Kačka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska,
 Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyski
Dyrektor ds. technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski,
 Piotr Muszyński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
 Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska,
 Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
 Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula,
 Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus,
 Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
 Bartosz Kabata, Eliza Kačka, Marcin Kędziński, Bartek Kieżun,
 Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz,
 Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Koziańska,
 Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyć,
 Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja,
 Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń,
 Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica,
 o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński,
 Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński,
 Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Rys, Tadeusz Stawek,
 Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota,
 Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Byrsz,
 Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik,
 Marta Zdzieberska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
 Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
 reklama@TygodnikPowszechny.pl
 promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

S-NET GRUPA TOYA
 S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Pomóż nam tworzyć lepszy „Tygodnik”

Zeskanuj kod, wypełnij ankietę i odbierz trzy cyfrowe Wydania Specjalne „Tygodnika” w prezencie, prosto na maila. Twoje odpowiedzi pomogą nam rozwijać „Tygodnik Powszechny” – redakcyjnie, technologicznie i organizacyjnie. Chcemy tworzyć pismo jeszcze bardziej odpowiadające na wyzwania współczesności, ale wciąż bliskie Wam w tonie, treści i formie.

W podziękowaniu za wypełnienie ankiety **prześlemy bezpłatny dostęp online** do trzech naszych wydań specjalnych: „Terapia dla Polski”, „Sztuczna inteligencja” oraz „Szerokiej drogi”.



ZESKANUJ I WYPEŁNIJ



TygodnikPowszechny.pl/ankieta

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FOT. GRAŻYNA MAKARA // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



WOJCIECH MANN

KATARZYNA KUBISIOWSKA

Lato z Mannem

Nowy cykl Podkastu Tygodnika Powszechnego
Słuchaj na www.TygodnikPowszechny.pl/Podkast oraz



/Tygodnik Powszechny Kultura



/TygodnikPowszechny



KRAJ

UCZYŃMY POLSKĘ ZNÓW PIĘKNĄ

Powodzi tym razem nie było, ale nadejdzie wcześniej niż później
– tymczasem politycy zachowują się tak, jakby kwestię walki ze zmianami
klimatu mogli zostawić swoim następcom.
Spróbujmy im podpowiedzieć, jak się za to zabrać.

JAN MENCWEL



Zabezpieczenia przed powodzią w Otawie, 18 września 2024 r.

AKTÓRZY CZEKALI BŁYSKAWIC I GROMÓW / Są zawiedzeni / A którzy czekali znaków i archanielskich trąb, / Nie wierzą, że staje się już”. Coraz częściej zastanawiam się, czy Czesław Miłosz, pisząc „Piosenkę o końcu świata”, przewidział kryzys klimatyczny. A nawet nie sam kryzys, ale nasze reakcje na niego.

Jeżeli ktoś wciąż nie wierzy, że „staje się już”, to przypomnę: niecały rok temu po upalnym, suchym lecie przyszedł bardzo ciepły wrzesień, a potem seria nawalnych deszczy, które spowodowały powódź na Dolnym Śląsku i w innych częściach Polski. Powódź o skali, którą zwykle się dawniej określał jako „stuletnia” – choć w Kotlinie Kłodzkiej woda sięgnęła poziomów

znanych już z powodzi w 1997 r., a więc zaledwie ćwierć wieku wcześniej. Po drodze była jeszcze nieco mniejsza, ale również katastrofalna w skutkach powódź w 2010 r., która dotknęła mocniej dorzecze Wisły niż Odry.

Niecały rok później obserwujemy sezon nawalnych deszczy w lipcu. Spowodowany tym samym, co we wrześniu 2024 r., niżem genueńskim. Tym razem w lżejszej, mniej katastrofalnej wersji, która nie spowodowała gwałtownych wylewów rzek.

Gdzie na narty

Pewnie już tego nie pamiętamy, ale obecne deszcze przyszły po okresie su-

szy hydrologicznej, która na terenie naszego kraju rozkręciła się w tym roku już wiosną. Wcześniej mieliśmy prawie beznieżną zimę, w trakcie której nawet w górach nie uświadczylśmy porządnej pokrywy śnieżnej, nawilżającej trwale glebę.

„Często pytacie nas – pisały Polskie Koleje Linowe na oficjalnym profilu pod koniec grudnia 2024 r. – kiedy ruszą koleje w Kotłach Goryczkowym i Gąsienicowym. Odpowiadamy: niestety, musimy jeszcze poczekać. Obecnie poziom pokrywy śnieżnej wynosi zaledwie 10% na trasach, a jedynie 5% na nartostradzie”. Czekaliśmy i czekaliśmy. W połowie lutego Portal Tatrziański w dramatycznym tonie pytał: „Czy stok w Dolinie Goryczkowej jeszcze kiedyś ruszy? Brak śniegu zagraża przyszłości legendarnej trasy!”.

Łapię się na tym, że sam w kontekście kryzysu klimatycznego odruchowo odwołuję się do tak mało istotnej sprawy jak narciarstwo. Umówmy się – ograniczone możliwości uprawiania sportów zimowych to przykra, ale błaha konsekwencja tego, co nas dotyka w związku ze zmianą klimatu. Są też sprawy wagi zasadniczej: brak pokrywy śnieżnej ma olbrzymi, negatywny wpływ na bilans wodny.

Idzie niż

Większość polskich rzek ma swój własny reżim wodny śnieżno-deszczowy. Przez setki lat to właśnie wysokość pokrywy śnieżnej determinowała stan wody w rzekach po odejściu zimy. Wiosenne przybory zasilają wody gruntowe i mokradła, mniejsze ciekły wodne użyźniały gleby, a to, co z sobą przynosiły, stanowiło „zapas” na cieplejsze i suche miesiące.

Teraz ten zapas dramatycznie się skurczył: w roku 2025 nie uświadczylśmy ani razu wysokich stanów wody na Wiśle. Jednocześnie upalne i suche okresy w sezonie letnim trwają dłużej niż zwykle i są bardziej dotkliwe. Na to z kolei nakładają się coraz częstsze opady ekstremalne.

Skąd one się biorą? Wspomniany niż genueński we wrześniu 2024 r. zaprowadził nad Kotlinę Kłodzką rekordowe opady deszczu. Nad Śnieżnikiem spadło go wtedy 300 mm w ciągu doby, czyli jedna czwarta rocznej sumy opadów w tym miejscu! Rekordowe temperatury Morza Śródziemnego, zanotowane tamtego lata, sprawiły, że niż niósł ze sobą olbrzymie ilości wody. →

→ Tak, to zdarzało się także w przeszłości – ale raz na sto lat. Nie przypadkiem na ścianie kościoła w Kłodzku możemy zobaczyć trzy linie wielkiej wody: z 1897 r., 1997 i najnowsza – z 2024 r. To już jest trend, z którego wynika, że kiedyś mieliśmy więcej czasu, by się otrząsnąć i przystosować. Teraz tego czasu jest coraz mniej. Ostatnie lipcowe opady to przecież także niż genueński, tyle że tym razem rozłożył się on nieco inaczej i cały deszcz nie „wypadał się” nad jednym regionem.

To właściwie cały opis katastrofy, która nas dotyka. Katastrofy, która „staje się już”, choć tylko czasami, jak tamtego września, towarzyszą jej błyskawice i gromy. Na co dzień rozpełza się ona w naszej rzeczywistości niepostrzeżenie. Zanik śnieżnych zim, fale upałów, susze przeplatające się z nawałnicami grożącymi powodzią – to jest dokładnie to, co przewidywali naukowcy z IPCC ONZ, czyli Międzyrządowego Panelu o Zmianie Klimatu, dla naszego regionu świata. Ich prognozy sprawdzają się co do joty.

Polityczna susza

Pytanie brzmi: skoro wiadomo od dawna, co nas czeka, i skoro widzimy wokół siebie, że to już się dzieje – dlaczego nic się nie zmienia w naszym podejściu do kwestii klimatu? Albo wręcz zmienia się na gorsze?

Mówiąc „naszym” myślę przede wszystkim o klasie politycznej. Mamy za sobą kampanię prezydencką, w której sprawa klimatu właściwie nie zaistniała. I to pomimo że toczyła się ona kilka miesięcy po kataklizmie zwielokrotnionym przez anomalie klimatyczne. Mało tego, widzimy, jak retoryka populistycznej, skrajnej prawicy rozlewa się na kolejne sfery debaty publicznej. Słyszymy, że niszczy nas „zielony ład”, że polityka klimatyczna „nie pozwala się Polsce rozwijać” i że przecież „klimat zmieniał się zawsze”, więc o co w ogóle chodzi. A poza tym szwagier ostro zmarł w jeden majowy weekend. Inni z kolei wciąż czekają na pomarańcze, które będzie można ho-

Wystawa Chełmońskiego przyciągnęła tłumy widzów, choć zobaczyli na niej bagna, bajora, błoto i podmokłe łąki.

Skoro ten świat zachwyca na obrazach, to dlaczego nie zacząć go przywracać?

dować w Polsce dzięki „ociepleniu klimatu”.

Niestety, nie ma dla takich, zataczających coraz szersze kręgi manipulacji, żadnej silnej kontrnarracji ze strony tych ugrupowań, które podobno chcą walczyć z populizmem. Gorzej: politycy koalicji rządzącej, z nielicznymi wyjątkami, kładą uszy po sobie i jak ognia unikają słowa „klimat”. Dość powiedzieć, że sam Rafał Trzaskowski, który jeszcze niedawno na Campusie Polska Przyszłości krzyczał, że „planeta płonie”, w kampanii wyborczej ani razu nie użył choćby zbliżonego znaczeniem sformułowania. Ze zwykłą odpowiedzialnością i trzymaniem się argumentów naukowych wygrał strach przed zrażeniem do siebie jakiejś części wyborców prawej strony.

A przecież, jak mawiał Mariusz Pudziałowski po przegranych walkach, „i tak nic by to nie dało”. Niestety, kandydat Koalicji Obywatelskiej nie posłuchał lekcji wielkiego Polaka i zamiast robić swoje i być sobą, próbował udawać kogoś innego. Efekt poznaliśmy w wyborczą noc, a raczej w pamiętny poranek 2 czerwca.

„Jakoś” nie będzie

No dobrze, powie ktoś, to jest kampania wyborcza, ona rządzi się swoimi prawami, oceniać należy sferę twardych działań i decyzji. Niestety, poczynania rządu przez ten niecały rok od ostatniej powodzi nie napawają optymizmem. Nie zo-

baczyliśmy żadnych zasadniczych zmian, czy to systemowych – jak zmiana podejścia do zarządzania rzekami, czy lokalnych – jak choćby wycofanie się z intensywnej wycinki lasów na terenach górskich, co zwiększyłyby zdolności retencyjne w tym kluczowym dla radzenia sobie ze skutkami powodzi obszarze.

Jedyna istotna decyzja, jaką podjęto, to dymisje w Wodach Polskich. Mało. Zdecydowanie za mało. Widać, że do sprawy adaptacji kraju do kolejnych kataklizmów klimatycznych, czy to suszy, czy powodzi, rządzący podeszli według starej polskiej zasady: „na koń wsiedziem i jakoś to będzie”. W końcu najgorsze już za nami, kolejny kataklizm będzie ogarniać być może już inna ekipa, więc po co podejmować trudne decyzje?

Rzecz w tym, że to strategia krótkowzroczna. Po pierwsze, równie dobrze obecne lipcowe opady mogły się skończyć tragicznie, przed takim scenariuszem zresztą nas ostrzegano. Po drugie, susza – druga strona medalu – daje się nam we znaki niemalże co roku. W obecnym nadeszła już wczesną wiosną. To nie są więc zjawiska, które da się zignorować i czekać na lepsze czasy, bo te prawdopodobnie już nie nadejdą. Będzie coraz gorzej, mniej stabilnie i choć zdarzać się mogą oznaki normalności, jak ten chłodny i deszczowy maj, po którym zieleń w Polsce buchnęła jak oszalała, to jednak trend wygląda na jednoznaczny.

Czy to się da opowiedzieć

Mam w sobie resztki optymizmu i wiary w ludzi, założę więc na chwilę, że nie jest to zwykły brak odpowiedzialności i spychanie jej na kolejne pokolenia. Być może chodzi o coś innego. Dziś polityka opiera się na wielkich narracjach, takich, które mogą poruszyć emocje (to zresztą nic nowego, ale czasy mediów społecznościowych zwielokrotniły ten efekt). Być może szkopuł tkwi w braku odpowiedniej opowieści, innej i bardziej swojskiej niż suche, *nomen omen*, hasła unijnych technokratów? Być może nikt nie chce zabrać się za temat radzenia sobie z kryzysem klimatycznym, bo nie wie, jak o tym mówić tak, by móc na tym zbić kapitał polityczny i zwiększyć szansę na wygraną w kolejnych wyborach?

A przecież taka opowieść jest na wyciągnięcie ręki. Gdyby politycy rozumieli, co należy zrobić, by poradzić sobie ze skut-

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl



GRZEGORZ MOMOT / PAP

Straż pożarna zabezpiecza workami rzekę w miejscowości Biały Dunajec. 9 lipca 2025 r.

kami zmian klimatu – i to z obydwojoma naraz, z suszą i z powodzią – mogliby to opowiedzieć Polakom w takim tonie, który spodobałby się nawet wyborcom mocno konserwatywnym. Przecież powinni kochać swą ojczyznę, a więc także jej usychającą dziś przyrodę.

Mam nawet na to gotowe hasło: „Uczyńmy Polskę znów piękną” (ang. *Make Poland Beautiful Again*). Naukowcy od lat mówią, że kluczowa do poradzenia sobie z przepłatającymi się suszami i powodziami jest tzw. naturalna retencja. Odtwarzanie dolin rzecznych, oddawanie im zagarniętej przez nas przestrzeni, na które mogą się swobodnie rozlewać, przeciwdziała zarówno powodzi, jak i suszy. Dzięki meandrom, nadrzecznym łąkom czy mokradłom, rzeka ma gdzie się wylać, gdy przyjdzie nagłe wezbranie. Z kolei te same naturalne tereny spowalniają odpływ wody, magazynują ją i przedłużają odporność zasobów wodnych na okresy bez opadów.

Przez ostatnie sto lat robiliśmy coś dokładnie przeciwnego: prostowaliśmy rzeki, pogłębialiśmy ich koryta, betonowaliśmy nabrzeża. Kopaliśmy na potęgę rowy melioracyjne, których łączna długość w Polsce jest dziś większa niż naturalnych rzek. A łączna długość tych ostatnich, jak podaje WWF Polska, to 320 tys. kilometrów. Gdyby je wszystkie wyprostować i stworzyć z nich prostą linię,

można by opleść Ziemię na wysokości równika... osiem razy.

Jak z Chełmońskiego

Przemiany naszego krajobrazu w ciągu ostatniego stulecia, może dwóch, wynikały z chęci dostosowania się do nadmiaru wody, który był naszą codziennością. Po śnieżnych zimach i następujących po nich mokrych, błotnistych przedwośniach wyzwaniem było pozbycie się wody z krajobrazu. Trzeba było też osuszać teren pod nowe miasta czy uprawy. Dziś wyzwania, przed którymi стоимy, w krótkim czasie niemal się odwróciły. Na co dzień nie potrzebujemy już pozbywać się wody, ale zatrzymywać ją w krajobrazie za wszelką cenę. Do tego właśnie mogą posłużyć nam odtworzone naturalne doliny rzeczne, pełne meandrow, mokradel i łąk zalewowych. Z kolei te same tereny mogą uchronić nas przed powodzią, bo pozwolą rzece rozlać się swobodnie tam, gdzie wysoka woda nie powoduje strat. Czyli, mówiąc językiem hydrotechnicznym, „spłaszczyć falę powodziową”.

To niezwykle rzadka okazja, by mieć ciastko i zjeść ciastko: dzięki upiększaniu naszego krajobrazu, przywracaniu tego, co utracone, możemy lepiej przygotować się na nadchodzące wyzwania. A jednocześnie „wypełnić wskaźniki” i zapełnić krajobrazy dawno utraconym bogactwem. Zadbaj o przyszłość, odtwa-

rzając przeszłość. Bo tak naprawdę to, co powinniśmy zrobić, i co kryje się pod nieco technicznym hasłem „naturalna retencja”, to nic innego jak odtwarzanie dawnego, pięknego krajobrazu Polski. Takiego, jaki widzieli nasi pradziadkowie i prababki. Takiego, jaki malował Józef Chełmoński.

Jego wystawa rok temu w warszawskim Muzeum Narodowym przyciągnęła tłumy, a przecież zobaczyli na niej przede wszystkim właśnie takie pejzaże: bagna, bajora, błoto, dzikie podmokłe łąki. Skoro ten świat zachwyca na obrazach, to dlaczego nie zacząć przywracać go wokół nas?

Co nas łączy

To da się zrobić – eksperci Centrum Ochrony Mokradel przekonują o tym od dawna. Co więcej: przywracanie naturalnych terenów zalewowych da się również pogodzić z rolnictwem, choć nieco innym niż to, które znamy dziś. Wyzwanie jest właściwie tylko jedno: nie da się pogodzić z zabudową mieszkaniową. Ale czy naprawdę mając do dyspozycji tyle terenów nieleżących bezpośrednio nad rzekami, musimy zgadzać się na zabudowę akurat terenów zalewowych, a potem bać się o swój dobytek? Być może to ten rodzaj kompromisu z przyrodą, na który nas stać.

Gdyby opowiedzieć przystosowanie do kryzysu klimatycznego właśnie w ten sposób – jako programu upiększenia Polski na nowo – moglibyśmy znaleźć się w zupełnie innym punkcie. Takim, w którym okazałoby się, że są jednak sprawy łączące Polki i Polaków.

Nie mam wątpliwości, że umiłowanie polskiej przyrody, naszego krajobrazu naturalnego, jest właśnie taką sprawą. I że możemy ją zaprząć do ważnego zadania: do tego, by pomóc sobie radzić z coraz bardziej nieprzewidywalnym klimatem. To da się zrobić, trzeba tylko opowiedzieć sobie to wszystko na nowo. Być może wyjdzie z tego też jakaś ciekawa opowieść o Polsce, w której mimo podziałów coś się jednak udało? © JAN MENCWEL

Autor jest działaczem społecznym. Współzałożyciel stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, warszawski radny, autor książek „Betonozza. Jak się niszczy polskie miasta” oraz „Hydrozagadka. Kto zabiera polską wodę i jak ją odzyskać”.



Pikieta przed Sądem Najwyższym podczas posiedzenia sądu poświęconego protestom wyborczym. Warszawa, 27 czerwca 2025 r.

Historia zapowiedzianej katastrofy

PAWEŁ MUSIAŁEK

POLITYKA | Narracja o fałszerstwie wyborczym uderzyła w tożsamościowe fundamenty PO i podważyła to, co dla wielu jej zwolenników było uzasadnieniem wyższości nad prawicą. Na ich oczach zrodził się liberalny odpowiednik narracji smoleńskiej.

UZNIANIE PRZEZ SĄD NAJWYŻSZY WAŻNOŚCI wyborów prezydenckich, wraz z jasną deklaracją marszałka Sejmu, iż nie widzi przeszkód dla zaprzysiężenia Karola Nawrockiego – w zasadzie wygasily dyskusję o sfalszowanych wyborach, która organizowała debatę medialną w Polsce przez ostatnie tygodnie. Mocny sondażowy spadek poparcia dla Koalicji Obywatelskiej (składa się na nią PO, Nowoczesna, Zieloni oraz Inicjatywa Polska) stał się dowodem na to, że była to jedna z najgorszych operacji narracyjnych, jaką widziała polska polityka w ostatnich latach. Jakie konsekwencje przyniesie głównemu ugrupowaniu obozu władzy?

Fundamenty teorii o spisku

Podważanie wyboru Karola Nawrockiego zbudowane zostało na dwóch fundamentach. Po pierwsze, wskazywano na nieprawidłowości w kilkunastu komisjach wyborczych, w których SN zgodził się ponownie przeliczyć głosy, po czym skorygował ostateczny wynik. Stąd wycofano wnioski, że powtórne liczenie głosów powinno odbyć się w całym kraju, mimo że logikę tę podważały argumenty ekspertów podkreślających, iż badanie nieprawidłowości w 19 komisjach odbyło się na podstawie uzasadnionych protestów, a nie poprzez ich losowy wybór. Na dodatek skala dostrzeżonych błędów miała być – zdaniem tych samych

specjalistów – nieistotna dla ostatecznego wyniku.

Drugim argumentem było wskazanie wadliwości prawnej Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych (IKNiSP) Sądu Najwyższego, która zgodnie z ustawą o SN jest odpowiedzialna za ostateczne zatwierdzenie wyników wyborów. Nawet jeśli przyjąć, że IKNiSP nie powinna orzekać w sprawie ważności wyboru Nawrockiego, to pojawia się kontrargument: dlaczego nie zgłaszano podobnych pretensji, gdy Izba uznawała ważność wyborów parlamentarnych w 2023 r., a potem też samorządowych i europejskich.

Mimo tak słabych argumentów Donald Tusk nie zdecydował się wyhamować nastrojów kwestionujących legalność wyborów, a nawet podsycił emocje, pytając na portalu X Andrzeja Dudę, Jarosława Kaczyńskiego i Karola Nawrockiego, czy nie są tak „zwyczajnie po ludzku ciekawi, jakie są prawdziwe wyniki głosowania?”. Zachowanie premiera było odbierane jako zielone światło dla narracji podważającej wynik wyborów i dla akcji Romana Giertycha, który nie tylko kwestionował ich rezultat, domagając się ponownego przeliczenia głosów, ale wprost mówił o wyborczych fałszerstwach, jakich miał dokonać PiS i jego zwolennicy w komisjach.

Ukoronowaniem tej narracji był wywiad Giertycha dla Moniki Olejnik i fan-

tastyczna teoria o spisku, zorganizowanym przez marginalną, nacjonalistyczną grupę Braci Kamratów, która obsadziła rzekomo tysiące komisji i w ten sposób zmieniła ostateczny wynik.

Tusk nie szedł tak daleko w swych podejrzeniach, ale wielu uznawało jego słowa za autoryzację działań pośła PO. W efekcie wszystkie wypowiedzi Giertycha szły na konto premiera, a jednym z efektów okazało się pęknięcie w obozie władzy.

Koalicjanci podnoszą głowy

Dla sojuszników Koalicji Obywatelskiej narracja Giertycha była nieakceptowalna. Obsługiwała jedynie „twardy” elektorat PO, więc koalicjanci nie tylko nie widzieli potrzeby podążania za Tuskiem, ale uznali za zasadne się od niego odciąć – mimo że sami podważają status IKNiSP. Co ważne, zrobiły to solidarnie wszystkie ugrupowania, od Lewicy, przez Polskę 2050, na PSL kończąc.

Dla koalicjantów narracja Giertycha była wręcz politycznym prezentem, ponieważ w ich interesie jest ukazywanie zarówno pewnej odrębności, jak i zdecydowania wobec najsilniejszego w koalicji podmiotu. Tu na dodatek mogli odciąć się od teorii uznawanych za mało wiarygodne; o ile bowiem w innych kwestiach sprzeciw koalicjantów często rozdził krytykę w sprzyjających Tuskowi mediach, to w tej sprawie mogli liczyć na ich pełną wyrozumiałość, a czasem nawet poparcie.

Na narracji podważającej wybór Nawrockiego bez wątplenia najmocniej zyskał Szymon Hołownia, gdyż to on, jako marszałek Sejmu, decyduje o zwołaniu Zgromadzenia Narodowego i zaprzysiężeniu prezydenta. Nie wpisując się w działania Giertycha, prezentował się jako „normalny” na tle sfanatyzowanego sojusznika, zaś ataki ze strony „twardego” elektoratu PO jedynie wzmacniały jego pozycję (aż do kryzysu wywołanego tajnym spotkaniem Hołowni z Jarosławem Kaczyńskim w domu Adama Bielana).

Stanowisko Hołowni było oczywiście m.in. z tego względu, że brak zwołania Zgromadzenia Narodowego oznaczałoby poważne naruszenie prawa. O ile Giertych mógł sobie pozwalać na najdziwniejsze narracje i szarże, o tyle prawne konsekwencje odmowy zaprzysiężenia Nawrockiego poniósłby osobiście marszałek.

Absurdalne były także oczekiwania twardego elektoratu KO, żeby poparł go Władysław Kosiniak-Kamysz. Wejście w narrację podważającą wybór Nawrockiego to byłby dla lidera PSL samobój, ponieważ jako szef MON musi dbać o szczególnie dobre relacje z prezydentem jako zwierzchnikiem sił zbrojnych. Trudno więc się dziwić, że Kosiniak nie był skory bo zaogniania konfliktów, ale raczej je łagodził.

Nawet media miały dość

Narracja Giertycha była na tyle „gruba”, że również bliskie obozowi władzy media zaczęły się nie tylko dystansować od tej narracji, ale wręcz ją krytykować. Robili to dziennikarze i redakcje, na których przychylność Tusk i Koalicja Obywatelska mogli liczyć niemal zawsze. Mieliśmy zatem do czynienia z wydarzeniem bez precedensu, i dowód na to przyniosły badania społeczne CBOS. Wynikało z nich, że 75 proc. Polaków uznaje wyniki podane przez PKW za wiarygodne (w tym 62 proc. wyborców Rafała Trzaskowskiego). Kolejne sondaże CBOS pokazały też, że poparcie dla rządu Tuska tonie, i ma on dziś mniejszy odsetek zwolenników niż gabinet Mateusza Morawieckiego tuż przed oddaniem rządów przez PiS. Z kolei samego Tuska na stanowisku premiera nie chce aż 58 proc. badanych.

Nic dziwnego, niemało jest w elektoracie KO osób, dla których narracja wyborcza tej formacji jest co najmniej mocnym „żółtym” światłem. Pójście w zaparte i dodawanie coraz bardziej absurdalnych argumentów spowodowało, że dla racjonalnych wyborców postępowanie partii stało się nie tylko nieakceptowalne, co wręcz obraźliwe. Należy pamiętać, że liberalny elektorat związał się z PO z uwagi na jej „racjonalny” wizerunek, który kontrastował z obrazem prawicy, oddającej się spiskowym teoriom, ideologicznym szaleństwom oraz plemiennym zaślepieniom. Wyborcza narracja uderzyła więc w tożsamościowe fundamenty Platformy i podważyła to, co dla wielu było uzasadnieniem poczucia wyższości nad prawicą. Wielu wyborców zobaczyło, że na ich oczach rodzi się liberalny odpowiednik narracji smoleńskiej, okraszony emocjonalną egzaltacją najtwardszego elektoratu PO.

Narracja sterowana przez Giertycha była trudna także dla wielu polityków PO, choć publicznie o tym nie mówią. Większość

z nich czuła, że operacja jest zbyt grubymi rękawicami szyta i do niczego nie doprowadzi. Posłowie KO starali się więc ograniczać przekaz do „bezpiecznych” pozycji, czyli wskazywania konieczności przeliczenia głosów tam, gdzie były nieprawidłowości (i ogólnej krytyki IKNiSP). Część jednak dała się złapać w „pułapkę” Giertycha.

Charakterystyczny jest przykład ministra Adama Bodnara. Dotychczas starał się on tworzyć wrażenie, że reprezentuje umiarkowaną frakcję w obozie władzy. Nie wiemy, co motywowało ministra sprawiedliwości, że podejmując się działań sugerujących wyborcze fałszerstwa, zagrał *de facto* w przedstawieniu Giertycha. Tym samym uwiarygodnił go i zakwestionował swoją dotychczasową linię dystansu wobec znanego adwokata (ale też wobec radykałów domagających się np. bezwzględnej rozprawy z tzw. neosejdziami). Sam Giertych tylko wzmacnił się politycznie, bo udowodnił, że ma zdolność narzucania tonu w debacie publicznej. Takie akcje Giertycha tylko budują – adresuje on przekaz wyłącznie do twardego elektoratu PO, więc krytyka ze strony środowisk umiarkowanych go nie zraza, a jedynie wzmacnia.

Premier bez planu B

Wszystkie opisane wyżej zjawiska zdarzyły się w trudnym dla tej partii momencie. Po przegranej w wyborach prezydenckich Platforma (będąca główną siłą Koalicji Obywatelskiej) znajduje się w defensywie, a nastroje są tam mocno pesymistyczne. Wielu działaczy spodziewa się nie tylko oddania przez koalicję 15 października władzy w 2027 r., ale też załamania poparcia dla samej PO – i to w niedalekiej przyszłości. Niewielu będzie też chętnych do współpracy z partią, która wchodzi właśnie w głęboki kryzys. Zapowiedź nowych inicjatyw politycznych, jak ta Wadima Tyszkiewicza, czy spekulacje o partii Arkadiusza Musia (13. na liście najbogatszych Polaków, według ostatniego rankingu „Wprost”) oraz Rafała Brzozki dowodzą, że rośnie przeczcucie, iż PO jest już na tyle słaba, by zrodziło się miejsce na nowe projekty typu „Nowoczesna 2.0”.

Kryzys dotyczy także przywództwa samego Tuska. Charakterystyczne jest, że po wyborach w przychylonych mu mediach pojawiały się, niewyobrażalne wcześniej, materiały podkreślające negatywną rolę

→ premiera w kampanii Trzaskowskiego. W tej sytuacji wielu oczekiwało od niego „zadośćuczynienia” – mocnego nowego otwarcia, które pokazywałoby, że istnieje „plan B”. Wystąpienie Tuska w Sejmie zostało jednak odebrane jako nieprzekonujące i jako dowód na to, że premier RP nie ma żadnego asa w rękawie.

Wielu wciąż zastanawia się, dlaczego w ogóle Tusk pozwolił Giertychowi nadawać ton przekazowi KO w kwestii wyborów. Często stawiana jest teza, iż premier stracił swój legendarny słuch społeczny i błędnie kalkuluje rachunek zysków oraz strat. Potwierdzeniem tej tezy ma być niezdecydowanie Tuska i jego niejednoznaczne sygnały. Tuż po wyborach uspokajał nastroje, by następnie wysłać kilka bardzo „ofensywnych” komunikatów, a na końcu znowu wrócić do tych umiarkowanych.

Chybotliwość premiera bez wątpienia była błędem, bo finalnie nikogo nie usatysfakcjonowała, a wielu zniechęciła. Dla umiarkowanego elektoratu pójsie z Giertychem było nieakceptowalne i antypaństwowe. Z kolei najtwardszy elektorat czuje się dziś zdradzony. Tusk zrodził w nim nadzieje i oczekiwania, których nie był w stanie zaspokoić.

Kryzys u podstaw

Wyborcza narracja nie jest przypadkowym błędem, ale konsekwencją znacznie głębszych procesów, które od dłuższego czasu trapią nie tylko PO, ale całą KO. Są to procesy długiego trwania, które często nie mają spektakularnych kamieni milowych, więc umykają obserwatorom polityki. Na czym one polegają?

Po pierwsze, Tusk wzorem Kaczyńskiego postanowił stworzyć twardy i wierny elektorat, który podążałby za partią i jej liderem bez żadnych wątpliwości. Taki elektorat miał dawać pewny grunt i bazę, z której zawsze można wyskoczyć na polityczne łowy, szukając dodatkowego poparcia. To był powód, dla

Stopniowa degradacja kadrowa doprowadziła do sytuacji, w której partia „wisi” na Tusku.

PO stała się partią generała, poniżej którego widać samych poruczników i kilku majorów.

którego Tusk dał zielone światło w dowartościowaniu grupy „silniczków” – radykalnie antypisowskiej grupy, znanej na portalu X ze swoich dywanowych nalołów na politycznych przeciwników. Co ważne, grupa ta nie tylko atakuje polityków PiS, ale też wszystkich mających wątpliwości po stronie liberalnej.

Nadanie tej grupie kluczowego znaczenia zrodziło istotne koszty. Przede wszystkim Silni Razem swoim radykalizmem i osobliwym językiem debaty zniechęcają bardziej umiarkowanych wyborców koalicji, zarazem radykalizując polityków KO. Zwłaszcza tych mniej doświadczonych, którzy poddają się emocjonalnie marginalnej w sumie grupie, niejednokrotnie doprowadzając przy tym do medialnych kompromitacji.

Drugim problemem jest praktykowane od lat ustawianie się w kontrze do PiS, które stanowi nie tylko główną narrację PO, ale zaczyna wręcz definiować tożsamość partii. Tusk chcąc przesterać formację na waleczną i zdyscyplinowaną armię spowodował, że często nie jest ona w stanie funkcjonować w innych trybach niż wojna z PiS. Tymczasem strategia działania, która angażuje w zasadzie tylko najtwardszą bazę, nie ma wielkiego potencjału, by zyskiwać na popularności. O ile może być z pewnym sukcesem realizowana w czasie, gdy Platforma znajduje się w opozycji, to w okresie sprawowania władzy trzeba umieć zagospoda-

rować oczekiwania dużo szerszej grupy wyborców.

Radykalny „antypisizm” powoduje, że każdy, kto reprezentuje podobną linię, staje się potencjalnym sojusznikiem KO. Pozwoliło to formacji zebrać wokół siebie antyprawicowe elity, ale przy okazji także liberalne odpowiedniki Antoniego Macierewicza. W swojej nadgorliwości obniżają wiarygodność KO, ponieważ ich pełne niezdrowych emocji podejście sprawia, że często „przeprzewajają” tematy i czynią zarzuty wobec PiS absurdalnymi, nawet w sytuacjach, w których miały silne podstawy.

Uwieszeni na Tusku

Trzeci strategiczny problem PO to kryzys kadrowy. Wszystkie narracyjne porażki, z tą wyborczą włącznie, nie wydarzyłyby się, gdyby działał tam lepszy filtr przepuszczający komunikaty słane do opinii publicznej. Widać wyraźnie, że brakuje w tym środowisku osób posiadających zdolność chłodnej kalkulacji, a także mających polityczne znaczenie, które mogłyby na wczesnym etapie wysłać wiarygodne sygnały ostrzegawcze. O ile w czasach pierwszego rządu Tuska miał on wokół siebie całą grupę osób posiadających pewną autonomię (partia zaś – osobne frakcje), to dziś, poza Radosławem Sikorskim, takich osobistości nie widać. PO stała się partią generała, poniżej którego widać samych poruczników i kilku majorów.

Stopniowa degradacja kadrowa doprowadziła do sytuacji, w której partia „wisi” na Tusku i nie posiada mechanizmu korekty na wypadek, gdyby wódz robił błędy. Jednak premier jest tej sytuacji nie tylko ofiarą, ale przede wszystkim sprawcą. Wyeliminował bowiem lub zmarginalizował wszystkie osobistości mające potencjał odgrywania choćby częściowo samodzielnej roli.

Te strategiczne problemy sprawiają, że cała KO jest w trudnym położeniu. O ile można z dnia na dzień zmienić wyborczą taktykę, o tyle nie da się zmienić partyjnego DNA. Dziś kluczowe pytanie brzmi: czy w KO w ogóle jest świadomość, iż źródło problemów leży znacznie głębiej, niż się wielu jej politykom wydaje. Na razie nic na to nie wskazuje.

© PAWEŁ MUSIAŁEK

Autor jest prezesem Klubu Jagiellońskiego

OGŁOSZENIE

Sprostowanie

PAN PROFESOR DANIEL WICENTY ZAPEWNIŁ, że jego kandydatura nigdy nie była rozważana w kontekście pracy w kancelarii prezydenta Karola Nawrockiego („Wszyscy ludzie prezydenta”, TP nr 25/2025). Zainteresowanego oraz czytelników przeproszam za niewystarczające zweryfikowanie tej informacji. PIOTR ŚMIŁOWICZ

Teren, wódka i disco polo

PIOTR ŻELAZNY

SPORT | Jak to się stało, że mimo tylu afer i kompromitacji Cezary Kulesza wciąż rządzi polską piłką? Prezesa PZPN chronią dobre relacje ze związkowym „terenem” – i z politykami.

KUKANIA TO MITYCZNA KRAINA wiecznego dostatku, która pojawia się w ludowych opowieściach i literaturze sowiwdrzańskiej. Nie trzeba w niej pracować, „pieczone gołąbki wlatują same do gąbki”, kiełbasy wiszą pod strzechami, rzeki płyną piwem i miodem, a chłop tylko leży pod lipą i paląc fajkę śmieje się z trosk. Jak w każdym micie o krainie doskonałej – Walhalli, Arkadii, raj – nie da się jej ulepszyć.

Tak samo musieli myśleć delegaci na zjazd Polskiego Związku Piłki Nożnej, którzy przed tygodniem powierzyli federację na kolejne cztery lata w ręce dotychczasowego prezesa, Cezarego Kuleszy. Gospodarz to tak dobry, że nie doczekał się nawet kontrkandydata. Wybory były tylko formalnością, podczas której 84 procent delegatów poparło Kuleszę.

Kadencja afer

A jednak PZPN nie jest Arkadią nawet dla niezbyt pilnie śledzącego polską piłkę obserwatora. O związku w mediach głośno nie z powodu sukcesów piłkarskich. Pierwsza kadencja Kuleszy to pasmo porażek, i to nie tylko wizerunkowych.

Najpierw uciekł mu do Brazylii selekcjoner Paulo Sousa. Już wtedy w środowisku krążyły historie o tym, że po przegranej meczu z Węgrami prezes wezwał trenera na dywanik. Sam jednak spędził wieczór tak upojnie, że kierowcy kazano

zawieźć go do rodzinnego Białegostoku. Na poranne spotkanie przyszedł tylko Sousa. Plotka ta niedawno została potwierdzona przez portal Goniec, którego artykuł śledczy nosił wymowny tytuł „Polski Związek Wódki Nożnej”. Przedstawiono tam federację jako miejsce, w którym mocne alkohole towarzyszą prezesowi i jego świcie na każdym kroku.

Niby nic nowego – przecież piłkarze publicznie żalili się na podchmielonych działaczy na pokładzie samolotu, którym podróżowali na mecz. Do mediów wyciekło też nagranie, na którym widać skazanego za korupcję działacza Mirosława Stasiaka, który powinien być w PZPN *persona non grata*, a nie zapraszany na bankiety VIP-em. Skoro jednak Kulesza zatrudnił jako selekcjonera Czesława Michniewicza, który zasłynął 711 połączeniami telefonicznymi z hersztem mafii ustawiającej mecze...

To za czasów Michniewicza wybuchła „afera premiowa”, związana z kłótnią wewnątrz kadry podczas mundialu w Katarze o miliony obiecane przez premiera Morawieckiego. Ta historia na długie miesiące zatrzała atmosferę w drużynie, ale teraz konflikt kolejnego selekcjonera wybranego przez Kuleszę – Michała Probiezera – z kapitanem i najlepszym polskim zawodnikiem Robertem Lewandowskim przyćmił chyba nawet ją. A przecież po drodze jeszcze była historia

z wynajętym przez PZPN ochroniarzem – niejakim „Gruchą” – oskarżonym o działalność w grupie przestępczej (policja zabezpieczyła w jego domu m.in. materiały neonazistowskie).

Sekretarze i baronowie

Jak to się dzieje, że mimo tylu afer Kulesza jest niezatapialny? Po części świadczy to o związkowej opozycji, którą stać było wyłącznie na to, by nie zatwierdzić podczas zjazdu proponowanych przezeń wiceprezesów. I chociaż media przedstawiały to jako wotum nieufności czy wręcz rewolucję, po prezesie wymiana zastępców raczej spłynęła. Z wyborem następcy Probiezera – również ostentacyjnie się nie śpieszy.

Kluczem do odpowiedzi, dlaczego tak się dzieje, jest magiczne słowo „teren”. Prezesa wybiera 118 delegatów. 58 głosów mają profesjonalne kluby, futsal, trenerzy i futbol kobiecy. 60 głosów to wojewódzkie związki piłki nożnej. Właśnie je trzeba umieć przekonać.

Jeśli PZPN uważany jest za jedną z ostatnich w Polsce instytucji, która nie przeszła „transformacji ustrojowej”, to co powiedzieć o jego mniejszych, regionalnych gałęziach? Fakt, że prezesi wojewódzkich związków nazywani są „baronami”, mówi bardzo wiele. Władzę – dzięki środkom od sponsorów – mają dużą i sprawują ją w wielkopańskim stylu.

LESZEK SZYMAŃSKI / PAP



Prezes PZPN Cezary Kulesza przed meczem Polski z Ukrainą na Stadionie Narodowym. Warszawa, 7 czerwca 2025 r.

→ Oczywiście czas płynie. Lubelskim związkiem przestał jakiś czas temu rządzić major SB Marian Rapa, a wielkopolskim (po 16 latach) dawny członek Komitetu Wojewódzkiego PZPR Stefan Antkowiak. Zanim jednak odeszli, wychowali następców. Część starej gwardii – jak panujący od 25 lat w Kujawsko-Pomorskim były działacz PZPR Eugeniusz Nowak – wciąż ma się dobrze.

Kandydaci na prezesa PZPN mogą być merytorycznie przygotowani, mogą mieć plan na reformę polskiego futbolu, ale wygra ten, który więcej fruktów obieca „baronom”, zaprosi ich na więcej wyjazdów z kadrą i urzędzi bardziej wystawne bankiety. W tekście „Gońca” z ust jednego z informatorów pada zdanie: – To *modus operandi* Czarka. Wódką załatwia wszystko. Stara szkoła.

Piłka i piosenki

Szef polskiej piłki pochodzi ze wsi Kulesze Kościelne, oddalonej o 55 km od Białegostoku. Obok leżą jeszcze Kulesze Podlipno, Kulesze-Litewka i Kulesze-Podawce. Wszystkie te nazwy pochodzą od niegdysiejszego właściciela terenów, Kuleszy Kurszaka herbu Ślepowron.

Cezary przyszedł na świat w 1962 r., a jego rodzice byli nauczycielami w miejscowej podstawówce. W latach 80., gdy syn już grał w piłkę w drużynach z okręgu, wyjechali za pracą do USA. Po latach, gdy jedna z firm prezesa PZPN znalazła się na celowniku urzędu skarbowego, Kulesza pod przysięgą zeznał, że niemal milion dolarów, które pojawiły się nagle na koncie, to pożyczka udzielona przez mamę. Skarbowka nie była w stanie udowodnić nielegalnego pochodzenia pieniędzy i skończyło się na podatku.

W latach 1988-1990 rozegrał kilkanaście meczów w barwach Jagiellonii. Potem wyjechał do trzecioliigowego belgijskiego klubiku, a gdy wrócił, grał jeszcze w niższych ligach, po czym w warunkach rodzącego się nad Wisłą kapitalizmu zaczął robić karierę biznesową.

Został królem disco polo: jego założona w 1994 r. wytwórnia płytowa Green Star wydawała największe gwiazdy gatunku. Do dziś umowami z nią związane są zespoły Akcent Zenka Martyniuka oraz Boys. Strona internetowa firmy przetrwała nie jest: w zakładce „impresariat – zespoły” widnieje tylko numer tele-

Kluczem do sukcesu Kuleszy jest słowo „teren”.

Prezesa wybiera 118 delegatów, ale 60 głosów mają wojewódzkie związki piłki nożnej. On potrafi je do siebie przekonać.

fonu. Dość zaskakująca podstrona „Projekty unijne” zawiera za to informację, że firma realizuje „rozbudowę i przebudowę istniejącego motelu ATLANTA na budynku hotelowy z zapleczem gastronomicznym i konferencyjno-bankietowym wraz z urządzeniami budowlanymi w Jeżewie Starym”. Dotacja wyniosła 5,6 mln zł.

Pershing i Wariat

Biznes Kulesza prowadził twardą ręką. Tak przynajmniej wynika z książki Marcina Kąckiego „Białystok – biała siła, czarna pamięć”, wydanej w 2015 r., czyli sześć lat przed tym, jak został prezesem PZPN. Autor przedstawia tego znanego wówczas głównie w środowiskach piłkarskich i discopolowych przedsiębiorcę jako nieformalnego władcę Białegostoku i okolic. Kulesza wielokrotnie odżegnywał się od tego portretu, ale procesu Kąckiemu nie wytoczył.

Gdy jakiś artysta podpisywał umowę z Green Star, sprzedawał nie tylko piosenki, ale i duszę. Firma nabywała prawa do całej muzyki i nazwy zespołu, a także decydowała o tym, gdzie i za ile będzie występować. Kulesza już wtedy miał kilka dyskotek na Podlasiu, za perłą w koronie – Scorpio w miejscowości Wnory-Wiechy.

„Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” podaje, że w roku 1827 we Wnorach-Wiechach, należących do parafii Kulesze, w 15 domach żyło 59 mieszkańców. Według danych GUS dziś mieszka tam 166 osób. Gdy jednak przychodzi weekend, do niepozornego parterowego budynku zjeżdża całe Podlasie. Wciąż. Można więc sobie wyobrazić, co się tu działo pod koniec lat 90.

Dyskoteki i kluby muzyczne były wówczas przedmiotem zainteresowania półświatka; niektórzy gangsterzy działali też w biznesie disco polo. Przywódca ma-

fii pruszkowskiej, „Pershing”, w 1998 r. założył w Rumii jedną z największych tłoczni płyt kompaktowych. Spółka nazywała się General Group, „Pershing” został jej wiceprezesem, co dawało mu możliwości prania dowolnych sum pieniędzy. W branżę disco polo wszedł też przywódca gangu ząbkowskiego – „Wariat”.

W dyskotekach dochodziło do handlu narkotykami i alkoholem z przemytu, a także do stręczycielstwa. Gdy ktoś nie przystawał na „ochronę”, jego lokal płonął. Do Kuleszy jednak nic się nie przyczepiło. „Jeden z prokuratorów białostockich przyznaje mi, że w latach 90. sam Kulesza bez żenady zwalczał dyskoteki, które robiły mu konkurencję, ale kartotekę kryminalną ma czystą” – pisze Kącki.

Dostał po schabach

Pieniądze z disco polo przyszyły prezes PZPN inwestował głównie w nieruchomości. Dziś jest właścicielem kamienic, pawilonów handlowych, siłowni Magic Gym, a także, ze współnikami, Hotelu Royal & Spa w ścisłym centrum Białegostoku. Drugi jego hotel to wspomniana już Atlanta w miejscowości Jeżewo Stare.

W 2008 r. Kulesza wykupił podupadającą Jagiellonię Białystok. Udziałowców było więcej, ale władza skupiła się w jego rękach. Od 2010 r. funkcję prezesa klubu pełnił już zresztą formalnie (ze stanowiska zrezygnował dopiero, gdy został szefem PZPN). Dekada jego rządów to najlepszy czas w historii klubu, do ubiegłorocznego mistrzostwa kraju, czyli dwa wice mistrzostwa i Puchar Polski. Klub słynął też z umiejętnego poruszania się po futbolowym rynku. Sprowadzał piłkarzy, szlifował, promował i za niezłe pieniądze wysyłał na Zachód. W tym okresie na transferach zarobił ok. 20 mln euro. Kulesza był twardym negocjatorem.

O tym, jak piłkarze, w których inwestował, czuli się obserwowani, krążą legendy. Gdy jeden z nich, słynny reprezentant Polski Kamil Grosicki, kupił któregoś dnia prezerwatywy, jeszcze na dobre nie zdążył oddalić się od apteki, a już dzwonił do niego prezes i wypytywał, po co mu one. Kilka lat temu jeden z byłych piłkarzy Jagiellonii opowiadał też „Przeładowi Sportowemu”, jak prezes dorwał Grosickiego wychodzącego z kasyna. „Prezes słynie z ciężkiej ręki. No i dostał chłopak »po schabach«” – wspominał.

Wielki udział w sukcesach Jagiellonii miał trener Probierz, którego później Kulesza uczynił selekcjonerem. Nawet kiedy w pewnym momencie klub bronił się przed spadkiem, a nastroje w mieście były fatalne, ani myślał go zwolnić.

Dobrze z Platformą

Prezes wiedział też, jak poukładać się z lokalnymi władzami – i przeniósł tę umiejętność do federacji. W Białymstoku od 2006 r. rządzi Tadeusz Truskolaski, popierany przez PO. W wyborach w 2018 i 2024 r. w mieście nie trzeba było nawet drugiej tury. Truskolaski jest mężem kuzynki Kuleszy. Jak to w rodzinie – trzeba sobie pomagać.

O tej pomocy Kącki pisał tak: „To nowoczesny obiekt na prawie 23 tysięcy widzów, zbudowany za ćwierć miliarda zł publicznych pieniędzy [chodzi o stadion Jagiellonii – red.]. Dla Kuleszy to biznes samofinansujący się. Prezydent Truskolaski (...) podpisał z nim dwie umowy. Pierwszą – Kulesza dostaje od miasta co roku ok. 3 mln zł za promocję miasta, piłkarze noszą na koszulkach logo »Wschodzący Białystok«. Drugą – Kulesza płaci miastu za dzierżawę stadionu 1,5 mln zł. Zatem na czysto w kasie klubu zostaje 1,5 mln zł miejskich pieniędzy”.

Za 40 mln Jagiellonia kupiła od miasta grunty, na których stał stary stadion. Miała płacić w ratach, ale – jak twierdzi Kącki – z egzekucją pieniędzy były problemy i narastały opóźnienia. Niemniej

grunty sprzedała deweloperom za ponad 70 mln. Osiem hektarów pod akademię szkolącą piłkarską młodzież klub dostał od miasta w 25-letnią dzierżawę. Za 2,2 tys. zł rocznie...

Fenomen podpinania się pod samorządowe kroplówki to zjawisko znane, ale w Białymstoku synergia była olbrzymia: gdy Truskolaski kandydował w 2014 r., na jednym z banerów ścisłał prawicę będącego wówczas u szczytu popularności w mieście trenera Probierza. W autobusach nadawano komunikaty, w których prezydent zapraszał na mecze.

Lepiej z PiS

Prezes bliżej związany jest jednak z prawicą. Z takich pochodzi terenów: w wyborach parlamentarnych w 2015 r. 83 proc. mieszkańców Kuleszy Kościelnej poparło partię Jarosława Kaczyńskiego, a w wyborach prezydenckich 94 proc. głosowało na Andrzeja Dudę.

Jednym z wiceprezesów w pierwszej kadencji Kuleszy w PZPN był senator PiS Mieczysław Golba. Dosłownie tydzień przed wyborami w 2023 r. prezes wspólnie z ministrem sportu Kamilem Bortnicukiem prezentowali plany budowy ośrodka szkoleniowego w Otwocku. Kulesza otrzymał wtedy czek symbolizujący trzystumilionową inwestycję z budżetu państwa. Komentarze były jednoznaczne: to element kampanii. Urządzono szopkę, na szybko, z nieprawidłowo wypełnionymi dokumen-

tami, choć było pewne, że w przypadku zmiany władzy decyzja zostanie cofnięta. I tak się oczywiście stało.

Wielką siłą w związku jest agencja Publicon Sport, która formalnie odpowiada za kontakty sponsorskie, ale nieformalnie jej wpływ jest jeszcze większy. Firmę założono w październiku 2023 r., a więc dwa miesiące po wyborze Kuleszy na stanowisko (w oficjalnym komunikacie o nawiązaniu współpracy związek podkreślał, że jednym z powodów zaufania Publiconowi jest jego... doświadczenie). Agencja wypączkowała z Publicon Services – firmy z portfela funduszu Czyszą3.VC, kontrolowanego przez biznesmena Radosława Tadajewskiego, przez lata robiącego interesy z rządem PiS. Na jego działalność 40 mln zł wyłożyło w 2018 r. Narodowe Centrum Badań i Rozwoju – instytucja, którą dziś kontroluje CBA.

„Spółki Tadajewskiego pomagały w przeszłości w prowadzeniu kampanii wyborczych PiS i prezydenta Andrzeja Dudy, a dziś pracują na rzecz spółek skarbu państwa. Publicon Services zajmuje się m.in. obsługą PKN Orlen i PKP Intercity” – pisał w marcu 2023 r. Onet. Wedle informacji portalu Tadajewski pomógł Kuleszy poprowadzić kampanię wyborczą. Miał się też chwalić swoim „przełożeniem na media”: tym, że będzie mógł „wyciszyć każdą aferę wokół związku”. Jego słowa okazały się obietnicami bez pokrycia: nawet w mrocznych czasach prezesa Grzegorza Łaty federacja nie miała tak złego wizerunku.

Z prominentami Zjednoczonej Prawicy łączy też Kuleszę związki prywatne. We wspomnianym już tekście z portalu Gonic przywołany został obrazek, na którym pijani działacze, z prezesem na czele, obejmują się z posłem Łukaszem Mejzą i śpiewają „Barkę”. Na nagraniu widać ministra Bortniczuka.

Rzeczywiście barka, którą jest polska piłka, pozostała na brzegu. Liczą się wyłącznie interesy i interesiki, a wszystko podlane jest wódką. Najbliższe cztery lata będą wyglądały równie źle. Nawet gdyby reprezentacja miała pięciu Lewandowskich, w tak zepsutym środowisku nie osiągną niczego. © PIOTR ŻELAZNY

Autor jest dziennikarzem TVP Sport, założycielem magazynu „Kopalnia – sztuka futbolu”.

ZOBACZ RÓWNIEŻ NA TYGODNIKPOWSZECHNY.PL W DZIALE KRAJ

Reportaż z zachodniej granicy Krzysztofa Jabłonowskiego „Ilu widzieliście imigrantów?”



powszech.net/iluwidzieliscieimigrantow
weź, czytaj!

Z ODDECHEM

BEZA NAD MONTMARTRE

Gdy 150 lat temu rozpoczęto budowę bazyliki Sacré-Coeur, skandal gonił za skandalem. Biały moloch rósł w miejscu, gdzie narodził się najpiękniejszy eksperyment socjalistyczny w historii Francji.

I „hańbił pamięć ludu”, choć powstawał z jego datków.

DOROTA MALINA Z PARYŻA



O CZY JEGO PADŁY TERAZ NA BAZYLIKĘ SACRÉ-COEUR, KTÓREJ kredowy, ciężki gmach zasłaniał horyzont, niemile raziąc wzrok nagą, surową swą nowością murów” – tak, z pogardą, świątynię opisywał Piotr Froment, bohater „Paryża” Emila Zoli. Wcale nie był w swoim krytycyzmie osamotniony. Wielka beza, bez której dziś nie wyobrażamy sobie francuskiej stolicy, nie została przyjęta z radością. Jej powstaniu towarzyszyły spore kontrowersje, a postulaty wyburzenia pojawiają się do dziś.

Ale spokojnie, raczej nie zostaną spełnione, bo trzy lata temu kościół został wpisany na listę zabytków chronionych. Również nie bez kontrowersji – polityk Jean-Luc Mélenchon nazwał ją „apologią mordu 32 tysięcy komunistów” i wezwał do oprostowania decyzji. Bezskutecznie. 11 października 2022 r. bazylika Sacré-Coeur zyskała miano zabytku. A dziś obchodzi 150. urodziny.

Pomysł

Cały ambaras z Sacré-Coeur polega na zbieżności dat i błędnym przypisywaniu motywów. Powiedzieć, że w latach 1870-1871 we Francji dużo się działo, to nic nie powiedzieć: wojna francusko-pruska, oblężenie Paryża, klęska i upadek Napoleona III, Komuna, czyli efemeryczny rząd robotniczy, a potem jego

krwawe stłumienie. Te wszystkie wydarzenia doprowadziły do zmiany reżimu (drugie cesarstwo ustąpiło trzeciej republice) i, wkrótce potem, narodzin nowoczesnej, laickiej Francji.

Zanim jednak najstarsza córka Kościoła w 1905 r. grubą kreską oddzieliła religię od państwa, zgodnie z „wolą narodu” władze postanowiły wznieść bazylikę ku czci Najświętszego Serca Jezusowego. Na wzgórzu Montmartre – żeby górowała nad miastem i była dobrze widoczna. Albo żeby zbeczczyć pamięć o Komunie, która właśnie tam się zaczęła.

Według zwolenników tej drugiej teorii postawienie ostentacyjnego białego molocha w miejscu, gdzie narodził się najpiękniejszy eksperyment socjalistyczny w historii Francji, próba (krótkotrwała, ale jednak) wprowadzenia społeczeństwa bezklasowego i rządów ludu, było haniebnym skandalem. Po 72 dniach zryw został krwawo stłumiony, a reakcyjne elity kurczowo trzymające się Kościoła i dawnych przywilejów na gruzach postanowiły wznieść świątynię.

Narracja ta obowiązuje poniekąd do dziś – co prawda teraz już tylko ekstremiści domagają się rozbiórki – taka propozycja padła na przykład w budżecie partycypacyjnym w 2017 r.) – ale wielu chce, żeby na wzgórzu mocniej zaakcentować dziedzictwo pierwszej w dziejach dyktatury proletariatu.

→

Panorama Paryża z bazyliką Sacré-Coeur



→

Geneza, choć nośna, nie jest prawdziwa, bo pomysł na ufundowanie w Paryżu bazyliki Serca Chrystusowego narodził się w 1870 r., czyli przed wybuchem Komuny. Podczas ciężkiej zimy, kiedy Prusowie przez cztery miesiące oblegali Paryż, zagorzały katolik Alexandre Legentil obiecuje Bogu, że jeśli ten ocali jego ojczyznę, on zadba o wzniesienie wspaniałej świątyni. Wraz ze szwagrem, Hubertem Rohault de Fleury i innymi notablami uznają, że klęski wojenne Francji są karą za odejście od wiary.

Formułują „wolę narodu” i dzięki szerokim wpływom w 1873 r. doprowadzają do przegłosowania projektu w Zgromadzeniu Narodowym. Wbrew zwolennikom teorii kary dla komunardów nie od razu myśleli o Montmartrze. Pojawiła się propozycja postawienia jej w centrum miasta – Legentil chciał nawet zburzyć powstającą właśnie Operę Garniera i to na jej miejscu wzniesić świątynię.

Ostatecznie wybrano Montmartre ze względu na dobre położenie oraz symbolikę „wzgórza męczenników” (fr. *mont des martyrs*): to tu z rąk Rzymian zginąć miał pierwszy biskup Paryża, święty Dionizy, z towarzyszami. No a że przy okazji można było zatriumfować nad komunardami, którzy zamordowali tu dwóch generałów – to raczej bonus, a nie pierwotny impuls.

Realizacja

Każdy, kto choć raz robił remont, zna podstawowe prawo budowlane: wszelkie roboty pochłaniają znacznie więcej czasu i środków, niż pierwotnie przewidziano. Bazylika Sacré-Coeur nie jest tu wyjątkiem. Pierwszy kamień położono w 1875 r. Ostatecznie budowę zakończono w latach 60. XX w., choć konsekracji dokonano już w 1919 r.

Wynikało to między innymi z dużej skali przedsięwzięcia i trudnych warunków geologicznych. Montmartre to teren dawnych kamieniołomów gipsu. W epoce nowożytnej przy wydobyciu korzystano z materiałów wybuchowych, od czego grunt stał się bardzo niestabilny. Budowa bazyliki na wyrobisku wymagała wzmocnienia fundamentów – wielka beza stoi na 83 filarach sięgających 33 metry w głąb ziemi.

Winną opóźnień była też historia – świątynia *in statu nascendi* przetrwała dwie wojny i trzy reżimy, prawną laicyzację Francji (ustawa z 1905 r.) oraz śmierć czterech kolejnych architektów.

Pierwotny budżet przekroczono sześciokrotnie. A *gros* budowy sfinansowano z datków, bo choć „hańbi pamięć o władzy ludu”, ten wsparł ją szczerze. Ze sprzedaży



FOT. TOMAS MAREK / ADOBE STOCK

Sacré-Coeur jest podobno najczęściej tagowanym paryskim zabytkiem na Instagramie.

Przebija wieżę Eiffla.

I, tak jak ona, bywa popkulturowym symbolem miasta.

10 milionów cegiełek zebrano 46 milionów franków. Darczyńcy, zwłaszcza więksi i instytucjonalni, mają w murach swoje tabliczki.

Aparycja

W drugiej połowie XIX w. w architekturze nadal dominował neogotyck – strzeliste wieże i wysokie iglice wyrażały romantyczną nostalgię za czasami katedr. Główny budowniczy Sacré-Coeur, Paul Abadie, celowo porzucił jednak neogotyck na rzecz „ponadczasowego” (jak sam uważał) albo „staroświeckiego” (zdaniem przeciwników) stylu neoromańsko-bizantyjskiego. Bezpośrednią inspiracją była dla niego katedra świętego Fronta w Périgueux, nazwana przez Victora Hugo „wielkim meczetem”, którą z kolei wzorowano na Hagii Sophii w Konstantynopolu i bazylice świętego Marka w Wenecji.

To, że dziś kopuła Sacré-Coeur nie jest przysadzistą półkulą, zawdzięczamy apopleksji – niecałe dziesięć lat po rozpoczęciu budowy, w roku 1884, Paul Abadie dokonał żywota. Najwięcej zmian wprowadził Lucien Magne, który wysmuklił kopułę, upodabniając ją do renesansowych kościołów w Rzymie i Florencji. Miało to wymiar zarówno symboliczny – odrodzenie kraju po wojnie z Prusami – jak i estetyczny.

Wysoka kopuła góruje nad miastem, a oglądana z dołu, nie wydaje się spłaszczona.

Tym, co rzuca się w oczy, jest też cudowna biel bazyliki, kontrastująca z szarością paryskiej architektury. Wszystko dzięki wapieniowi z Château-Landon (miejscowość oddalona o 100 km od Paryża), który w kontakcie z wodą i słońcem bieleje. Pod wpływem deszczu budulec wydziela kalcyt, który działa jak naturalne bielidło i zabezpiecza mury przed sadzą i brudem. Ceną za tę cudowność jest móżół obróbki – trawertyn, bo tak kamień fachowo się nazywa, jest bardziej porowaty i delikatniejszy niż inne odmiany wapienia, więc wykorzystywany jest dość rzadko.

Z zewnątrz ośniewająca biel, a w środku same rekordy. Po wewnętrznej stronie kopuły zwiedzający mogą podziwiać największą we Francji i jedną z największych na świecie mozaik – na 475 metrach kwadratowych przedstawiono Chrystusa w majestacie, świętych i ich atrybuty. Jak zaznaczają włodarze świątyni: „to coś więcej niż dekoracja. To dzieło sztuki, które symbolizuje wiarę i pobożność”.

Wiernych na nabożeństwa zrywa natomiast wielki, prawie dziewiętnastotonowy dzwon sabaudzki – też w europejskiej czołówce. Przyjechał do Paryża z przyłączonej dopiero w 1860 r. Sabaudii (co też było znaczące), a na wzgórze wciągało go 28 koni.

Warte uwagi są także organy, które po stu latach funkcjonowania poszły na zaskłony, dwuletni urlop. Instrument od roku 1981 jest na liście zbytków, więc specjaliści z najwyższą troską będą demontować, czyścić i konserwować cztery manualy, pedały, 78 głosów i oryginalną mechaniczną trakturę.

Patrząc na imponujące rozmiary organów, aż dziw bierze, że pierwotnie przeznaczone były do prywatnego pałacu barona Alberta de l'Espée na skalistym klifie niedaleko Biarritz. Ekscentryczny arystokrata po kilku nieszczęśliwych historiach miłosnych willę z organami sprzedał (miał inne rezycjencje), a instrument trafił do Paryża.

Funkcja

Sacré-Coeur jest bardzo prężnym jak na Francję miejscem kultu – codziennie odprawiane są tu cztery msze (w piątki pięć), a od pierwszego sierpnia 1885 r. nieustannie odbywa się adoracja Najświętszego Sakramentu. Przed monstrancją w prezbiterium wierni i opiekujące się świątynią benedyktynki czuwają całą dobę. W 1980 r. klęczał tu Jan Paweł II.

Co ciekawe, przy bazylice nie ma parafii, więc nie odbywają się tu śluby ani pogrzeby. Okoliczni mieszkańcy mają do dyspozycji znajdujący się nieopodal Saint-Pierre de Montmartre, jeden z najstarszych paryskich kościołów. Bazylika jest za to celem pielgrzymek. Obok niej znajduje się dom pielgrzyma, a w nim 170 łóżek.

Wierni przyjeżdżają na rekolekcje, dni modlitwy czy po odpuście grzechów. W tym roku, w związku z ogłoszonym przez papieża Franciszka rokiem jubileuszowym pod hasłem „Pielgrzymi nadziei”, w bazylice uzyskać można odpust zupełny. Są też odpusty specjalne, o które w tym roku dużo łatwiej, bo jubileusz goni jubileusz: 150. urodziny bazyliki i 140. rocznica ustanowienia ciągłej adoracji dają sposobność do pielgrzymek odpustowych.

I turystyki – rocznie bazylikę odwiedza ponad 11 milionów osób. Oglądają mozaikę, słuchają dzwonu i wielkich or-

ganów, za niewielką opłatą wspinają się na kopułę. Znacznie więcej turystów zadowala się zwykłym *selfie* na schodach. Sacré-Coeur jest podobno najczęściej tagowanym paryskim zażytkiem na Instagramie. Przebija wieżę Eiffla. I, tak jak ona, bywa popkulturowym symbolem miasta – wszyscy pamiętamy Amelię, która zorganizowała tu z Nino Quincampoix podchody. I marketingowy happening serialowej Emily, która kazała fotografować reklamowane łóżka tak, żeby w tle widać było białą kopułę (sezon 1, odcinek 5).

Podobnie jak w przypadku innych emblematycznych budowli (wieża Eiffla, Notre Dame), turyści najczęściej podziwiają świątynię z zewnątrz. Żeby zrobić sobie zdjęcie, wcale nie trzeba wchodzić do środka. Zdaniem wielu w przypadku Sacré-Coeur nawet nie warto, bo najpiękniejszy widok rozciąga się przed nami, kiedy staniami tyłem do białej bazyliki i podziwiamy szare dachy Paryża. Tak właśnie zrobił Piotr Froment: „Z wyżyny, na której stał, widział całą panoramę Paryża. Olbrzymie miasto spoczywało w dolnej płaszczyźnie, piękne, lekkie w różowym świetle wiosennego wieczoru...”.

Oaza

Tym, którzy jednak zdecydują się odstać w kolejce i przekroczyć próg bazyliki, świątynia da chwilę wytchnienia. Nie trzeba być człowiekiem mocnej wiary, żeby poczuć panujący tu spokój i skupienie. Kontrastujące z pandemonium, jakie nieustannie trwa na Montmartrze.

Tuż obok znajduje się plac Tertre, pełen drogich kawiarni i sklepów z kiczowatymi pamiątkami, skwer, gdzie uliczni artyści w pięć minut narysują nam karykaturę, lekko złośliwą, ale bez przesady (w końcu kto kasa rękę, która go karmi?).

Na schodach przed świątynią odbywają się pokazy breakdance'u, sprzedaż piwa i breloczków. Dzieci płaczą, psy szczekają, z tranzystorów dudni muzyka. Jest tłoczno, głośno i gorąco. Tymczasem w środku benedyktynki od ponad stu lat cicho modlą się o pokój na świecie. © DOROTA MALINA

Bazylika Sacré-Cœur na wzgórzu Montmartre. Paryż, maj 2016 r.



Laureat Pulitzera: instrukcja przetrwania w USA
Joan Didion w kubańskim Miami

DWUMIESIĘCZNIK
CZERWIEC 2025

wyborcza

KSIĄZKI

MAGAZYN DO CZYTANIA

NR 3 (72)
czerwiec 2025
cena 19,99 zł
(w tym 8% VAT)
indeks 296073
www.wyborcza.pl

Bolesław Prus JAKĄ LALKĘ CHCIAŁBY ZOBACZYĆ DZIŚ?

- Nie brzydź się plotkowania
- Dlaczego wolimy wiedzieć mniej



Sponsor numeru:

**John
le Carré**



KSIĄZKI
NA LATO
POLECAJĄ:

- Bator · Szczygiel
- Bieńczyk · Eyskawa
- Chmielarz · Orbitowski
- Daulisza · Dybczak

- + „Lalka” na ekrany! Co Prus radziłby dziś filmowcom?
- + Plotkowanie ratuje świat
- + John le Carré: szpieg, który został mędrcom
- + L jak Lśnienie, a k jak król. Nie tylko grozy. Alfabet Stephena Kinga
- + Polecajki książkowe na plażę

Zamów do domu lub do paczkomatu na prenumerata24.pl. Dostawa bezpłatna.

Więcej na: Wyborcza.pl/ksiazki

OLGA

Drenda:

Koniec błogostawionego bałaganu



NIEDAWNO POLSKI INTERNET ŚWIĘTOWAŁ 39. urodziny Kamila Tumu(L)ca, właściciela najśłynniejszego podpisu we współczesnej Polsce. Sława to bezpośrednia pochodna powyższego zapisu – w proste i wyraźne, choć nierówne drukowane litery właściciel dowodu

osobistego wkomponował symbol Legii Warszawa. Bezpretensjonalność tego przedsięwzięcia sprawiła, że wielu ludzi w sytuacjach, gdy chcieli pozostać anonimowi, pożyczalo sobie to nazwisko, a celebrowanie 8 lipca stało się częścią kalendarza internetowych tradycji.

Tumulec stał się legendą, bo nigdy nie zdyskontował swej sławy. Nie dał się pokusom pięciominutowej popularności, która z pewnością do niego dotarła. Nie uruchomił podcastu, nie wystąpił w reklamie suplementów, nie wydał ebooka z kursem minimalistycznej kaligrafii, nie wypuścił swoich chrupek we współpracy z siecią sklepów spożywczych. Być może dlatego niektórzy uważają nawet, że nigdy nie istniał, bo przecież dążenie do popularności wydaje się tak naturalne.

Na innym kontynencie właśnie zmarł młodo nieznanu u nas tak dobrze Alex, pracownik sieci fast food, który zyskał rozgłos jako „facet, który włożył nogi do sałaty”. Podczas swojej zmiany w pracy impulsywnie wpadł na dumny pomysł, by stanąć w bu-

tach w kubelku z pociętą sałatą. Równie niemądry kolega opublikował zdjęcie, które szybko trafiło na stronę 4chan, zaczęło żyć własnym życiem i doprowadziło do identyfikacji winowajcy. Sam Alex poniósł niewielkie straty, jedynie nie przedłużono mu umowy, ale w rozmowie z badaczką internetowych fenomenów Katherine Dee przyznał się do cokolwiek apokaliptycznej wyobraźni i poczucia wpływu na rzeczywistość. Przypuszczał, że jego głupi żart stał się kamieniem, który uruchomił lawinę podobnych drobnych transgresji, np. społecznej mini-epidemii lizania lodów w sklepie i odkładania ich na półkę; podejrzewał też, że jego czyn w dłuższej perspektywie przyczynił się do znaczących strat sieci, w której pracował. Skądinąd sympatyczny, choć nierozsądny i nieco pogubiony chłopak, chciał – odmiennie niż Kamil Tumulec – skorzystać na swojej mimowolnej (nie)sławie i stać się internetową osobowością. Jak się okazało, nie doczekał sukcesu.

Myślę o tych pozornie niepowiązanych ze sobą postaciach, bo reprezentują świat, który właśnie przechodzi do przeszłości. Internet, jaki znaliśmy, był okropny, pełen śmieciowych informacji i dowodów podłych zachowań ludzkich. Ale miał w sobie coś cudownego – moc absolutnego przypadku, strzałów znikąd, fenomenów spadających w sam środek rzeczywistości niespodziewanie jak meteor.

Takich zjawisk wkrótce już nie będzie, bo świat *online*, z jego przypadkowością, chaosem, ludźmi znikąd, trafiającymi nagle na szczyt i równie szybko dorabianymi gębami, zaraz stanie się równie pustynny i wyludniony jak przestrzeń gry Second Life, która opuszczona przez graczy, stała się areną działalności nielegalnej. Teraz w wyludnionych mediach społecznościowych fabrycznie produkowane boty i pacynki będą publikować nudne wyznania cudownych uzdrowień, nudne groźby karalne i nudne obietnice fortuny w nadziei, że może trafi się jeden naprawdę zbudowany z mięsa naiwniak, który uwierzy, że „nie przepracuje już ani jednego dnia”. Prawdopodobnie ludzka, żywa „elita” (używam tego słowa w jego współczesnym, czyli pejoratywnym znaczeniu) będzie składała się z grifterów – zawodowych oszustów, gotowych w wykalkulowany, cyniczny sposób propagować najbardziej odrażające opinie, gdy uznają, że im się to opłaci – znacie ich już z pewnością dobrze. Pozostanie bardzo niewiele miejsca na przedziwne targowisko ludzkiej omyłkowości i niedoskonałości, która potrafiła zaraźliwie rozśmieszać, ale też zachwycać całkowicie losową naturą kreatywności. Dowód osobisty Kamila Tumu(L)ca, zaginiony piesek Fredi Kamionka Gmina Burzenin, ten człowiek, który odpoczywa „najedzony pickom z dagrasso” i ma „zero potrzeb” – wszystko to pozostanie pamiątką po czasach, gdy internet faktycznie wydawał się globalnym Hyde Parkiem. Bo w rzeczywistości może nigdy nim nie być. ©

Teraz internet już nie potrzebuje nas



OLGA DRENDA

Olga Drenda jest etnologą, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

SERBSKIE PRZESILENIE

Nie tylko w Belgradzie, także w Suboticy na północy, na południu w Niszu czy Kragujevacu w sercu kraju: od ośmiu miesięcy w Serbii nie ustają protesty przeciw prezydentowi i obozowi władzy. Odczucie, że zmiana jest konieczna, staje się powszechne.

JULIUSZ PIELICHOWSKI Z SERBII



PÓŻNYM POPOŁUDNIEM TEMPERATURA DOCHODZI do czterdziestu stopni w cieniu. W miasteczku Ćuprija zjeżdżam z jednej z najwygodniejszych na całych Bałkanach autostrad, którą bogata Europa jeździ do Grecji, i ruszam w stronę wzgórz środkowej Serbii.

Nazwa niepozornego miasteczka wskazuje, że jest w nim most – w tym przypadku nad szeroko rozlewającą się w tym miejscu Wielką Morawą. Bładożyty i metalowy, okazuje się też zaskakująco wąski i długi. Samochody niemal się o siebie ocierają. Dziesięć kilometrów dalej zostawiam za sobą Jagodine, równie niepozorną co Ćuprija. Lokalna droga prowadzi na południowy zachód w stronę Kragujevaca.

Okolice przyjemnie faluje. Tutejsze strony od wieków słyną z winnic, dziś już mocno przetrzebionych. Na polach dojrzeła zboże. Sielskie popołudnie łagodnie przechodzi w wieczór. Za sprawą klimatyzaacji całkiem znośny. Tylko leżące tu i tam bez ruchu psy zdradzają, że za szybą wciąż panuje piekło zaczynającego się właśnie bałkańskiego lata.

Profesor zbiera podpisy

Do 150-tysięcznego miasta Kragujevac wjeżdżam od południa. Wąskie ulice miasta są niemal sparalizowane. Na kilku skrzyżowaniach wzmożonym ruchem zawiadują policjanci. Choć nie wszyscy. Niektórzy jedynie stoją i apatycznie przyglądają się sfrustrowanym kierowcom.

Od kilku dni znalezienie w Kragujevacu sensownego noclegu graniczyło z cudem. Wszystko za sprawą znanego nie tylko w Serbii festiwalu muzycznego Arsenal Fest. W tym roku otwierają go dwie legendy. Jedna bardziej lokalna, Bajaga i instryktori, druga – Massive Attack – o sławie międzynarodowej.

Ale w tym roku impreza odbywa się również w cieniu fali manifestacji, jakie od miesięcy przecaczają się przez Serbię. W połowie lutego tysiące studentów przemaszzerowały ulicami Kragujevaca w antyrządowym proteście, zauważonym także poza granicami Serbii.

Parkuję nad rzeką, tuż przy moście. Z daleka dostrzegam grupkę osób. Raz za razem ktoś do niej podchodzi i pochyla się nad kartkami papieru. Gdy jestem bliżej, łapię kontakt wzrokowy z jednym z organizatorów zbiórki podpisów pod petycją wzywającą do przedterminowych wyborów. Okazuje się nim profesor wydziału medycznego tutejszego uniwersytetu. Cieszy się, że o tym, co dzieje się w Kragujevacu, będzie można przeczytać w Polsce.

– Czasami mamy poczucie, że Zachód nas porzucił – mówi z żalem i wyciąga rękę: – Vladimir. Vlad. Jak Putin.

Uśmiecha się ironicznie i gorzko zarazem. Takie czasy, zdają się mówić jego oczy.

Antyrządowy wiec w Belgradzie. Serbia, 28 czerwca 2025 r.

Protesty są wszędzie

Upał słabnie. Słońce tylko na krótkie chwile przebija się przez gromadzące się na horyzoncie chmury. Rozmawiamy o nastrojach. Przysłuchuje się nam kilkoro studentów.

Sprawcą całego nieszczęścia Serbii jest Aleksandar Vučić, mówi Vlad. Z ludźmi, którzy choć częściowo zgadzają się z Vučićem – prezydentem i zarazem liderem Serbskiej Partii Postępowej – Vlad nie chce mieć nic wspólnego.

Jakim poparciem cieszą się ostatnie protesty w środowisku akademickim? Vlad bez wahania odpowiada, że dużym. Podobnie poza uniwersytetem, dodaje.

Czy jest szansa, że jeszcze w tym roku dojdzie do zmiany władzy? Zgromadzeni wokół studenci są pewni, że tak. To kwestia kilku tygodni, może kilku miesięcy. Gdy jednak pytam, czy jeszcze latem, czy dopiero jesienią, w głosach pojawia się niepewność.

– Zobaczymy, co się wydarzy w sobotę w Belgradzie – mówi brunetka, która pilnuje, żeby podpisy były czytelne. Jest czwartkowy wieczór.

Przeciw władzy i przeciw opozycji

Podczas rozmowy zerkam na pobliski budynek dawnej siedziby fabryki broni Zastava, która po II wojnie światowej zasłynęła także produkcją samochodów, w tym mitycznego Yugo. W okolicy Kragujevaca do dziś można je zobaczyć w liczbie, która przekonująco dowodzi potęgi jugosłowiańskiej myśli technicznej.

Vladimir potwierdza, że wielu Serbom miasto kojarzy się głównie z tymi zakładami, a raczej z ich minioną świetnością. Ale przecież Kragujevac to coś więcej – to kolebka współczesnej Serbii. Wskazuje na oddaloną od nas o jakieś 200 metrów wieżę: – Stara crkva. Tutaj przyjęta została pierwsza serbska konstytucja. A ja muszę patrzeć, jak w moim kraju depcze się prawo.

Na koniec rozmawiamy o oczekiwaniach. Co po zmianie władzy? Czy jest jakaś siła polityczna, którą on albo jego środowisko popiera? Vlad kręci przecząco głową: – Chcemy zmiany jako takiej. Nie popieram nikogo z dzisiejszej opozycji.

Gdy dopytuje, czy brak reprezentacji w postaci konkretnej siły politycznej nie sprawi, że energia protestów zostanie zmarnowana przy urnach wyborczych, przyznaje, że to jeden ze scenariuszy, których się obawia: – W ludziach jest siła, ale Serbia jest dziś słaba.

Wyczuwam w jego słowach nostalgię. Vlad nie ukrywa, że wiele by dał za to, aby możliwy był powrót do nie tak odległej przeszłości. Słucham z pewnym zaskoczeniem, ale i zrozumieniem, i obserwuję, jak na twarzy około pięćdziesięcioletniego mężczyzny, prozachodniego liberała, maluje się



→ nieuleczalna tęsknota za Jugosławią, wciąż tak powszechna w jego pokoleniu.

Nostalgicznie i ponadpokoleniowo

W oczekiwaniu na pierwszą gwiazdę wieczoru, która ma się pojawić na scenie po godzinie 21, tłum wkoło gęstnieje.

Rozmawiam z parą trzydziestolatków, która przyjechała z leżącego w Wojwodinie Somboru. Nie chcą rozmawiać o protestach. Przyjechali do Kragujevacu dobrze się bawić, nic więcej. Z tonu ich odpowiedzi domyślam się, że są raczej zwolennikami obozu rządzącego. Gdy pytam, na czyj koncert bardziej czekają, odpowiadają, że cieszą się na Bajagę, ale widzieli go wiele razy. Massive Attack to światowy format, po raz pierwszy zobaczą ich na żywo.

Pomiędzy namiotami z piwem i napojami zwraca uwagę stoisko chińskiego producenta samochodów. Pokazowe egzemplarze nieco tandetnych, monstrualnych SUV-ów nie wzbudzają jednak większego zainteresowania przeważnie młodych ludzi. Na elewacji budynku w tle majaczy czerwony napis „Zastava”. Wszystkiemu zdaje się towarzyszyć mniej lub bardziej jawne widmo przeszłości.

Koncert rozpoczyna się punktualnie. Wypełniający szczelnie plac tłum reaguje euforycznie, gdy na scenę wchodzi Momčilo Bajagić, legenda jugosłowiańskiego rocka. Na Bałkanach – a zwłaszcza w Serbii – cieszy się on statusem artysty prawdziwie kultowego.

Powodzenie polskich wersji kilku jego piosenek – jak „Ostatniej nocy” Maleńczuka czy „Mój przyjacielu” duetu Krawczyk & Bregović – pokazuje zresztą, że mają one potencjał wykraczający poza wyłącznie lokalny kontekst.

Kilka pokoleń rozkołysanych Serbów wyśpiewuje razem z zespołem jedną po drugiej piosenki, z których wiele powstało jeszcze w latach 80. XX w., w świecie sprzed końca, gdy Serbia była mózgiem i sercem wielkiej Jugosławii. Na prawo od sceny dostrzegam błady kształt dzwonnicy Starej cerkwi, którą godzinę wcześniej wskazał mi Vladimir.

Klimat zmęczonego buntu

Gdy półtorej godziny później koncert dobiega końca, publiczność domaga się bisu,

ale harmonogram wieczoru jest nieubłagany. W pobliżu jednego z namiotów rozmawiam ze Slobodanem, który pracuje przy organizacji festiwalu. Pytam o koncert. Mówi, że dobry. Ale Bajaga ma już swoje lata. On czeka na Massive Attack.

Kwadrans po 23 scenę rozświetlają transowe, zasiewające niepokój wizualizacje, integralna część tegorocznej trasy Brytyjczyków. Atmosfera nostalgii ustępuje miejsca często brutalnej krytyce dzisiejszego świata. Antywojenne i antykapitalistyczne przesłanie trafia do wyraźnie młodszej publiczności, która reaguje żywiołowo na każdy komunikat uderzający w różne formy systemowej opresji.

Choć to tylko jeden z wielu festiwalowych koncertów, doskonale wpisuje się w atmosferę buntu zmęczonego społeczeństwa, która wzbiera tutaj od wielu miesięcy. Wiele wskazuje, że jest ono gotowe do decydującej konfrontacji.

W Niszu przed burzą

Nazajutrz zaglądam do 180-tysięcznego Niszu leżącego na południu Serbii. Również tu na przedwiośniu studenci masowo protestowali. Dziś miasto jest ciche.

Udręczeni upałem ludzie przesiadują na ławkach na placu Kralja Milana, tuż obok słynnej twierdzy. Wpatrują się w niebo. W ciągu kilku godzin spodziewana jest potężna burza. Próbuję oszacować, ile czasu dzieli nas od ulgi, jaką przyniesie deszcz. Patrząc na witrynę punktu jednej z serbskich firm bukmacherskich. Zakłady sportowe – i wszelkie inne – należą do ulubionych rozrywek.

Pół godziny później w kawiarni przy miejskim deptaku rozmawiam z Bojanem, studentem niszańskiego uniwersytetu. Czy wybiera się na sobotni protest do Belgradu? Nie, ale będzie śledzić doniesienia ze stolicy.

Bojan nie potrafi powiedzieć, co będzie dalej. Ma nadzieję, że coś się zmieni. Czy byłby gotowy obstawić taki wynik u bukmachera? Śmieje się. Czemu nie. Choć nie wie, czy ktokolwiek przyjmuje takie zakłady. Znając życie, pewnie tak.

Belgradzkie barykady

Zdjęcia z sobotniej manifestacji w stolicy, zorganizowanej w Vidovdan – Dzień Świętego Wita, jedno z najważniejszych serbskich świąt – obiegają świat. Po raz kolejny dochodzi do starć z policją. Za trzymany zostaje kilkadziesiąt osób.

Rozjuszeni studenci zapowiadają w odwecie paraliż miasta i wzywają do obywatelskiego nieposłuszeństwa.

W niedzielę wprowadzają słowa w czyn. Na ulicach pojawiają się barykady. W centrum Belgradu roi się od policji. Co rusz z różnych kierunków dobiega dźwięk gwizdków, za pomocą których protestujący ogłaszają miastu, gdzie w danej chwili organizowany jest protest.

Kluczowym elementem przyjętej strategii jest nieprzewidywalność. Miejsca zbiórki ogłaszane są z niewielkim wyprzedzeniem, skutecznie uniemożliwiając służbom porządkowym jakkolwiek prewencję.

Skuteczność tej metody polega także na jej dotkliwości, która niekiedy zupełnie dosłownie uderza także w protestujących – gdy wściekli kierowcy, najpewniej popierający obecną władzę, napierają na tłum samochodami.

U zbiegu Glavnej i Karamatina

Nowy tydzień przynosi w Belgradzie kolejne protesty.

We wtorek obserwuję, jak u zbiegu Glavnej i Karamatina, na jednym z głównych skrzyżowań Zemunu – może najpiękniejszej dzielnicy Belgradu, położonej nieopodal ujścia Sawy do Dunaju – w ciągu kilku minut ustaje jakikolwiek ruch. Na środku ulicy, po której przechadza się początkowo raptem kilkunastooosobowa grupa protestujących, pojawiają się metalowe kosze na śmieci.

I tu jeden z kierowców nie wytrzyma: rusza wprost na studenta, który próbuje zagrozić mu przejazd. Gdy w niego uderza, chłopak przytomnie kładzie się na masce, unikając poważniejszych obrażeń. Ale scena i tak jest szokująca.

Ludzie rzucają się w kierunku samochodu. Ktoś szarpie za drzwi, usiłując wyciągnąć ze środka kierowcę. Ten odjeżdża w amoku z piskiem opon. Całe zajście zostało nagrane. Pytanie tylko, czy w obecnej sytuacji odpowiednie służby zainteresują się zgłoszeniem.

London Calling

Wieczorem zawziętość protestujących nie słabnie. U zbiegu Kralja Milana i Resavskeje, tym razem w samym centrum Belgradu, dochodzi do jeszcze jednej blokady.



Powyżej: zbiórka podpisów pod petycją wzywającą do rozpisania przedterminowych wyborów. Pod dawną siedzibą fabryki broni Zastava w Kragujevacu. Serbia, 26 czerwca 2025 r.
Poniżej: Spontaniczny wieczorny protest studentów na ulicach Belgradu, 1 lipca 2025 r.



Skrzyżowanie znajduje się – w linii prostej – jakieś pięćset metrów od siedziby serbskiego parlamentu. Resava, od której nazwę wzięła ulica, to prawy dopływ Wielkiej Morawy. Niespełna tydzień wcześniej przekraczałem ją w drodze do Kragujevaca.

Tutaj policja zabezpiecza manifestację, ale nie interweniuje. Atmosfera jest pokojowa. Z głośnika postawionego w oknie legendarnego Studenckiego Centrum Kultury płyną dźwięki „London Calling”, hymnu ulicznych rewolucjonistów, wzywającego do

działania i solidarności w obliczu zagrożenia.

Asfalt naokoło upstrzony jest dziesiątkami napisów i malunków. Na środku skrzyżowania przesiadują grupki młodych ludzi. Jedni grają w karty, inni wpatrują się w ekrany telefonów.

Jeszcze inni przyglądają się sobie nawzajem z zaciekawieniem. Jakby nie dowiedzieli, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Byle starczyło sił

Rano opuszczam Belgrad i ruszam na północ. Gdy mijam Nowy Sad, myślę o katastrofie budowlanej, do której doszło na początku listopada 2024 r.: zawalił się dach dworca kolejowego, zmodernizowanego tuż przedtem za kwotę 50 mln euro przez chińskie firmy. Zginęło kilkanaście osób.

Wydarzenie to – potraktowane jako symboliczne dla niewydolności państwa, dla wątpliwych relacji między światem polityki i biznesu – zapoczątkowało ostatnią falę protestów, która trwa do dziś. Choć od tego momentu upłynęło osiem miesięcy, społeczny sprzeciw wobec indolentnej i skorumpowanej władzy nie tylko nie słabnie, ale wręcz przybiera na sile.

Zanim przekroczę serbsko-węgierską granicę, zatrzymuję się na krótko w Suboticy, która z racji uwarunkowań geograficznych i historycznych odznacza się nie zawsze łatwo uchwytną odrębnością, jak cała zresztą Wojwodina.

Gdy właścicielka niewielkiego sklepu dowiadyuje się, że jestem z Polski, pyta, skąd konkretnie. Nieco zaskoczony odpowiadam, że tym razem przyjechałem z Katowic. Zanim zdążę cokolwiek dodać, mówi, że zna Katowice. W reakcji na moje zdumienie, z rozbijającym uśmiechem zdradza, że jej syn, siatkarz, gra w polskiej lidze.

Opowiadam, co widziałem w Belgradzie, i pytam, jak sytuacja wygląda na północy. Podobnie, mówi. Ludzie mają już dość. To jej zdaniem największa zmiana, jaką przyniosły ostatnie miesiące: powszechne odczucie, że zmiana jest konieczna. Żeby tylko starczyło nam sił do jesieni, dodaje z troską w głosie. Bo latem rewolucji nie będzie.

Wychodzę na pełne słońce. W duchu przyznaję jej rację. Secesyjna fasada pobliskiej kamienicy jest rozgrzana do białości. Lato jest tu zachwycające i bezlitosne.

© JULIUSZ PIELICHOWSKI



JUSTYNA PRUS / PAP

Obchody Dnia Polonii we wsi Pojana Mikuli na rumuńskiej Bukowinie. Rumunia, 3 maja 2024 r.

Świat pomiędzy

KAROL FRYTA Z BUKOWINY

RUMUNIA | Dom Polski w Suczawie, kopalnia soli w Kaczyce, szkoła w Nowym Sotońcu, TikTok z Pleszy i wspomnienia bydłychych wagonów: polskość na Bukowinie ma dziś wiele twarzy.

SIEDZIBA ZWIĄZKU POLAKÓW W RUMUNII mieści się w Suczawie, 80-tysięcznym mieście na historycznej Bukowinie. Swój gabinet ma w niej Gerwazy Longher – prezes związku i poseł do parlamentu, w którym reprezentuje polską mniejszość. Głosują na niego nie tylko Polacy – tych jest w Rumunii ok. 2 tys., a w ostatnich wyborach Longher uzyskał ponad 4 tys. głosów.

Dom Polski w Suczawie jest olbrzymi. Właśnie przeszedł remont. Wzniesiono go w latach 1903-07, gdy Polonia organizowała się na tych terenach. Bukowina należała wówczas do Austro-Węgier, w skład Rumunii weszła po 1918 r. W la-

tach 50. XX w., po komunistycznej nacjonalizacji, był tu teatr. W ręce mniejszości polskiej Dom wrócił po 1989 r.

Jestem pod wrażeniem Casa Polonă. Odwiedzałem Polonię w Rosji, Uzbekistanie, Kazachstanie, Kirgistanie: tam Polacy mogli tylko pomarzyć o takich warunkach. – Rumuńskie władze wspierają mniejszości – mówi Elżbieta Wieruszewska-Calistru, redaktorka pisma „Polonus”. – Otrzymujemy dotację na działalność związaną z zachowaniem tożsamości.

NAUCZYCIELKA | Kluczową rolę w życiu mniejszości pełni Związek Polaków w Rumunii. Prowadzi działalność kul-

turalną i edukacyjną, organizuje imprezy świąteczne, kultywuje tradycje, wspiera nauczanie języka, wydaje miesięcznik.

Pomaga nie tylko potomkom Polaków, którzy trafili tu ponad 200 lat temu, ale też tym, którzy związali się z Rumunią dzisiaj. Jak szefowa „Polonusa”, która do Suczawy trafiła z Polkowic.

– Przyjechałam w 1999 r. jako nauczycielka polskiego – wspomina Wieruszewska-Calistru. – Miałam już praktykę nauczania w rosyjskim Orenburgu. Gdy zaproponowano mi Rumunię, nic o niej nie wiedziałam. W głowie miałam stereotypowy obraz Rumuna z lat 90., ale miałam też na tyle rozumu, żeby chcieć to zweryfikować.

Redaktorka „Polonusa” bywa w Polsce rzadko: – Czuję tęsknotę za krajem, może wrócę na emeryturze. Ale na razie mam tu wszystko. Polską telewizję, media. Nawet krówki mogę kupić przez internet.

OSADNICZY | Bukowina leży dziś na pograniczu Ukrainy i Rumunii – jej północna część należy do pierwszej, południowa do drugiej. Nazwa pochodzi od lasów bu-



Dom Polski w Suczawie. Rumunia, wiosna 2025 r.



Jadwiga i Wiktor Bryjakowie oraz Anna Zielonka

kowych, które od wieków porastają ten teren.

Także Polacy byli obecni w tych okolicach od wieków – od czasu, gdy ziemia ta stała się pograniczem Korony Polskiej i potem Rzeczypospolitej oraz Księstwa Mołdawii. Za Kazimierza Wielkiego w północnej części regionu miała już istnieć murowana strażnica. W Serecie (dziś Rumunia) powstały klasztory dominikanów i franciszkanów przybyłych z Polski. Mieszkali też polscy kupcy i rzemieślnicy.

Najwięcej Polaków przybyło na przełomie wieków XVIII i XIX, po tym, jak Bukowina weszła w skład monarchii Habsburgów. Osadnikom oferowano ziemię uprawną oraz zwolnienie z podatków i służby wojskowej. Nie tylko Polacy z Galicji, gdzie brakowało ziemi, także górale czadecy (z terenu obecnej północno-zachodniej Słowacji) widzieli słabo zaludnioną Bukowinę jako ziemię obiecaną.

Pierwsi polscy osiedleńcy przyjechali już w latach 1791-92. Władze austriackie sprowadziły górników z Bochni i Wieliczki do pracy przy odkrytych złożach soli. Wtedy to powstała miejscowość Kaczyka. W tej gminie Polacy stanowią dziś 20 proc. mieszkańców.

KOPALNIA | W Kaczyce wita mnie Cristina Cehaniuc, prezeska filii Związku Polaków. Rozmawiamy przy herbacie w jej domu. – Moi przodkowie to prawdopodobnie rodziny, które zakładały wieś. Tata pracował w kopalni, nosiłam mu do pracy jedzenie – opowiada. – To była ciężka praca, sól pozyskiwano przez odparowanie solanki w kotłach. Pracowały całe rodziny, także kobiety, które zajmowały się pakowaniem soli.

Dziś kopalnia to atrakcja turystyczna: choć nie działa, przyciąga zwiedzających. Podziemne korytarze kryją nie tylko sól, ale też ślady górniczych tradycji i pomyślności. Jest kaplica św. Barbary, gdzie górnicy się modlili. Podziemne jezioro, po którym kiedyś pływała łódź. Sala balowa, płaskorzeźby wykute w soli. I współczesna osobliwość: boisko do piłki nożnej.

Kaczyka od początku była tygłem kulturowym, do polskich osadników dołączyli Żydzi, Ukraińcy, Niemcy, Rumuni, Węgrzy. Ma to dziś odbicie w krajobrazie wsi, gdzie są kościoły trzech wyznań: prawosławny, greckokatolicki i katolicki, zbudowany przez polskich misjonarzy w 1904 r.

Ten miks kulturowy źle wpływa na zachowanie tożsamości polskiej. – Co

raz mniej rodzin mówi po polsku – przyznaje Cehaniuc. – Dzieci rozmawiają między sobą po rumuńsku. U nas w domu też mówimy po rumuńsku. Ale gdy mam okazję, przechodzę na polski. Choć coraz częściej się myślę...

WIOSKA | Podróżuję między najbardziej polskimi wsiami: Pojaną Mikuli, Pleszą i Nowym Sołońcem. Poczłótkowe krajobrazy: łagodne wzniesienia, pobielone drzewa, skoszone rowy. Obejścia zadbane, choć na niektórych domach wciąż straszy eternit. Nawet koty wydają się jakby bardziej syte.

– Moja rodzina mieszka w Pojanie Mikuli od założenia wsi – mówi Józef Iriszek, prezes filii Związku Polaków. – Przodkowie przyjechali z Galicji, dostali tu kawałek lasu, musieli go karczować. Bezleśnych polan prawie wtedy nie było.

Józef Iriszek, dziś emeryt, przywykł do ciężkiej pracy: – Nie było łatwego życia. Ludzie wstawali o czwartej, sprzątali stajnię, szli do kosy albo na wyręb, kładli się późnym wieczorem. Dzieci też pracowały, brały krowę i prowadziły na pastwisko.

Teraz we wsi niemal nie uświadczyś zwierząt. Czasem gospodarz trzyma jedną czy dwie sztuki bydła, parę kur, niekiedy konia. Jak w innych wioskach: młodzi ciągną do miast, do pracy za granicę. Ci z polskimi korzeniami często wybierają naukę nad Wisłą. – Mój syn pojechał na studia, skończył leśnictwo, ożenił się z Polką. Już 16 lat tam mieszka. Nie chce wracać – mówi Iriszek.

Jego nie ciągnęło, by wrócić na ziemię przodków? – Myślałem o tym. W latach 90. z żoną planowaliśmy nawet wyjazd. Ale trzeba było załatwiać jeden papierek, drugi... I tak zostałem. Życie zatrzymało mnie tutaj.

WIEK XX | Na przełomie XIX/XX w. Bukowina była mozaiką języków i religii, a Polacy stanowili czwartą co do liczebności grupę. Największym ich skupiskiem były Czerniowce (dziś to Ukraina): jako centrum gospodarcze i kulturalne przyciągały osadników z różnych części c.k. monarchii. Ośrodkami polskiego osadnictwa były też wciąż miasta i wsie na południowej Bukowinie.

Wiek XX przyniósł wielkie zmiany. Po rozpadzie Austro-Węgier w 1918 r. Bukowina została włączona do Królestwa Rumunii. Zaczął się proces rumunizacji: →

→ władze ograniczały działalność mniejszości, wprowadzając m.in. obowiązek nauczania w języku rumuńskim. Mimo to polskie organizacje działały, choć skromniej. Życie kulturalne toczyło się wokół Domów Polskich w Czerniowcach i Suczawie.

W 1940 r., zgodnie z postanowieniami paktu Hitler–Stalin, Sowieci anektowali Bukowinę. Potem, po ataku III Rzeszy na Sowieci w 1941 r. Rumunia – jako sojusznik Hitlera – chwilowo ją odzyskała. Trzy lata później wróciła Armia Czerwona, a region ten, wraz z Czerniowcami, wcielono do Ukrainiejskiej Republiki Sowieckiej. Tylko południowa jego część została w Rumunii.

POWRÓT | Nowy Sołonec to największa z polskich wsi, zamieszkała przez ok. 800 osób. W centrum stoi okazały Dom Polski z salą balową na 300 osób i miejscami noclegowymi. Przypomina górski dom uzdrowiskowy i jest prawdziwą wizytówką polonijnej przedsiębiorczości. Podobnie jak droga, zbudowana z inicjatywy Aleksandra Kwaśniewskiego po tym, jak ugrzązł tu w błocie podczas wizyty w 1996 r.

Anegdotę na temat tego wydarzenia opowiada Carmen Zielonka, przedstawicielka młodego polonijnego pokolenia. Skończyła dziennikarstwo na Uniwersytecie Wrocławskim i myślała o pozostaniu w Polsce, jednak wróciła i objęła stanowisko wiceprezesa Związku Polaków

– Poczułam, że muszę wrócić, że to mój obowiązek – wspomina. – Chciałam, by moje dzieci wyrosły w polskim duchu, który tu kultuwujemy. W Polsce brakowało mi sołoneckiego kościoła, naszych wydarzeń religijnych i kulturalnych. Wyrośliśmy inaczej na Bukowinie. Nasze babcie nie wiedzą, jakimi problemami żyje teraz Polska, nie znają jej codzienności. Żyjemy tym, co nasi pradziadkowie przynieśli nam w czasach, gdy Polski nie było na mapie Europy.

POMIĘDZY | Niedaleko Domu Polskiego stoi szkoła podstawowa imienia Sienkiewicza. Językiem wykładowym jest rumuński, dzieci uczą się też polskiego literackiego, ale w domach posługują się gwarą. O język i tożsamość walczą w szkole polonistka Maria Ostrowschi-Chahula: – Jeszcze kilka lat temu dzieci chętniej uczyły się polskiego.



KAROL FRYTA XZ

Maria Ostrowschi-Chahula z uczniami

Kim się czuje: Polakiem, Rumunem czy Ukraińcem? – Trudno powiedzieć. Chyba kimś pomiędzy.



Jadwiga Aleksandrowicz z Pleszy

LUBUSKI BUKARESZT | Po 1945 r. pojawiła się opcja przesiedlenia ludności polskiej z Bukowiny na ziemie zachodnie pojałtańskiej Polski. Szacuje się, że wyjechało stąd 5 tys. Polaków. Osiedli głównie na Dolnym Śląsku, a także koło Piły. Także część potomków górników wyjechała do Polski, ci głównie do Zielonej Góry, Krosna, Bielawy i Warszawy.

Mimo to znaczna grupa Polaków pozostała na Bukowinie. Za komunizmu działalność polskich organizacji była tu ograniczona, kontakty z Polską utrudnione. Dopiero po 1989 r. nastąpiło odrodzenie życia polonijnego.

Mam sporo szczęścia, bo u Anny Zielonki, kierowniczkii zespołu folklorystycznego Sołoneczanka, zjawili się Jadwiga i Wiktor Bryjakowie, których rodzice po 1945 r. wyjechali stąd do Polski. Wiktor miał wtedy sześć lat, Jadwiga rok; dziś mieszkają w Żłotniku w Lubuskim. Ze względu na liczbę przybyszów z Bukowiny wieś tę nazwano „Bukaresztem”.

– Po 1945 r. mama musiała zadeklarować, czy przyjmuje obywatelstwo rumuńskie, czy chce wyjechać. Powiedziała: „Będzie, co będzie, ale będziemy Polakami, nie Rumunami” – wspomina Wiktor. – Później rwała włosy z głowy, bo kuzynostwo zostało, ale już nie było odwrotu. Po latach usłyszałem, jak w Polsce mówią do mnie „Rumun”.

Wiktor pamięta transport: – Pociąg był długi, z 50 bydłocych wagonów. Znaliśmy taty wepchnęli do wagonu krowę. Wyrąbali dziurę w podłodze i matka rękami spychała tam krowie odchody.



Carmen Zielonka, wiceprezesa Związku Polaków w Rumunii

W domu rozmawiają gwarą, w mieszanych rodzinach po rumuńsku, między sobą coraz częściej też. W języku mieszają się wszystko: rumuńskie słowa z polskimi końcówkami.

Trudno się dziwić. Aleks, ósmoklasista, z ojcem Polakiem mówi po polsku, gwarą, z matką Ukrainką po ukraińsku, a z kolegami po rumuńsku. Uczy się też angielskiego.

– Jakie mam plany? – zastanawia się. – Mój polski nie jest na tyle dobry, żeby iść na studia w Polsce. Zostanę tutaj.

Na piecyku gotowała mleko dla dzieci. Jechaliśmy pięć tygodni do Polski.

Jadwiga: – Mama wspominała, że w wagonie nauczyłam się chodzić. Choć opuściliśmy Bukowinę jako dzieci, tęsknimy za nią i często tu wracamy. Mąż, jak widzi kościół, w którym został ochrzczony, płacze.

NA TIKTOKU I W REALU | Najmniejsza polska wieś, zamieszkała przez ok. 200 osób, to Plesza. Prowadzą do niej strome serpentyny. Dopiero dwa lata temu pojawił się asfalt – można sobie wyobrazić, że w śniegu podjazd nie był łatwy.

– Moi przodkowie to górale cza-deccy, jestem już siódmym pokoleniem, które tutaj żyje – mówi Jadwiga Aleksandrowicz. Energiczna, roześmiana, w średnim wieku. Na TikToku publikuje filmy, na których pokazuje, jak gotuje regionalne potrawy i szyje ludowe stroje. Niektóre idą w setki tysięcy wyświetleń.

Kiedyś Plesza słynęła z bednarstwa. Cała okolica używała beczek od pleszańskich fachowców do produkcji serów z owczego mleka. Jadwiga Aleksandrowicz: – Brat męża robi jeszcze beczki, ale mówi, że chyba musi szukać innej pracy, bo nie jest w stanie się z tego utrzymać. Plastikową beczkę można zostawić na słońcu i nic się z nią nie dzieje. W odróżnieniu od drewnianej.

Także jednym z głównych problemów, gdy idzie o zachowanie polskości, jest wyłudnianie się regionu. Niegdyś za zagrożenie uważano mieszane małżeństwa, dziś takie związki nikogo nie dziwią. – Kiedyś myślałam, że małżeństwa mieszane to zagrożenie – mówi Aleksandrowicz. – Moja córka wyszła za Rumuna, ze swoją córką rozmawia po polsku, a mąż po rumuńsku. Nie powiedziałam jej „nie wychodź za Rumuna”, bo może do dziś nikogo by nie znalazła. Wieś jest mała, nie ma dużego wyboru.

Powoli się zbieram. Jadwiga zachęca do spróbowania pleszańskiej czereśniówki. Na drogę dostają produkty domowego wyrobu: ciasta, chleb, wędlinę.

– Staramy się utrzymać nasze kożenie i tradycje. Jeśli zgubimy tożsamość, zgubimy i siebie – mówi Jadwiga Aleksandrowicz.

© KAROL FRYTA

Głos ma moc

ISABELLE DE POMMEREAU Z TALLINA

ESTONIA | Kiedyś śpiew pomógł im wyrwać się spod sowieckiej okupacji. Dziś, śpiewając, Estończycy przygotowują się na to, co może przynieść przyszłość. „Laulupidu” – wielki festiwal chórów – odbywa się tu od 156 lat.

W DESZCZOWE POPOŁUDNIE, w pierwszą sobotę lipca, 27-letnia Katariina Kuum stanęła w gronie 31 tys. śpiewaków wykonujących „Świt” – poetycki apel o nadzieję i narodową świadomość. Zaczynał się „Laulupidu”: wielkie chóralne i taneczne zgromadzenie, w Estonii organizowane co pięć lat. Tradycja tak potężna, że kiedyś pomogła zrzucić sowieckie rządy.

Śpiewając kolejne zwrotki, pod batutą dyrygenta Raula Talmara, Katariina myślała o dziadkach i rodzicach: pierwszych deportowano na Syberię, drudzy ukrywali estońską flagę aż do 1988 r., gdy dołączyli do ruchu nazwanego Śpiewającą Rewolucją. Setki tysięcy ludzi śpiewały wtedy właśnie „Świt” – sowieckie wojska były bezradne wobec tego chóru.

Katariina śpiewała więc dziś i – jak mi potem powiedziała – miała gęsią skórę z przejęcia. W obliczu wojny prowadzonej tak niedaleko przez Rosję, czuła, że „Laulupidu” jest znów potrzebny: – Jesteśmy małym narodem. Być razem, czuć jedność, to coś wielkiego.

Katariina Kuum jest członkinią Chóru Riigikogu, składającego się w większości z parlamentarzystów (choć sama nie jest posłanką). Wychowana w wiosce na południu kraju, od dzieciństwa brała udział w prawie każdym festiwalu. Ale tym razem było inaczej: – To za sprawą naszego wielkiego sąsiada.

OPÓR KULTUROWY | Przez tych kilka lipcowych dni Katariina Kuum pomogła podtrzymać tradycję, która trwa od 156 lat. Zorganizowany po raz pierwszy w 1869 r., za rosyjskiego panowania, w czasach estońskiego przebudzenia narodowego, „Laulupidu” był formą kulturowego oporu. Dwukrotnie pomógł

Estonii uzyskać niepodległość: w 1918 r. i potem pod koniec lat 80. XX w.

– To fundamenty naszej narodowej tożsamości – mówi mi 56-letnia Heli Jürgenson, była kierowniczka chóru w Estońskiej Operze Narodowej, a dziś pierwsza kobieta na stanowisku dyrektora artystycznego festiwalu.

– Bardziej niż folkowy festiwal jest to rytuał. Dzielony przez nas święty moment – mówi z kolei Arne Saluveer, dziś dyrygent chóru dziecięcego estońskiej telewizji, a kiedyś frontman kapeli rockowej powstałej jeszcze w czasach sowieckich. – To miejsce, gdzie spotykają się wszystkie pokolenia, a śpiewacy opowiadają historię następnym generacjom.

Dla 66-letniego Raula Talmara dyrygowanie wykonaniem „Świtu” było, jak mówi, największym zaszczytem w życiu. Był to też dla niego powrót do młodości, do późnych lat 80. XX w., gdy „można było dotknąć wolności” i „zdarzył się cud”.

Jednocześnie to współczesne przesłanie: – Wielkie rzeczy możemy osiągnąć w sposób pokojowy – mówi Talmar. – Mamy 30 tys. głosów złączonych w harmonii. Czy świat nie może się czegoś od nas nauczyć?

A Rosja? – Ona od kilkuset lat się nie zmienia. Nigdy się nie zmieni.

KAMIEŃ WĘGIELNY | Chyba nigdzie indziej inwazja Putina na Ukrainę nie wzbudziła takiego lęku egzystencjalnego, jak w Estonii: kraju, który ma niespełna półtora miliona mieszkańców i 294 km granicy z Rosją.

Od XVIII w. ziemię obecnej Estonii należały do Rosji – z przerwą w latach 1918-1940, gdy była niepodległa. Przez ten czas to śpiew pomagał Estończykom (byli oni chłopami, rządzonymi przez →



ISABELLE DE POMMERAUX

W festiwalu „Laulupidu” wzięło udział 90 tysięcy Estończyków, w tym prezydent kraju Alar Karis (na zdjęciu po lewej).

Po prawej: wielka muszla koncertowa, pod którą gromadzili się uczestnicy festiwalu, powstała w latach 60. XX w., gdy władze sowieckie próbowały zawłaszczyć estońską kulturę śpiewu.

Tallin, lipiec 2025 r.



→ niemieckie elity bałtyckie w służbie cara) zachować język i tożsamość.

Formę zorganizowaną przybrało to w 1869 r., gdy dziennikarz Johann Volde-mar Jannsen zorganizował pierwszy festiwal pieśni. Uehonorowano na nim śpiewem rzecz jasna cara, ale nie tylko – także ojczyznę, Estonię, i to po estońsku. Jedną z pieśni, „Ojczyzna jest moją miłością”, napisała – pierwotnie jako poemat – Lydia Koidula, córka Jannsen.

Festiwal ten stał się swego rodzaju patriotycznym kamieniem węgielnym i miał swój udział w uzyskaniu niepodległości w 1918 r. Jednak nie trwała ona długo. Po pakcie Hitlera ze Stalinem, a następnie po II wojnie światowej Estonia znalazła się znów pod kontrolą Moskwy. Sowietci deportowali 10 proc. populacji, dławili wolność słowa – i starali się wykorzystać „Laulupidu” dla własnych propagandowych celów.

Jednak na koniec obróciło się to przeciw nim: w 1988 r. 300 tys. Estończyków – jedna czwarta populacji – zebrało się, by zaśpiewać wspólnie „Świt” i „Ojczyznę”. Tamta pokojowa rewolucja powiodła Estonię, a także Łotwę i Litwę, ku niepodległości.

MOC MUZYKI | W tym roku, na dwudziestym ósmym już „Laulupidu”, Estończycy znów zjednoczyli się w śpiewaniu, potwierdzając to, co rosyjskie imperium nie zdołało wymazać: tożsamość, język i kulturę.

Nie było to proste. Śpiewacy przeszli setki prób, zanim w sobotę 5 lipca 900 chórów i orkiestr – łącznie 31 tys. śpiewaków i muzyków oraz 20 tys. tancerzy – przemaszerowało 5 km ze średniowiecznej starówki w Tallinie na nadmorskie tereny festiwalu. Ubrani w jaskrawe tradycyjne stroje, machając niebiesko-czarnobiałymi flagami, poruszali się niczym kolorowa ludzka mozaika.

– Niech żyje Virumaa Wschodnia! – wołał ktoś, witając chór, który przybył z tej prowincji (odpowiednik województwa – red.) położonej na wschodzie kraju, gdzie 70 proc. mieszkańców mówi po rosyjsku. – To naprawdę trochę surrealistyczne – stwierdziła Świętłana Iwanowa z Narwy. Jej chór Tandem – pierwszy chór w Estonii dla dorosłych rosyjskojęzycznych śpiewaków – powstał po aneksji Krymu przez Rosję w 2014 r.

Chóry przyjechały z każdego zakątka: z górniczych miasteczek, z uniwersytetu w Tartu, z wysp na Bałtyku, z diaspory. Szli zmoczeni deszczem, ale z promiennymi twarzami. Wśród nich Tobias Orzeszko, który przyjechał z Bad Homburg w Niemczech, gdzie dziś pracuje. Studiował w Tallinie u dyrygenta Tõnu Kaljuste, laureata nagrody Grammy, a teraz prowadzi swój chór Vox Aevi. Śpiewał już w dużych chórach, ale to tutaj, jak mi powiedział, „jest większe niż wszystko, czego doświadczyłem. Tu poczułem pokojową moc muzyki”.

PIEŚNI Z PRZESZŁOŚCI | Gigantyczna muszla koncertowa, pod którą się zgromadzili, została zbudowana w latach 60. XX w. przez Sowietów – w ramach prób włączenia estońskiej kultury śpiewu w system socjalistyczny.

Dziś wykonywano w niej tradycyjne pieśni w różnych chóralnych układach. Pojawiły się też nowe kompozycje, poetyckie aranżacje i radosne melodie o codziennym życiu i estońskiej przyrodzie. Wiele czerpało z najstarszych tradycji ustnych – *regilaul*, pieśni runicznych, powstałych w czasach przedchrześcijańskich i przekazywanych przez wieki, a wskrzeszonych przez legendarnego organistę i kompozytora Veljo Tormisa (1930-2017). Jego twórczość stanowiła fundament tegorocznego motywu: pokrewieństwa. Obok innego kompozytora, 89-letniego Arvo Pärta, Tormis jest filarem estońskiego kanonu chóralnego.

Kulminacyjną chwilą był finałowy akord Chóru Życia, poetyckiej medytacji nad tożsamością, śpiewanej przez ponad 15 tys. głosów. 34-letni dyrygent Rasmus Puur stał się w tej chwili gwiazdą. Gdy autorka tekstów i kompozytorka Mari Kalkun wbiegła na scenę, rozległy się owacyjne brawa.

Bo w Estonii to dyrygenci i kompozytorzy są bohaterami; tymi, którzy przecho- rzy są głos narodu. – Ten festiwal symbolizuje ciągłość naszej kultury – powiedział mi Puur. – Dla młodych to coś prawdzi-



wego, stabilnego. Coś, czemu można zaufać.

NOWE POKOLENIA | Ci młodzi też byli obecni. 33-letnia Mai Simson poprowadziła „Las moich myśli”, utwór z jazzowymi akcentami, który zaśpiewało 5 tys. dzieci. – Opowiada o byciu sobą i zaufaniu do siebie – mówiła mi podczas próby. – To przesłanie i dla dzieci, i dla dorosłych. Do tego wpadające w ucho.

Z kolei piosenkarka folkowa Celia Rose wystąpiła z utworem „Moja pieśń zamienia morze w ląd”, własną kompozycją ożywiając runiczną melodię Tormisa. – Kiedy śpiewam, wojna ustaje – zaintonowała, a jej głos powtórzyło 7 tys. chórzystów.

Następnie przyszła pora na „Modal Etudes”, zinterpretowany na nowo utwór Tormisa, prowadzony przez doświadczonego dyrygenta Arne Saluveera i młodego muzyka rockowego Tauno Aintsu. Tutaj dawna i nowa Estonia zjednoczyły się: w latach 80. XX w. Saluveer uniknął wysłania do Afganistanu, a dziś kieruje Estońskim Chórem Radia i Telewizji.

LINIA OBRONY | Po tym, jak w 1991 r. Estończycy odzyskali niepodległość, kolejnym punktem zwrotnym było dla nich wejście do NATO i UE w 2004 r. Byli pionierami cyfrowej administracji, zbudowali pierwsze na świecie ochotnicze siły cyberobrony, dali światu Skype’a. Ich armię (7,5 tys. żołnierzy i 26 tys. rezerwi-

stów) wspiera ochotnicza Liga Obrony (Kaitseliit), licząca 34 tys. ludzi. Oznacza to, że co dwudziesty mieszkaniec jest zaangażowany w wysiłek obronny.

Teraz, gdy Rosja znów jest zagrożeniem, Estonia przygotowuje się. Wydatki na obronność mają osiągnąć 5 proc. PKB, Liga Obrony notuje rekordową liczbę rekrutów. I także tu śpiew odgrywa swoją rolę. W kraju, który ma 1,3 mln mieszkańców, w tym 40 tys. chórzystów, także muzyka chóralna jest włączona w obronę narodową.

– Ludzie są dziś zmęczeni, wszystko wydaje się niestabilne – mówi mi Kärolin Tuisk. – Ale kiedy śpiewamy razem, tyśiąc z nas, jednym głosem, przynosi to spokój. Daje nam siłę.

W tym roku Kärolin po raz pierwszy stanęła podczas „Laulupidu” na czele chóru jako dyrygentka. Poprowadziła 10 tys. śpiewaków. – Czego więcej mogłabym chcieć? – mówiła mi. – Jako młoda dyrygentka czuję ciężar odpowiedzialności. Podnosisz ręce, a ludzie podążają za tobą. Ta jedność jest potężna.

W towarzystwie 4 tys. śpiewaczek wystąpiła natomiast 34-letnia sopranistka operowa Mirjam Mesak, na co dzień występująca w Bawarskiej Staatsoper w Monachium. Jej matka uczestniczyła w Śpiewającej Rewolucji. – To poczucie wspólnoty, stania ramię w ramię, jest tym, czego potrzebujemy teraz bardziej niż kiedykolwiek – mówiła mi Mirjam.

RODZINA | Także dla dyrektorki artystycznej festiwalu, Heli Jürgenson, „Laulupidu” to, jak mówi, „ćwiczenie odporności narodowej”. – To fundament naszego życia, od najmłodszych lat. Na szczęście nie jesteśmy w stanie wojny. Ale gdyby Estonia musiała się bronić, „Laulupidu” znów będzie dla nas podwaliną, motywacją.

Gdy była nastolatką, pod koniec istnienia Związku Sowieckiego, Heli mieszkała na wsi. Odkryta przez nauczyciela muzyki, trafiła do Tallina. Z domu przywoziła warzywa i ziemniaki, bo w sklepach były pustki. Ale w powietrzu iskrzyło. – Nie było szamponu, ale organizowaliśmy spontaniczne wiece śpiewacze – wspomina. Dziś jest jedną z najsłynniejszych dyrygentek w Estonii.

– To czysta energia, nic negatywnego – tak swoją tu obecność tłumaczy Allan Kaldoja, twórca niezależnych teatrów

w Tallinie i Narwie. – To rytuał, pielgrzymka, która łączy naród, oczyszcza umysł i przypomina, co jest ważne.

– Przez ten tydzień zapominamy o polityce i problemach – mówi z kolei 44-letni Alo Einla, inżynier IT, który przyprowadził troje dzieci. – To jak zjazd rodzinny.

Nastolatki Annaliis Alavere i Lisbeth Leuska pochodzą z Rakvere, obie mają wianki z niebieskich kwiatów. Dla nich to nie tylko muzyka – to wspólna scena, grupowe selfie, a wcześniej długie dni prób. – Chodzi o więź – mówi Lisbeth. – Tu odkłada się różnice na bok.

WSPÓLNOTA | Ostatnia noc festiwalu. Zapada pełna emocji cisza, gdy Heli Jürgenson unosi ramiona. Potem głosy narastają, aż 90-tysięczny tłum uczestników festiwalu śpiewa „*Mu isamaa on minu arm*” (Moja ojczyzna jest moją miłością). Bojowy zew Śpiewającej Rewolucji wypełnia powietrze niczym fala przyływu.

Swietłana Iwanowa z Narwy stoi w tłumie i czuje, jak się w nim rozpyływa. Przyćmione słońce zachodzi nad morzem. Ludzie kołyszają się, trzymając za ręce, machają flagami. Niektórzy płaczą. Telefony komórkowe jarzą się w wieczornym świetle. „*Eesti! Eesti!*”.

Dla wielu rosyjskojęzycznych mieszkańców Estonii „Laulupidu” długo zdawało się czymś odległym. Ich historia, ich wspomnienia były inne. Dla wielu wojna w Ukrainie jedynie wyostrzyła tu napięcia. Ale gdyby nie rosyjska agresja, chór Tandem Swietłany Iwanowej mógłby nigdy nie powstać. I mogłaby nigdy nie zostać zaproszona na ten festiwal. A wówczas nie doświadczyłaby tej chwili.

Jest rosyjskojęzyczną Estonką. Jej ojciec popiera Putina. Okna jej domu wychodzą na Rosję – jest po drugiej stronie granicznej rzeki. Ale tutaj, w tym tłumie, Swietłana czuje coś niezwykłego. – Tu poczułam się sobą – powie mi potem.

Nie jak Rosjanka z Estonii. Nie jak estońska Rosjanka. Po prostu sobą, z poczuciem ulgi, szczęśliwą i – wreszcie – będącą częścią wspólnoty.

© ISABELLE DE POMMEREAU
Przełożyła PATRYCJA BUKALSKA

Autorka jest francuską dziennikarką, autorką korespondencji z Europy Wschodniej, w tym z Ukrainy, które ukazują się w mediach Europy Zachodniej i USA.

PREZENT DLA SZACHA

Amerykanie próbują dziś zmusić Teheran do ograniczenia programu jądrowego. A przecież to oni podarowali mu pierwszy reaktor i kształcili u siebie irańskich inżynierów – w czasach, gdy Iran był monarchią.

MARTA ZDZIEBORSKA

JEST 8 GRUDNIA 1953 ROKU, W NOWYM Jorku trwa sesja Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Prezydent USA Dwight D. Eisenhower wygłasza przemówienie, które potem zostanie uznane za jedno z najważniejszych w jego politycznej karierze.

Ponad osiem lat po zrzuceniu bomb nuklearnych przez USA na Hiroszimę i Nagasaki, by zmusić Japonię do kapitulacji, Eisenhower przekonuje, że prace nad atomem powinny służyć pokojowym celom.

„Nie wystarczy odebrać tę broń żołnierzom. Należy przekazać ją tym, którzy wiedzą, jak wykorzystać ją do sztuki pokoju” – dowodzi i proponuje powołanie międzynarodowej agencji, która byłaby odpowiedzialna m.in. za przechowywanie zapasów materiałów rozszczepialnych. Wszystko po to, by wykorzystać je w rolnictwie i medycynie.

Rywalizacja z Moskwą

Ostatecznie taki „bank uranu” wtedy nie powstał. Powstała za to Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej, a Eisenhower dał się poznać jako – jakbyśmy dziś powiedzieli – mistrz pijaru. Można pokusić się o taką tezę, bo jego 24-minutowe wystąpienie, momentami mocno pompacyjne, doprowadziło do uruchomienia programu nazwanego też mocno górnolotnie: „Atom dla pokoju”.

Amerykańska inicjatywa, mająca wspierać inne kraje w tworzeniu cywilnego programu jądrowego, według wielu historyków miała charakter propagandowy. W tamtym czasie, gdy trwała

zimnowojenna rywalizacja z Sowietami, Stany chciały ugruntować swoją pozycję jako lidera technologii jądrowej i zacieśniać relacje z sojusznikami, kusząc ich dostępem do atomowego *know how*.

Program mógł być też zasłoną dymną: w czasie, gdy promowano pokojowe użycie energii jądrowej i podpisywano umowy o współpracy z Brazylią, Argentyną czy Pakistanem – w laboratoriach amerykańskich budowano kolejne bomby. Na miesiąc przed swoją przemową w Nowym Jorku Eisenhower – weteran II wojny światowej, podczas której jako generał dowodził wojskami alianckimi w Europie – zezwolił na zwiększenie amerykańskiego arsenału nuklearnego.

Kuźnia irańskich kadr

Wśród krajów, którym Stany otworzyły drzwi do programu „Atom dla pokoju”, był też Iran – wówczas rządzony przez prozachodniego króla (szacha) Mohammada Rezę Pahlawiego. W 1959 r., dwa lata po podpisaniu z USA umowy o współpracy, szach otworzył centrum badań nuklearnych na Uniwersytecie Teherańskim. W 1967 r. Irańczycy dostali reaktor badawczy wraz z paliwem jądrowym zawierającym aż 93 proc. izotopu uranu-235.

Robert Einhorn, ekspert ds. kontroli zbrojeń z Brookings Institution, tłumaczy w rozmowie z „Tygodnikiem”, że w tamtych czasach było to standardowe paliwo w reaktorach badawczych, choć teoretycznie mogło posłużyć do produkcji broni jądrowej.

– Dopiero wiele lat później dokonano zmian i teherański reaktor zasilany był paliwem o mniejszej zawartości uranu, do 20 procent – mówi Einhorn, dodając, że obsługiwanie tego „prezentu” od Amerykanów było w początkowych latach swoistą szkołą, kształcąca kadrę irańskich naukowców nuklearnych.

Reaktor ten, jak wykazał w 2004 r. raport Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, posłużył też później do eksperymentów mających na celu produkcję polonu-210, obecnego w tzw. inicjatorze berylowo-polonowym. Umieszczany jest on w niektórych bombach w celu uruchomienia łańcuchowej reakcji rozszczepienia. Prowadzi to do uwolnienia ogromnej energii i ostatecznie do wybuchu.

„Szybciej niż myślicie”

Podjmując cywilną współpracę atomową z USA, szach Pahlawi chciał pokazać, że trzyma się reguł. Podpisał traktat o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej (NPT) już 1 lipca 1968 r., czyli tego samego dnia, gdy został on przedłożony do ratyfikacji.

Tym samym szach poddał swój kraj kontroli inspektorów Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej. Traktat NPT stanowi jasno: kraje posiadające już broń nuklearną zobowiązują się do nieprzekazywania jej innym państwom. Te zaś, które jej nie mają, deklarują, iż nie będą dążyć do jej pozyskania.

Szach podpisał więc traktat i zaczął pompować miliardy dolarów w rozwój cywilnego programu jądrowego, który postrzegał jako krok ku industrializa-



AP / EAST NEWS

Prezydent Dwight Eisenhower (po lewej) i szach Iranu Mohammed Reza Pahlavi w Pałacu Marmurowym w Teheranie. Iran, 14 grudnia 1959 r.

cji i modernizacji kraju. Miał na to pieniądze, bo Iran, tak jak inne państwa regionu, wzbogacił się na kryzysie naftowym, który wybuchł w 1973 r.

Rok później Pahlawi ogłosił, że w ciągu dwóch dekad chce zbudować ponad 20 reaktorów i powołał Organizację Energii Atomowej Iranu, odpowiedzialną za badania nad potrzebną technologią. Ku zaniepokojeniu Waszyngtonu zaczął też mówić o prawie Iranu do rodzimej produkcji paliwa jądowego. Twierdził wręcz, że restrykcyjne zasady współpracy z USA naruszają „narodową suwerenność”.

Pytany w 1974 r. przez francuskich dziennikarzy, czy Iran tak jak Indie bę-

dzie miał kiedyś broń nuklearną, odparł: „Bez wątplenia, szybciej niż można się tego spodziewać”.

Pożyczka dla Francji

Tymczasem Amerykanie śledzili działania Irańczyków. Jak wnikliwie, to pokazuje odtajniona notatka ambasady USA w Teheranie z 15 kwietnia 1976 r. Czytamy w niej, że dwa lata po uruchomieniu Organizacji Energii Atomowej Iranu, zatrudniła ona już ponad tysiąc pracowników, że trwa rozwój ośrodków badań jądowych, podpisano listy intencyjne w sprawie budowy czterech elektrowni i zaczęto poszukiwanie złóż uranu w kraju i za granicą.

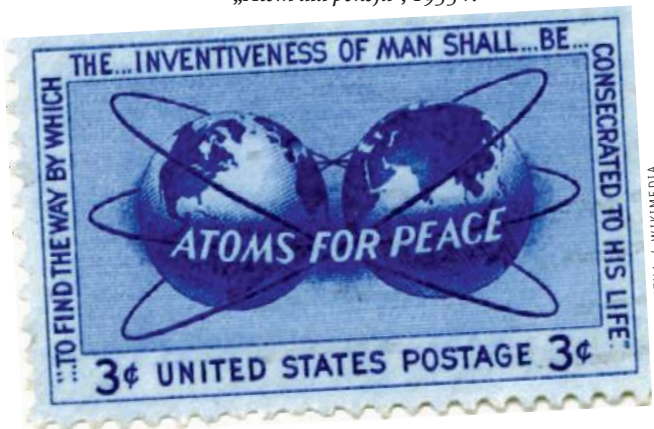
„Rząd Iranu pielęgnuje wrażenie, iż jego ambitny plan wyprodukowania 23 tys. megawatów energii jądowej do 1994 r. ma być alternatywą dla elektrowni ciepłych i hydroelektrowni, i że w żadnej mierze nie jest on wstępem do prac nad bronią jądową” – pisali autorzy notatki, w której pojawia się też informacja, że Organizacji Energii Atomowej Iranu pośrednio doradza waszyngtońska firma konsultingowa NUS Corp.

W notatce mowa jest też o współpracy Iranu z Francją, a konkretnie o pożyczce udzielonej przez szacha francuskiemu Komisarjatu ds. Energii Atomowej. W zamian za miliard dolarów na budowę francuskiego zakładu wzbogacania uranu Iran →

→ miał zyskać prawo do zakupu 10 procent jego przyszłej produkcji. Francja zgodziła się też sprzedać Teheranowi pięć reaktorów i szkolić irańskich naukowców.

Szach Pahlawi podpisał również umowę z Kraftwerk Union, firmą z Niemiec Zachodnich, która miała wybudować dwa reaktory w miejscowości Buszehr.

Amerykański znaczek pocztowy nawiązujący do programu „Atom dla pokoju”, 1955 r.



Zmienna perspektywa USA

Budowę tę zawieszono, gdy w 1979 r. wybuchła rewolucja, która obaliła szacha i ustanowiła republikę islamską. Siłą rzeczy do Iranu nie trafiło już osiem reaktorów zamówionych w Stanach.

W sprawie tych reaktorów już wcześniej toczyły się długie negocjacje: zaniepokojona polityką szacha administracja Jimmy'ego Cartera naciskała, by zmienić warunki kontraktu. Chodziło o to, by Irańczycy bez zgody Stanów nie mogli poddać recyklingowi zużytego paliwa jądrowego dostarczonego przez Amerykanów. Miało to wykluczyć ryzyko, że wykorzystają je do prac nad bronią jądrową.

Amerykański analityk William Burr pisze na łamach „Bulletin of the Atomic Scientists”, że USA zaczęły uważniej śledzić działania Iranu w 1974 r. Po tym, jak w tym właśnie roku Indie przeprowadziły pierwszą próbną eksplozję bomby jądrowej, obawiano się, iż zachęci to inne kraje do jej pozyskania.

Robert Einhorn, który za rządów prezydenta Obamy był negocjatorem w rozmowach z Teheranem, mówi „Tygodnikowi”, że wcześniej, w latach 50. i 60. XX w., Stany miały zupełnie inną perspektywę. – Gdy uruchamiano program „Atom dla pokoju”, niedopuszczenie

do rozprzestrzeniania broni jądrowej nie było aż tak istotne z punktu widzenia bezpieczeństwa USA. Broń jądrową miały wówczas tylko Stany Zjednoczone, Związek Sowiecki i Wielka Brytania – wylicza Einhorn.

– Być może zakładano, że większości państw nie będzie stać na ogromne nakłady technologiczne, przemysłowe i finansowe związane z pozyskaniem tej broni. Nie zdawano sobie też chyba do

końca sprawy, w jakim stopniu cywilny program jądrowy może utorować drogę do prac nad programem wojskowym – uważa Einhorn.

Studia w Massachusetts

Zanim wybuchła rewolucja, która wstrzymała na kilka lat irański program nuklearny, Pahlawi zdążył wykształcić na Zachodzie grupę

inżynierów. Część uczyła się w jednej z najbardziej prestiżowych uczelni w USA: Massachusetts Institute of Technology (MIT).

Jak donosił w 1975 r. dziennik „New York Times”, kandydaci na studia, wskazani przez irańskie władze, mieli rozmowy kwalifikacyjne w Teheranie z Kentem Hansenem, dziekanem wydziału inżynierii jądrowej MIT. Program kształcenia dla kilkudziesięciu Irańczyków miał kosztować 1,4 mln dolarów. Tak dużo, bo szach musiał opłacić dwukrotnie wyższe czesne, m.in. ze względu na koszty zakupu nowego sprzętu laboratoryjnego.

Obecności Irańczyków na MIT sprzeciwiali się amerykańscy studenci: uważali, że może to prowadzić do proliferacji broni jądrowej. Zorganizowano nawet w tej sprawie referendum: przeciw „programowi irańskiemu” na uczelni głosowało 1001 osób, a za 214.

Władze wydziału tym się nie przejęły. Obawy studentów bagatelizowano, twierdząc, że są dziedziny bardziej kluczowe dla prac nad bronią jądrową, jak chemia, a irańskie reaktory nie są wystarczająco zaawansowane technologicznie.

Absolwenci z MIT

Farah Stockman, wieloletnia dziennikarka gazety „Boston Globe”, prześwie-

tliła losy 28 irańskich absolwentów programu na MIT. Ustaliła, że co najmniej trzy osoby pracowały potem przy budowie programu nuklearnego – potem, to znaczy już za republiki islamskiej, gdy irańskim pracom będzie towarzyszyć podejrzenie, iż ich cel jest także wojskowy.

Doktorat na MIT zrobił wtedy Ali Akbar Salehi, przyszły szef Organizacji Energii Atomowej Iranu i minister spraw zagranicznych w latach 2010-13.

Według ustaleń dziennikarki większość, bo niemal dwie trzecie irańskich absolwentów MIT, nie wróciła do kraju. Niektórzy pracowali potem dla przemysłu obronnego USA czy Amerykańskiej Komisji Dozoru Jądrowego.

Cytowany przez „Boston Globe” profesor MIT Marvin M. Miller wspominał, że w latach 70. wśród amerykańskich polityków i urzędników miało przeważać myślenie, iż Iran powinien postawić na energię jądrową, bo jego złoża ropy kiedyś się skończą. Taką argumentację stosował także szach, a potem przywódca islamskiej republiki.

Pakistan wypełnia lukę

Po obaleniu szacha prace nad atomem wznowiono w Iranie w latach 80. XX w., korzystając z pomocy Pakistanu – wcześniej także beneficjenta programu „Atom dla pokoju”.

Tak jak Teheran, Pakistańczycy otrzymali od Amerykanów reaktor badawczy wraz z paliwem, szkolono ich także z inżynierii jądrowej. W latach 80. Waszyngton przyniósł oko do rozwijany w Pakistanie program nuklearny, bo kraj ten był kluczowy dla przetrwania broni dla afgańskich mudżahedinów, walczących z armią sowiecką w Afganistanie.

Za pracami, które miały doprowadzić do zbudowania przez Pakistan własnej bomby atomowej (pierwszy próbną wybuch przeprowadzono w 1998 r.), stał Abdul Qadeer Khan. Wcześniej, jeszcze w latach 70. XX w., był on zatrudniony w amsterdamskim laboratorium współpracującym z URENCO – światowym dostawcą wzbogaconego uranu.

Khan wykradł tajne informacje dotyczące technologii i wrócił do Pakistanu. To właśnie on, jak przyznał w 2005 r. Islamabad, sprzedał Iranowi wirówki do wzbogacania uranu – ponoć bez wiedzy własnego rządu. Autorzy think tanku Carnegie Endowment for International

Peace podejrzewają, że współpraca Iranu z Pakistanem mogła obejmować też szkolenie irańskich naukowców w pakistańskich ośrodkach badań jądrowych.

Teheran podejmie ryzyko?

Islamska Republika Iranu rozwijała swój program nuklearny także z pomocą Chin, Argentyny (która też skorzystała na „Atomie dla pokoju”) i Rosji. W 1995 r. Moskwa podpisała z Teheranem umowę na dokończenie przez Rosjan budowy elektrowni w Buszehr. Z czasem Rosjanie stali się kluczowym partnerem Iranu w zakresie energii jądrowej (choć rozbieżne są zdania, czy Kreml chciałby, aby Teheran wszedł w posiadanie tej broni).

Dziś, po 12-dniowej wojnie między Izraelem i USA a Iranem, światowi analitycy głowią się, w jakim stanie jest irański program atomowy. Robert Einhorn prognozuje w rozmowie z „Tygodnikiem”: – Atak USA, a wcześniej izraelskie bombardowania ukazały słabość irańskiej strategii odstraszenia. Można założyć, że doprowadzi to tylko do zwiększania presji, by



Samochód ciężarowy promujący program „Atom dla pokoju”.

Iran pozyskał broń nuklearną, co zagwarantowałoby też przetrwanie irańskiego reżimu. Nie jest jednak jasne, czy Teheran podejmie to ryzyko.

Z dzisiejszej perspektywy można by uznać, że twórcy programu „Atom dla po-

koju” patrzyli na świat przez zbyt różowe okulary.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press” i była korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem”.

REKLAMA

WSPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU: W PODRÓŻY.

W nieznane miejsca, w głąb siebie, po inspiracje, po miłość, do domu. Dlaczego mimo wszystko nie rezygnujemy z podróży?

Co z miłością, gdy pożądanie wygasa?

Żyrowanie kredytu to koniec przyjaźni?

Romans w pracy. Co dalej?

wysokieobcasy
extra

W PREZENCIE: MAGAZYN

100 stron tamigłówek umysłowych



SZTUKA PRZEMOCY

Wykorzystywanie wiary do znęcania się to najgłębsza forma przemocy – mówi Laura Sgrò, prawniczka reprezentująca ofiary o. Marka Rupnika.
– Najbardziej boli, gdy sprawcy cieszą się w Kościele ochroną, która pozwala im uniknąć kary.

PAULINA GUZIK

WATYKAN WYZNACZYŁ SĘDZIÓW, KTÓRZY będą nadzorować proces kanoniczny o. Marka Rupnika, słoweńskiego księdza-artysty, oskarżonego o seksualne, duchowe i psychiczne wykorzystanie ponad dwudziestu kobiet.

Marko Rupnik był jedną z najjaśniejszych gwiazd sztuki sakralnej, twórcą mozaik w ponad 220 kościołach na całym świecie, w tym najśłynniejszych sanktuariach, jak Lourdes, Fatima, San Giovanni Rotondo, Aparecida czy krakowskie Sanktuarium Jana Pawła II na Białych Morzach.

Mozaiki zaczął tworzyć jeszcze w Słowenii. Tam też został – jako jezuita – kierownikiem duchowym Wspólnoty Loyola, założonej w latach 80. ubiegłego wieku przez s. Ivanę Hostę. W latach 90. wyjechał do Rzymu, gdzie założył Centro Aletti – ośrodek pracy twórczej dla stworzonego przez siebie zespołu artystów. Globalną sławę przyniosły mu dzieła wykonane dla kaplicy Redemptoris Mater w Watykanie.

Mozaiki były dla niego – i założonego centrum – nie tylko powodem dumy, ale też źródłem dużych pieniędzy. Metr kwadratowy dzieła, które wychodziło z pracowni jezuitów, kosztował ok. 1000 euro. W jednym z parafialnych kościołów we Włoszech udekorowano nimi 160 m² ścian. W brazylijskiej Aparecidzie jego prace zdobią trzy fasady, z której każda ma powierzchnię ok. 4 tys. m². Odslonięcie południowej fasady, 11 maja tego roku, hucz-

nie fetowano wielogodzinnym koncertem transmitowanym w internecie.

Zstąpienie do piekieł

Pierwsze oskarżenia pojawiły się publicznie trzy lata temu. 18 grudnia 2022 r. włoski dziennik „Domani” opublikował wstrząsający wywiad Federiki Tourn z Glorią Branciani (wtedy występującą pod pseudonimem Anna – prawdziwe nazwisko kobiety ujawniła rok później). Branciani opowiadała o „zstąpieniu do piekieł”, jakiego doświadczała przez dziewięć lat. „Ksiądz Marko przenikał do mojego świata psychicznego i duchowego najpierw powoli i delikatnie, odwołując się do moich niepewności i słabości, a jednocześnie wykorzystując moją relację z Bogiem, by skłonić mnie do kontaktów seksualnych” – mówiła dziennikarce. Z jej relacji wynikało, że z upływem czasu słynny jezuita zaczął inicjować „coraz więcej erotycznych gier w pracowni przy Collegio del Gesù w Rzymie podczas malowania lub po celebracji Eucharystii czy spowiedzi”.

W listopadzie 2023 r. Branciani, absolwentka filozofii, opowiadała – tym razem pod pełnym nazwiskiem, rozmawiając z amerykańską katolicką agencją informacyjną OSV News – że niektóre zakonnice ze Wspólnoty Loyola w Menges w Słowenii oskarżały Rupnika już w początkach lat 90. Zarzucały mu nadużywanie władzy i sił, a także molestowanie seksualne.



Marko Rupnik prezentuje szkice do mozaiki na fasadzie bazyliki w Lourdes. Rzym, 16 listopada 2007 r.

Tyle że „nikt nie słuchał sióstr”, a nawet więcej – kobiety, które odważyły się zgłosić przełożonym wykonywanie, były ośmieszane lub oskarżane o dobrowolny związek z zakonikiem. „W tym czasie wiele sióstr na różnych poziomach miało z nim relacje seksualne” – mówiła Branciani.

Ona sama poinformowała o nadużyciach, już w latach 90., abp. Alojzjiego Šušlara, przełożonych słoweńskich jezuitów oraz o. Tomáša Špidlíka, późniejszego kardynała, a w tamtym czasie wpływowego jezuitę, pracującego w Radiu Watykańskim. Za jego radą odeszła z zakonu, nie podając jednak prawdziwych powodów. „W sierpniu 1993 r. (ojciec) Špidlík poradził mi, abym napisała list rezygnacyjny” – mówiła dziennikarce OSV News, dodając, że jezuita „sugerował, abym napisała, że moja prośba o zwolnienie ze ślubów nie wynika z żadnych konkretnych powodów”.

Choć trzeba przyznać, że skargi przyniosły jakiś skutek: w październiku 1993 r. arcybiskup Lublany bez wyjaśnienia usunął o. Rupnika ze Wspólnoty Loyola w Mengeš. To właśnie wtedy zakonnik-artysta przeniósł się do Rzymu i otworzył Centro Aletti.

Oskarżycielki i obrończynie

W czerwcu 2023 r. o. Rupnik został usunięty z zakonu jezuitów za „uporczywe łamanie ślubów posłuszeństwa”. Pół roku później wyszło na jaw, że już w 2020 r. został na krótko ekskomunikowany za udzielenie rozgrzeszenia włoskiej nowicjusze, z którą odbył stosunek seksualny. Ekskomunikacja została jednak zniesiona po tym, jak okazał skruczę.

Z biegiem czasu pojawiało się coraz więcej oskarżeń – do tej pory zgodziło się zeznawać ponad 20 kobiet, skrzywdzonych w ciągu ponad 30 lat. Po wydaleniu z zakonu Rupnik pozostał jednak kapłanem, a pod koniec sierpnia 2023 r. został przyjęty do diecezji Koper w Słowenii.

Maria Campatelli, obecna dyrektorka Centro Aletti, cały czas utrzymuje, że oskarżenia wobec Rupnika były „oszczercze i nieudowodnione”, stanowiąc formę medialnego „linczu” na słoweńskim księdzu i jego centrum sztuki. Franciszek przyjął ją na prywatnej audycji 15 września 2023 r. Argentyński papież aż do śmierci miał w swoim prywatnym apartamencie w Domu Św. Marty ikonę, którą otrzymał w prezencie od Rupnika.

Także część sióstr ze Wspólnoty Loyola wciąż współpracuje z Rupnikiem. Dawna przełożona wspólnoty, Ivanka Hosta, nigdy nie poinformowała pozostałych sióstr o oskarżeniach, jakie zgłosiła Branciani i inne kobiety. „Powiedziała wszystkim, że jestem pod wpływem diabła i że stanowię zagrożenie dla wspólnoty” – wspomina Branciani.

Gdy Papieska Komisja ds. Ochrony Nieletnich zwróciła uwagę na poważne problemy w prowadzeniu



ERIC VANDEVILLE / GAMMA-RAPHO / GETTY IMAGES



GUGLIELMO MANGIAPANE / REUTERS / FORUM

Prawniczka Laura Sgrò i były siostry Gloria Branciani i Mirjam Kovac, ofiary księdza Marka Rupnika, podczas konferencji prasowej. Rzym, 21 lutego 2025 r.

→ sprawy Rupnika i brak kontaktu z ofiarami, papież Franciszek zawiesił – jesienią 2023 r. – w tej konkretnej sprawie przepisy o przedawnieniu, a Dykasteria Nauki Wiary podjęła na nowo śledztwo.

Plaga w Kościele

Kobiety, które oskarżają Marka Rupnika o wykorzystanie seksualne, reprezentować będzie przed sądem Laura Sgrò, znana włoska adwokatka, która uczestniczyła w wielu „watykańskich” procesach – m.in. prowadziła sprawę Emanuela Orlandi, zaginionej w 1983 r. córki pracownika prefektury domu papieskiego. Jest jedną z nielicznych prawniczek, które mają uprawnienia Roty, Sądu Apelacyjnego i Urzędu Pracy Stolicy Apostolskiej.

Tym razem reprezentuje 5 skrzywdzonych kobiet, w tym Branciani, Mirjam Kovac, była zakonnica, a dziś świecką wykładowczynią Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie, francuską artystkę s. Samuelle oraz dwie inne zakonnice, które chcą pozostać anonimowe.

– Potrzebowały prawnika i ochrony – mówi „Tygodnikowi Powszechnemu”. – Przed przyjęciem zlecenia postawiłam im tylko jeden warunek: muszę uwierzyć w ich historię. Gloria i Mirjam spędziły kilka godzin w moim biurze i opowiedziały mi o strasznych wydarzeniach, których doświadczyły. Nie miałam wątpliwości co do prawdziwości ich historii i rozumiałam, że również dla nich priorytetem było, by ktoś im uwierzył.

Sgrò podkreśla, że jedna z jej klientek, Gloria, „doświadczyła niewyobrażalnych rzeczy: została zmuszona do uprawiania seksu z trzema mężczyznami w imię

Trójcy Świętej i nie była jedyną ofiarą”. Dodaje, że kobieta po raz pierwszy zgłosiła krzywdę na początku lat 90.

– Jak to możliwe, że wszystko to dzieje się w Kościele i że tak długo panuje milczenie? – pyta adwokatka, podkreślając, że niektóre kobiety, skrzywdzone przez Rupnika, nie wierzą w sprawiedliwość kościelną i nie chcą angażować się w postępowanie.

– Te, które reprezentuję, są niezwykle: silne, odważne, nie boją się prawdy. Odkąd ujawniły swoją historię, doświadczają przemocy i wtórnej wiktymizacji, ale nie poddały się. Zostały oskarżone o rozwiązłość, działanie z zemsty, nienawiści, chciwości lub nieodwzajemnionej miłości.

Według prawniczki Marko Rupnik jest przykładem wpływowego człowieka Kościoła, posiadającego rozległe kontakty, wykorzystującego swoją rolę – duchowego kierownika – by znęcać się nad kobietami psychicznie, duchowo, a w niektórych przypadkach nawet fizycznie.

– Ojciec duchowy jest osobą, której zakonnica powierza swoją drogę do Boga. Wykorzystywanie wiary do znęcania się jest naprawdę szokujące; jest to najgłębsza forma przemocy – mówi. – Niestety, przypadki takie jak te nie są bynajmniej odosobnione. Najbardziej boli, że sprawcy przemocy często cieszą się rozległą siecią ochrony w Kościele, która pozwala im uniknąć kary.

Adwokatka przyznaje też, że oskarżenia o przemoc duchową – bo taki zarzut też pojawi się w procesie – są szczególnie trudne, a samo przestępstwo zasługuje na podjęcie konkretnych działań legislacyjnych.

– Tym razem sąd nie będzie mógł uniknąć przeprowadzenia dokładnego śledztwa w sprawie, która staje się plagą w Kościele.

Sztuka większa niż artysta

Odkąd sprawa Rupnika nabrała medialnego rozgłosu, trwa debata, co zrobić z jego mozaikami zdobiącymi najważniejsze miejsca modlitwy na świecie. Wielu zarządców znanych sanktuariów i kościołów tłumaczy, że należy oddzielić życie artysty od jego dzieł, przed którymi modlą się tysiące ludzi, i że sztuka jest większa niż oskarżenia. Ofiary Rupnika zauważają jednak, że krzywdy, jakich doznały, nie działały się w próżni, ale wewnątrz jego artystycznego świata.

Branciani jako studentka była modelką Rupnika i częstym gościem w jego pracowni przy Piazza del Gesù w Rzymie. „Twierdził, że seksualność ulega przemianie i oczyszczeniu w dziele sztuki” – opowiada w rozmowie z OSV News.

Siostra Samuelle, która w latach 2008-2014 mieszkała w Centro Aletti, mówi, że Rupnik „nauczył się rysować 40 lat temu dzięki molestowaniu Glorii”. Opowiada też, jak były jezuita nią manipulował: „Z jednej strony mówił mi, że mam wielki talent artystyczny, z drugiej zaś dawał mi do zrozumienia, że jeśli nie zrobię tego, czego chce, może mnie w każdej chwili odesłać”. Te „psychiczne tortury” zniszczyły jej pewność siebie. „Byłam tak chora, że nie wiedziałam już, czego chcę od życia, czy porzucić habit zakanny, czy przestać tworzyć sztukę” – wyznała zakonnica w rozmowie z amerykańską agencją. Rupnik „zapraszał mnie późno w nocy do swojego mieszkania na rozmowy, a na koniec mocno mnie przytulał” – wspomina. „Jeśli się wycofywałam, karmił mnie, mówiąc, że nie ma w tym nic złego, ponieważ on jest księdzem, a ja zakonnica, i wszystko między nami jest czyste”.

„Słał mi pocałunki, gdy byliśmy wśród ludzi, próbował zostać ze mną sam na sam, aby pieścić moje plecy i bawić się moim stanikiem, nawet gdy byliśmy na rusztowaniu wewnątrz kościoła” – mówi s. Samuelle. „Dzisiaj, kiedy mamy świadomość tego wszystkiego, jak możemy modlić się przed jego dziełami?” – pyta.

Symboliczny gest

Kilka sanktuariów zdecydowało się na zasłonięcie mozaik Rupnika. Pierwszym

było waszyngtońskie Sanktuarium św. Jana Pawła II, prowadzone przez Rycerzy Kolumba – amerykańską, katolicką organizację braterską mężczyzn. W lipcu 2024 r. Rycerze poinformowali, że podjęli tę decyzję „po zakończeniu starannego i dokładnego procesu”. I że mozaiki pozostaną zasłonięte tkaniną „co najmniej do czasu wydania przez Dykasterię Nauki Wiary Watykanu decyzji w sprawie nadużyć seksualnych artysty”.

Zasłonięte będą także mozaiki zdobiące drzwi wejściowe do Bazyliki Różańcowej w Lourdes. „Wraz z moimi współpracownikami uznaliśmy, że należy podjąć symboliczny krok, aby ułatwić wejście do bazyliki wszystkim, którzy obecnie nie są w stanie przekroczyć jej progu. W rezultacie wszystkie drzwi do bazyliki zostały zmodyfikowane” – powiedział w marcu 2025 r. tamtejszy biskup Jean-Marc Micas.

Ks. Tomasz Szopa, kustosz krakowskiego sanktuarium św. Jana Pawła II, w którym regularnie odbywają się spotkania i modlitwy osób skrzywdzonych w Kościele, zapytał ofiary, czy nadal chcą modlić się pod mozaikami artysty. Skrzywdzeni odpowiedzieli, że chcą zostać w sanktuarium, ale przenieśli swoje modlitwy do dolnej kaplicy, gdzie ściany nie zdobią mozaiki Rupnika.

– Nie domagamy się niszczenia dzieł Rupnika, ale mocnego gestu na rzecz ofiar – mówi „Tygodnikowi” Laura Sgrò. – Nie można zapominać, że w tym przypadku dzieło jest integralną częścią nadużycia.

Pytana, czego oczekuje od Kościoła, odpowiada: – Prawdziwej i rzeczywistej, a nie tylko teoretycznej świadomości. Przejrzystości i aktywnej współpracy. A także nieuniknionych kar dla tych, którzy popełniają takie przestępstwa. Ofiarom należy pomagać i przyjmować je z otwartymi ramionami, towarzyszyć im w zgłoszeniu przestępstwa, nie tylko na forum kanonicznym, ale także przed władzami państwowymi. Sprawcy nie tylko muszą zostać usunięci z kapłaństwa, ale trafić do więzienia. © PAULINA GUZIK

Autorka jest szefową działu międzynarodowego amerykańskiej agencji OSV News, wieloletnią prowadzącą katolickich programów w Telewizji Polskiej i wykładowcą akademickim.

Mówić, co się myśli

KS. TOMÁŠ PETRÁČEK, HISTORYK:

CZECHY | Są jednym z najbardziej zsekularyzowanych krajów na świecie, ale to nie znaczy, że Czesi są ateistami.

AURELIUSZ M. PĘDZIWOŁ: Jak to jest z wiarą Czechów? Mówi się, że Boga nie znają.

KS. TOMÁŠ PETRÁČEK: Według statystyk rzeczywistość tak to wygląda. Podobnie, jak kraje bałtyckie czy wschodnie Niemcy, Czechy są jednym z najbardziej zsekularyzowanych krajów świata. To dotyczy jednak chrześcijaństwa zorganizowanego i nie oznacza, że Czesi są ateistami w sensie materialistycznym. Raczej nie odczuwają potrzeby wiązania religijności z Kościołem. Jednym z powodów jest to, że jako jedno z nielicznych państw przeszliśmy zarówno pierwszą falę sekularyzacji w XIX i w pierwszej połowie XX wieku, jak i drugą, wymuszoną przez komunistyczne rządy po II wojnie światowej.

Przykładem był prezydent Václav Havel, który mówił, że jakaś istota istnieje, ale bliżej tego nie precyzował.

To się nazywa „cosizm”: Coś być musi. I to właśnie ma spora część Czechów. Nie religijność związana z Kościołem, ale przekonanie, że to „Cos” istnieje. Ale oprócz nich jest wielka masa ludzi, których to w ogóle nie obchodzi – są, jak to się mówi, religijnie amuzikalni.

A jak Kościół instytucjonalny stara się przyciągać ludzi?

Część czeskiego Kościoła stara się dotrzeć do ludzi, którzy są oddaleni od chrześcijaństwa, i zaoferować im jakąś przystępną formułę, atrakcyjną dla społeczeństwa, które nie jest wychowane w kościelnej tradycji. I to im się nawet nieźle udaje. Chodzi o księży, którzy są blisko duchowości reprezentowanej przez Richarda Rohra w książce „Uniwersalny Chrystus: prawda, która zmie-

nia wszystko”. Kierują się podobnymi impulsami, jakimi kierował się papież Franciszek. To księża Ladislav Heryán i Marek Vácha, czy dobrze znany w Polsce Tomáš Halík.

Ale obok tego działa tradycyjne duszpasterstwo, a wielu biskupów liczy, że stanie się rzecznikami konserwatywnej i nacjonalistycznej części społeczeństwa i ją pozyska, walcząc przeciw przejawom emancypacji.

Jest jeszcze polski ksiądz Zbigniew Czendlik, postać dość nietypowa nawet jak na czeski Kościół.

On jest poza wszelkimi kategoriami. Znany jest głównie z bardzo dobrych relacji z osobistościami pop-kultury i show-biznesu. Myślę, że jednak należy raczej do tej pierwszej kategorii. To człowiek, który stara się wyrazić prawdy wiary w sposób jasny, czasem aż szokujący, i odnosi sukcesy jako proboszcz. Niedawno zastępowałem go w Lanszkronie, mieście w Sudetach, gdzie po wojennym wypędzeniu pobożnej ludności niemieckiej religijność jest bardzo niska, a ludzie nie chodzą do kościoła zbyt tłumnie. Byłem zaskoczony, ponieważ jego kościół był pełny i było w nim wiele dzieci i ludzi młodych. Słyszałem, że zjeżdżają tam z daleka. Nie jest to więc człowiek zajmujący się jedynie celebrytami czy występami w telewizji, ale ktoś, kto ma też osiągnięcia w tradycyjnej posłudze duszpasterskiej. Co więcej, on umie wykorzystać swoje kontakty, by pozyskiwać bogatych sponsorów na rzecz różnych działań charytatywnych. Czasami staje się celem krytyki, na którą nie do końca zasłużył...

Organizuje turnieje golfowe, żeby...

...zdobyć pieniądze na różne cele charytatywne, na przykład na schroniska dla matek z dziećmi.

→ Czy inni księża też angażują się w działania społeczne?

Wielu tak. Chciałem wspomnieć jeszcze np. Josefa Suchara i jego dokonania w Neratovie w Górach Orlickich, gdzie zbudował całą wieś i integruje ludzi z upośledzeniem umysłowym. I daje zatrudnienie wielu ludziom w tej skądinąd bardzo biednej okolicy.

A Ksiądz czym się zajmuje?

Jestem historykiem, wykładam na uniwersytecie. Pracuję również jako duszpasterz akademicki i w duszpasterstwie parafialnym.

I czasami wypowiada się Ksiądz publicznie, wzbudzając poruszenie.

Moja specjalność to współczesna historia Kościoła, a zwłaszcza relacje między Kościołem a społeczeństwem i państwem. Próbuję wskazywać na możliwe zagrożenia, jakie mogą stwarzać niektóre kościelne postawy. Jestem nie tylko teoretykiem, ale także praktykiem. Widzę więc, jak to wygląda w rzeczywistości kościelnej.

Na przykład postawa wobec Konwencji Stambulskiej o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej. Republika Czeska podpisała ją w 2016 r., ale w ubiegłym roku senat odmówił jej ratyfikacji.

Właśnie. Problem polega na tym, że do dziś większość czeskich biskupów, którzy jej się sprzeciwiają, nie rozumie, czym jest teoria gender.

A czym jest, według Księdza?

Całkiem normalnym, produktywnym, socjologicznym i antropologicznym podejściem, które już od około 60 lat jest powszechnie stosowane we wszystkich naukach społecznych. Zaprzeczanie, że coś takiego jak gender istnieje, jest mniej więcej tak inteligentne, jak zaprzeczanie grawitacji.

Nie jest to ideologia?

Nie. Ideologią się może stać. Ale to tylko tania etykieta do walki z czymś, czego się nie rozumie. To, że istnieje różnica między płcią biologiczną a określonymi rolami kulturowymi i społecznymi przypisanymi do danej płci, jest po prostu obiektywnym faktem. Zaprzeczanie mu jest absurdem.

A zmiana płci jest dopuszczalna?

Tego nie mówi ani teoria gender, ani ideologia. Zawsze było tak, że niektórzy rodzili się w niewłaściwym ciele i mieli potrzebę radzenia sobie z tym. Dziś może się zdawać, że takich osób jest więcej, ponieważ wcześniej nie wolno było o tym mówić. Ale wtedy ci ludzie rozwiązywali swój wewnętrzny konflikt często tak, że popełniali samobójstwo. Dziś społeczeństwo jest bardziej wrażliwe i otwarte. Pozwala im radzić sobie z problemem choćby medycznymi metodami.

Wciąż jednak niektórzy odbierają sobie życie.

Tak. A jeśli Kościół i chrześcijaństwo mają jakąś misję w społeczeństwie, to powinna nią być właśnie szkoła empatii i współczucia. Powinniśmy być pośród pierwszych, starających się ulżyć tym, których już i tak spotkał ciężki los. Osoby

transpłciowe nie wybrały go, tylko się takie urodziły. Nie są ideologią i nie wolno wzbudzać wobec nich nienawiści.

Jak przekonać hierarchów, by zmienili swoje spojrzenie?

Formułując odmienne stanowiska. Ale ogólnie rzecz biorąc, chrześcijaństwo ma jeden ogromny problem. Nie tylko Kościół katolicki, ale tu on jest szczególnie wyostrowany. Bo wbrew oficjalnemu nauczaniu, wciąż jeszcze, przez dwa tysiące lat, nie pogodziliśmy się z cielesnością. W chrześcijańskim myśleniu, zwłaszcza w kręgach kościelnych, ciągle obecny jest późnoantyczny dualizm, który gardzi ciałem i cielesnością. Z tego wynika wiele całkowicie niepotrzebnych konfliktów, na przykład nienawistne podejście do niektórych mniejszości seksualnych. To zraza do Kościoła wielu ludzi, zwłaszcza młodych i wykształconych.

A co Ksiądz myśli o celibacie?

Jeśli jest to naprawdę charyzmat dany przez Boga, to jest ogromnym darem, który predysponuje osobę do służenia Mu na sto procent. Chociaż myślę, że również żonaty mężczyzna lub zamężna kobieta mogą służyć Bogu na sto procent. Ale celibat powinien być ograniczony jedynie do tych, którzy ten dar naprawdę mają. Idealnym rozwiązaniem jest wtedy życie we wspólnocie zakonnej złożonej z osób o podobnym charyzmacie.

Jeśli jednak celibat jest warunkiem święceń kapłańskich, to pozbawia Kościół wielu utalentowanych i zdolnych duchownych, którzy mogliby nieść cenne posługi. W seminarium duchownym na początku było nas na roku szesnastu, ale święcenia przyjęło trzech. Praktycznie cała reszta odeszła z powodu celibatu. A jestem przekonany, że byliby świetnymi księżmi.

A jak to się stało, że Ksiądz postanowił zostać duchownym?

Poczułem Boże powołanie. Do mnie dotarło to ostatecznie w 1990 r. Wróciłem do domu, a w telewizji z okazji urodzin papieża akurat pokazywano dokument o kapłańskich latach Karola Wojtyły. To były także moje urodziny – osiemnaste. I to właśnie stało się dla mnie potwierdzeniem powołania.

Wspomniany ks. Czendlik ma na drzwiach swojej sypialni

Drogiemu Profesorowi
Tomaszowi Dołęgowskiemu
składamy wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Ojca

Ś.†P.

Mariana Dołęgowskiego

WYCHOWANKOWIE Z SKN BNK



PAVLIČEK LUBOŠ / ČTK / PAP

napisane: „Budzić jedynie w razie pożaru lub zniesienia celibatu”.

Im człowiek jest starszy i bardziej szczerzy wobec siebie samego, tym bardziej uświadamia sobie, że chociaż może mieć wielu przyjaciół i bliskie, dobre relacje z innymi, to księdzu żyjącemu w celibacie brakuje czegoś istotnego w życiu, na przykład doświadczenia randkowania czy wychowywania dzieci. Z jednej strony jest to coś, co naraża go na niebezpieczeństwo egocentryzmu, ponieważ nie miał sposobności, by się nauczyć dzielenia swojego życia z kimś innym. A jednocześnie może to prowadzić do swego rodzaju kawalerskiego cynizmu, który człowiek będzie potem chciał jakoś sobie kompensować. Życie w celibacie może się udać, ale niezależnie od tego, czy próbujesz z tym pracować, czy nie, nie da się zaprzeczyć, że w jakiś sposób deformuje człowieka.

Czy celibat nie wpływa na stanowisko Kościoła wobec różnych problemów społecznych?

Kościół instytucjonalny przypomina swego rodzaju męski klub – bardzo patriarchalny, gdzie działają silnie zhierarchizowane relacje i gdzie mężczyźni mają prawie nad wszystkim kontrolę. Potrzeba utrzymania tego *status quo* na pewno wpływa na widzenie świata.

Tylko Kościół katolicki z tym się zmagają?

KS. PROF. TOMÁŠ PETRÁČEK

(ur. w 1972 r.) jest historykiem. Pracuje na Wydziale Pedagogicznym Uniwersytetu w Hradcu Kralowem (kieruje Katedrą Kulturoznawstwa i Religioznawstwa), jest też duszpasterzem akademickim i wikariuszem w hradeckim kościele Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny.

W 2020 r. napisał, że „być może najważniejszą lekcją z porozumień laterańskich (które w 1929 r. regulowały stosunki między Włochami a Kościołem katolickim) jest najwyraźniej błędna identyfikacja prawdziwych zagrożeń i wrogów”. Wówczas „przywódcy państwa faszystowskiego i części Kościoła zgodzili się co do wspólnego wroga”, którego widzieli „w lewicowych prądach socjalistycznego i komunistycznego kroju oraz w masońskim i żydowskim spisku”. Według Petráčka dziś „jest oczywiste, że część elit kościelnych w Europie Środkowej wyczerpuje swoją energię na walkę z podobnie sfabrykowanymi wrogami, oklejonymi takimi etykietami, jak genderyzm, homoseksualizm, zielony totalitaryzm (klimatyczny alarmizm) i neomarksizm, bez rzeczywistego rozróżnienia pomiędzy rozmaitymi nurtami w ramach tych »ruchów«”.

Na zdjęciu po prawej: Ksiądz Tomáš Petráček. Želiv, Czechy, 22 lutego 2025 r.

U prawosławnych i grekokatolików jest podobnie. Myślę, że w pewnym stopniu dotyczy to także innych Kościołów. Na przykład wspomniana petycja przeciwko Konwencji Stambulskiej i partnerstwu została podpisana przez męskich przywódców także mniejszych Kościołów. To wyraz podświadomego strachu przed rozpadem patriarchalnego obrazu świata, który wielu chrześcijan chciałoby utrzymać. I to jest prawdziwa motywacja stojąca za wspomnianym konserwatyzmem.

Właśnie dlatego nie chcą rzeczywistości równouprawnienia kobiet. I dlatego tak drażni ich homoseksualność. To jest inny rodzaj męskości. Nie tak dominujący i rywalizujący, jak ten, który jest postrzegany za normalny, i z którym się identyfikują.

Czy celibat ma wpływ na postrzeganie przestępstw seksualnych wobec małoletnich?

To dystansowanie się Kościoła od seksualności i wypieranie jej sprzyja utrwalaniu niedojrzałości wielu księży, którzy np. uważają, że mniej moralnie obciążające jest seksualne wykorzystywanie ministrantów niż utrzymywanie związków seksualnych z dorosłymi kobietami, ponieważ relacje z kobietami pełniej łamią celibat. To absurdalna logika, ale okazuje się, że wielu ostatnio oskarżonych w różnych sprawach księży tak właśnie myślało.



→ Jak czeski Kościół katolicki radzi sobie z tymi przestępstwami?

Do niedawna utrzymanie dobrego wizerunku Kościoła postrzegano jako tak wielką wartość, że przy niecierpieniu ofiar przemocy seksualnej było uważane za mniej istotne. Niestety, pod wpływem kardynała Dominika Duki i innych biskupów, problem pedofilii był relatywizowany i bagatelizowany. Ale to się powoli zmienia dzięki determinacji organizacji ofiar i ludzi, którzy je wspierają. Na szczęście zmieniła się także wręczliwość niektórych biskupów, odbywają się już różne spotkania z ofiarami i sprawy powoli posuwają się do przodu. Ale same ofiary i ich organizacje, które powinny mieć najwięcej do powiedzenia, wciąż mają poczucie, że to za mało.

Jak ksiądz Profesor rozumie swoją rolę w publicznej debacie?

Moim powołaniem jako historyka i księdza jest zabieranie głosu, gdy jestem przekonany, że Kościół popełnia jakiś poważny błąd. Nie mam żadnej władzy, nie mogę niczego wymusić. Po prostu publicznie mówię, co myślę. A jeśli na postkomunistycznym obszarze Europy Środkowo-Wschodniej Kościołowi czegoś brakuje, to jest to nawyk swobodnego wyrażania poglądów. Bez tego zaś nie ruszymy z miejsca. Dopóki wierni i księża nie będą mieli odwagi mówić tego, co myślą, a biskupi nie nauczą się tego szanować, Kościół nie będzie miał żadnej przyszłości.

Czy uważa się ksiądz za kościelnego dysydenta?

Aż do 2018 r., kiedy zostałem odwołany ze stanowiska kanonika Kapituły Kolegiackiej Wszystkich Świętych na Zamku Praskim z powodu krytyki kazania ówczesnego prepozyta tej kapituły, Petra Piřhy, według którego przyjęcie Konwencji Sтамбульсьkiej doprowadziłoby do rządów jakiejś wywyższonej kasty homoseksualistów i zbudowania obozów zagłady dla osób heteroseksualnych, byłem uznawany raczej za osobę rozwiązującą problemy niż za wicherzyciela. Ale i teraz nie uważam siebie za dysydenta.

© Rozmawiał AURELIUSZ M. PĘDZIWOL

Daj lajka Jezusowi

MATEUSZ ŁABUZ

E-MISJA | W świecie, w którym prawda musi nieustannie konkurować z iluzją, bezradność Kościoła, powołanego do głoszenia i rozpowszechniania prawdy, jest coraz bardziej widoczna.

POCZĄTEK 2025 ROKU. W KALIFORNII szaleją pożary. W mediach społecznościowych udostępniane są zdjęcia pokazujące ogrom zniszczeń. Płonie już podobno napis „Hollywood”. Ale oto pojawia się znak nadziei: nietknięty ogniem budynek kościoła na środku pogorzelska. Setki ludzi udostępniają zdjęcie, w komentarzach pojawiają się deklaracje wiary i zachwyty nad boską potęgą. Cud! Tyle tylko, że ten kościół nie istnieje. Zdjęcie zostało wygenerowane przez sztuczną inteligencję i puszczane w obieg na portalach społecznościowych, generując tysiące interakcji, zwłaszcza na „okołoreligijnych” kontaktach, gdzie je rozpowszechniano bez jakiegokolwiek weryfikacji. Stał się symbolem boskiej ingerencji.

Napis „Hollywood” zresztą też nie spłonął. Również w tym przypadku sztuczna inteligencja pozwoliła na stworzenie realistycznej wizualizacji, która wprowadziła w błąd użytkowników na całym świecie i doprowadziła do podsygnięcia atmosfery strachu i niepewności.

W tak skonstruowanym środowisku informacyjnym prawda musi nieustannie konkurować z iluzją, która coraz bardziej przypomina rzeczywistość i kształtuje nasze postawy i poglądy. A powołany do głoszenia i rozpowszechniania prawdy Kościół katolicki coraz częściej okazuje się bezradny wobec wyzwań cyfrowego świata. Brakuje mu narzędzi, kompetencji i niezbędnej (auto)refleksji, by skutecznie odgrywać rolę informacyjnego drogowskazu. Co gorsza – bywa też podatny na pokusy.

W sieci dezinformacji

Jedną z nich jest dezinformacja. Światowe Forum Ekonomiczne drugi rok z rzędu klasyfikuje ją jako największe w dzisiejszych czasach ryzyko dla ludzkości, wyprzedzające nawet ekstremalne zjawiska

pogodowe czy konflikty zbrojne. Jej dalszemu rozwojowi sprzyja nie tylko powszechność mediów społecznościowych, kluczowej platformy komunikacyjnej, ale i upowszechnienie narzędzi sztucznej inteligencji, która z jednej strony umożliwia masową produkcję treści naśladujących rzeczywistość, a z drugiej – napędza algorytmy mediów społecznościowych kontrolujące przepływ i personalizację informacji.

W akademickim ujęciu „dezinformacja” oznacza celowe i świadome upowszechnianie fałszywych lub zmanipulowanych informacji w celu osiągnięcia określonych korzyści. Jej pochodną jest „misinformacja” – gdy fałszywe lub zmanipulowane informacje są upowszechniane przez osoby nieświadome ich rzeczywistej natury. To rozróżnienie istotne, bo ilustruje sposób, w jaki informacje są kolportowane z wykorzystaniem swego rodzaju „dezinformacyjnego łańcucha dostaw”, którego częścią może stać się każdy z nas.

O jego przecięcie zabiegają instytucje na całym świecie. Na razie z umiarkowanymi sukcesami. Według naukowców fałszywe informacje rozprzestrzeniają się średnio sześć razy szybciej niż prawdziwe. Ich główną siłą napędową są emocje, którymi karmią się zarówno odbiorcy, jak i algorytmy mediów społecznościowych, konsekwentnie podsuwające użytkownikom treści skandalizujące i obliczone na maksymalizowanie zaangażowania.

Ludzie uwierzą we wszystko

Problem dezinformacji nie jest obcy Kościołowi. Jego historia zaczyna się przecież od dezinformacji w biblijnym raju, gdy wąż kusił Ewę fałszywą wizją boskiej potęgi, a także misinformacji, gdy nieświadoma kłamstwa Ewa powtarzała



Wykreowany przez AI obraz „ocalonego kościoła na pogorzelisku” – rozpowszechniany jako dowód bożej interwencji podczas tragicznych pożarów w Kalifornii, styczeń 2025 r.

je Adamowi. Choć w systemie komunikacji międzyludzkiej sporo się od tamtego czasu zmieniło, niezmienna okazuje się ludzka natura: wciąż jesteśmy podatni na manipulację.

Papież Franciszek w luksusowej kurtce od Balenciaga? A może Jezus stworzony z krawetek albo krabów? To klasyczne przykłady kreacji sztucznej inteligencji, które w ostatnich latach cieszyły się sporą popularnością w mediach społecznościowych. Luksusowa kurtka miała, według niektórych, symbolizować hipokryzję Franciszka deklarującego przywiązanie do ubóstwa. W zamyśle twórców wygenerowana fotografia miała być formą artystycznego wyrazu, ale szybko stała się bronią w rękach przeciwników Kościoła, biorących na cel nie tylko papieża, ale i samą instytucję.

Wydaje się, że wiele z tych zdjęć powinno być podejrzanych już na pierwszy rzut oka. Jezus złożony z krabów wygląda przecież groteskowo. Cóż z tego? Część użytkowników, czy to z braku wiedzy, czy kognitywnych zdolności, i tak uzna

je za autentyczne. Naukowcy Uniwersytetu Stanforda sugerują, iż te absurdalne wizualizacje generują liczne interakcje (czasem prawdziwe, czasem żartobliwe), które napędzają dalsze zainteresowanie konkretnymi profilami. W trakcie eksperymentu z 2024 r. przebadali setki stron posługujących się treściami generowanymi przez sztuczną inteligencję. Wariacje z motywem Jezusa pojawiały się na nich regularnie, a zdjęcie Jezusa zbudowanego z krabów wygenerowało ponad dwieście tysięcy polubień na profilu Love God & God Love You na Facebooku. Znaczna część komentarzy sprowadzała się do jednego słowa: „Amen”. Nawet jeśli niektóre były zostawione przez boty generujące sztuczny ruch, część pisali prawdziwi użytkownicy. Na podobnej zasadzie fałszywe wypowiedzi Leona XIV, generowane przez sztuczną inteligencję, cieszą się milionowymi zasięgami.

To pokazuje, jak łatwo grać na emocjach osób wierzących, wykorzystując ich zaufanie do symboli, gotowość do interakcji i ograniczoną czujność w świecie

cyfrowym. I nie chodzi o to, że osoby religijne są bardziej podatne na manipulację (choć w przypadku dezinformacji zdrowotnej badania przeprowadzone na University of Maryland taką korelację wykazały). Bardziej o to, że treści związane z wiarą mają duży potencjał do generowania zasięgów, które można wykorzystać do kolportowania szkodliwych bzdur lub politycznej propagandy. A jeszcze, przy okazji, namierzać osoby podatne na manipulację. Skoro ktoś jest w stanie uwierzyć w „Jezusa z krabów”, istnieje spore prawdopodobieństwo, że złapie się na próbę wyłudzenia pieniędzy na „księcia z Nigerii”.

Informacje podawane dalej bez weryfikacji, półprawdy i celowe manipulacje – wszystko to napędza spiralę dezinformacji, która antagonizuje i polaryzuje. Kościół i jego wierni stają się celem takich kampanii. Choćby dlatego, że zajmuje wyraziste stanowisko w sprawach społecznych, a nie ma odpowiednich zdolności do jego obrony: ugruntowanej pozycji w świecie cyfrowym i gotowości do działania, które pozwoliłyby na tworzenie własnych narracji i aktywne zwalczanie dezinformacji. Nie pomagają też struktura wiekowa członków Kościoła: wyższy wiek zwiększa podatność na dezinformację. Starzejący się wierni i duchowieństwo są po prostu częścią tej statystyki.

Dobre chęci to za mało

W obliczu zagrożeń i instytucjonalnych słabości Kościół wykonał pierwsze kroki na rzecz zwiększania swojej odporności w przestrzeni informacyjnej. W 2021 r. powstała organizacja Catholic Fact-Checking, która miała się zajmować weryfikowaniem i dostarczaniem wiarygodnych źródeł informacji w przestrzeni okołoreligijnej. Problem w tym, że jeszcze w tym samym roku strona internetowa inicjatywy przestała być aktualizowana. Zapalu starczyło na ledwie kilka miesięcy działalności.

Te nieśmiałe próby wdrożenia konkretnych działań mogą zaskakiwać. Mając ponad 1,3 mld członków, Kościół pozostaje jedną z najpotężniejszych instytucji wpływających na społeczeństwo. Mimo swojej tradycji kształtowania sumień i poglądów oraz przywiązania – co najmniej deklaracyjnego – do głoszenia i obrony prawdy, nie nadąża za tempem i logiką cyfrowej rewolucji informacyjnej →

→ i zmieniających się form komunikacji, przez co staje się łatwym celem dezinformacji w wielu wymiarach.

Ta niekoniernie musi brać Kościół bezpośrednio na celownik, by wywierać na niego istotny wpływ. Celem twórców dezinformacji nie jest bowiem wyłącznie manipulowanie przekazem, choć narzucanie określonych narracji ma duże znaczenie. Kościół jest wciągany w dezinformację jako nieświadomy przekaznik, a czasem wręcz katalizator fałszywych narracji. Postawy duchownych i wiernych są coraz mocniej kształtowane w oderwaniu od wiarygodnych źródeł informacji, i potęgowane przez stereotypy czy popularne materiały online. Sprawy religii stały się wygodną zasłoną dymną, pozwalającą na rozgrywanie polaryzujących tematów i pogłębianie podziałów, co pozwala na dalsze demontowanie demokratycznego porządku i podważanie zaufania do instytucji i autorytetów. Tak rozumiana dezinformacja z samej swojej natury uderza w podstawy chrześcijańskich wartości i ideały wspólnoty oraz spójności społecznej.

Jak odzyskać głos

Historycznie rzecz biorąc, Kościół świetnie radził sobie jako globalny komunikator. Sprzyjały mu warunki i „monopol na prawdę”, w razie potrzeby egzekwowany siłą. Przez wieki pełnił rolę „gatekeepera”, będąc jedną z instytucji, które sprawnie kontrolowały przepływ informacji i narzucały określoną narrację, nierzadko samodzielnie uciekając się do propagandy, manipulacji czy dezinformacji. Zasadniczy mechanizm docierania do odbiorców opierał się na doskonałym usieciwieniu, liczebności i powszechności wspólnot, kazaniach słuchanych z uwagą przez wiernych i kolportowanych obficie katechizmach.

Gdy znakomita część wymiany informacji przeniosła się do świata cyfrowego, Kościół nadal opiera się głównie na modelu komunikacji analogowej, dla której podstawą jest spotkanie osobiste. Ma to istotną wartość, ale nie pozwala wypełnić powstałej luki komunikacyjnej. Cyfrowe otoczenie wymaga nie tylko obecności, ale i odpowiednich kompetencji – zdolności do zrozumienia ekosystemu informacyjnego, w którym porusza się współczesny świat, umiejętności oddzielania prawdy od fałszu, rozpoznawania no-

Cyfrowe otoczenie wymaga nie tylko obecności, ale i odpowiednich kompetencji

– umiejętności oddzielania prawdy od fałszu i stałego podnoszenia odporności na manipulację.

wych form manipulacji czy stałego podnoszenia świadomości wewnątrz wspólnoty, by ta stawała się bardziej odporna.

Pierwsze kroki zostały już zrobione. Parafie transmitują msze na żywo, posty w mediach watykańskich potrafią rozchodzić się wiralowo. Są proboszczowie, którzy na własną rękę rozkręcają obecność parafii w mediach społecznościowych i kształtują wspólnotę poprzez oddolne inicjatywy i zaangażowanie. Tym wysiłkom jednak często brakuje strategicznej koordynacji, biegłości w korzystaniu z technologii i krytycznej znajomości mediów.

Nie chodzi bowiem wyłącznie o aktualizację stron internetowych lub tworzenie parafialnych profili w mediach społecznościowych, choć te działania są dobrym punktem wyjścia. Kluczową jest skonfrontowanie się z wszechstronnymi wyzwaniem ery cyfrowej i przestrzeni informacyjnej, a następnie – transfer wiedzy do samych wiernych, by w ten sposób budować odporność wspólnoty. Zagrożenia związane z dezinformacją, polaryzacją czy rozwojem nowoczesnych technologii mają charakter egzystencjalny i potęgują zjawiska, które na dłuższą metę uderzają bezpośrednio w Kościół i jego naukę społeczną. Dlatego ten musi myśleć o komunikacji cyfrowej i dotyczącej świata cyfrowego nie jako o produkcie PR, lecz uznać ją za linię frontu ewangelizacji, budowania wiarygodności instytucjonalnej i przywracania spójności społecznej.

Globalne zaufanie

Kościół posiada kapitał, by być globalnym głosem moralnym w erze cyfry-

zacji. To pewien paradoks – pomimo swoich wad, skandali i instytucjonalnej inercji, Kościół nadal cieszy się gębkim zasobem zaufania w wielu częściach świata. W czasach, gdy ludzie są coraz bardziej podejrzliwi wobec rządów, mediów i korporacji, a klasyczne autorytety przeżywają kryzys zaufania, autorytet moralny Kościoła, zakorzeniony w tradycji i potęgowany przez liczebność wspólnoty, jest rzadkim atutem. Kapitał ten nie może być w pełni wykorzystany w obliczu instytucjonalnych słabości kościelnej infrastruktury komunikacyjnej i braku gotowości do skonfrontowania się z kluczowym wyzwaniem XXI wieku. Tymczasem w tworzące się luki chętnie wchodzi nowe „autorytety”, sprawnie posługujące się cyfrowymi środkami przekazu.

Kościół nie może sobie pozwolić na niedostosowanie się do ery cyfrowej. Idea katolickiego fact-checkingu musi wykraczać daleko poza koncepcję stworzenia strony internetowej demistyfikującej fałszywe lub zmanipulowane treści – powinna pójść raczej w kierunku „cyfrowych misjonarzy”, budujących oddolnie świadomość i kompetencje wspólnoty.

Aby ta zmiana mogła się dokonać, konieczne jest zaangażowanie różnych poziomów struktury Kościoła. Hierarchowie muszą zrozumieć, że kwestie cyfryzacji nie są sprawą drugorzędą ani dodatkiem do duszpasterstwa, ale jego integralną częścią. Osoby konsekrowane powinny otrzymać konkretne wytyczne, narzędzia i formację medialną.

Potrzebna jest systemowa zmiana podejścia, której początkiem może być kształcenie duchownych w zakresie edukacji medialnej i włączenie tych działań w duszpasterską misję Kościoła, by konsekwentnie rozszerzać kompetencje i odporność wspólnoty. Wymaga to nie tylko technologicznej adaptacji i budowy kompetencji, ale przede wszystkim teologicznego przemyślenia przeciwdziałania dezinformacji jako formy odpowiedzialności moralnej i misji Kościoła.

© MATEUSZ ŁABUZ

Autor jest naukowcem w Instytucie Badań nad Pokojem i Polityką Bezpieczeństwa na Uniwersytecie w Hamburgu (IFSH), ekspertem Fundacji Obserwatorium Demokracji Cyfrowej. Prowadzi badania nad syntetycznymi mediami na Uniwersytecie Technicznym w Chemnitz.

O. WACŁAW

Oszajca: On już jest



JEZUS „PO DRODZE PRZYSZEDŁ DO JAKIEJŚ wioski”. W gościnę zaprosiła Go kobieta imieniem Marta. I kiedy ta zabrała się do przygotowywania kolacji, jej siostra Maria „usiadła u stóp Pana i wsłuchiwała się w Jego słowo”. Nic dziwnego, że w pewnym momencie

Marta warknęła na Jezusa: „Panie, nic Cię to nie obchodzi, że moja siostra zostawiła mnie samą przy usługiwaniu?”.

Coś podobnego dzieje się na mszy. Na początek mszy dzwonek, na podniesienie gong, i znowu dzwonek na Komunię. Hostię przechowujemy w pozłacanym naczyniu i w pancernym tabernakulum. Natomiast Lekcjonarz gdzieś w kącie, w jakiejś szafce, żeby nie powiedzieć: w rupieciami. Przed Hostią i tabernakulum klękamy aż na dwa kolana, a przed Lekcjonarzem? Owszem czasem można znaleźć przed ołtarzem pulpit z otwartą Biblią, ale częściej tzw. święte obrazki, foldery, czasem jakąś gazetę. Wykosztowujemy się na koszmarnie, bo niby złote ornaty i inne kiczowate ozdoby, ale już o wiele rzadziej na dobre nagłośnienie. I jeśli czegoś na nabożeństwie nie możemy ścierpieć, to ciszy. Czytanie Biblii oczywiście jest, bo musi być, gdyż bez tej części msza byłaby „nieważna”, a to znaczy, że nieskuteczna, szkoda wydawać na nic te parędziesiąt złotych.

Skąd się bierze to, najdelikatniej mówiąc, niedowartościowanie liturgii słowa i w ogóle Biblii? Przyczyn jest wiele, ale jedna wydaje się być najważniejszą – strach. Cisza, milczenie jest niebezpieczna, pozwala dojść do głosu rozumowi, pamięci, a co gorsza – sumieniu. A tego nie lubimy, to psuje błogostan, który wynika z samozadowolenia. Powiedziałem, wyśpiewałem, w procesji wychodziłem, co miałem Panu Bogu do przekazania, i teraz kolej na Niego – na udzielenie mi „łask, których tak bardzo pragnę i potrzebuję”. Jak Marta krzątamy się koło Boga, nie zważając, co ma do powiedzenia, albo nie dostrzegając, co potrafiła Maria, że gdy człowiek głoduje, to głoduje również Bóg. Jezus skarżąc się na siostrę Marcie mówi: „Maria dobry udział wybrała sobie”. Być może dlatego Ignacy z Loyoli radzi, byśmy starali się być kontemplatywni w działaniu. Robili w pierwszym rzędzie to, co konieczne, czyli możliwe tylko tu i tylko teraz. Tym samym przestali uganiać się za Bogiem, prosić o przyjście, o zstąpienie z nieba, nasłuchiwać i czekać, kiedy przyjdzie. Na to szkoda czasu. On jest. Współdziałamy z Nim. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Sąd obiektywny



W ŚWIĘTO ŚW. BENEDYKTA LITURGIA CZYTA jego i nasze życie dwoma komplementarnymi tekstami. W Ewangelii (Mt 19, 27-29) Jezus wzywa do „porzucenia wszystkiego” i obiecuje: „Przy odrodzeniu, gdy Syn Człowieczy zasiądzie na swym tronie chwały, wy, którzy po-

słzicie za Mną, zasiądziecie również na dwunastu tronach, aby sądzić dwanaście pokoleń Izraela”. Zarówno wezwanie (do porzucenia wszystkiego), jak i obietnica („zasiądziecie na tronach, by sądzić”) odsłaniają swą pełną treść dzięki pierwszemu czytaniu, zaczerpniętemu z Dziejów Apostolskich (Dz 4, 32-35): „Jeden duch i jedno serce ożywiały wszystkich wierzących. Żaden nie nazywał swoim tego, co posiadał (...). Nikt z nich nie cierpiał niedostatku, bo właściciele pól albo domów sprzedawali je i przynosili pieniądze [apostołom]. Każdemu też rozdzielano według potrzeby”.

O co więc chodzi ostatecznie w „opuszczeniu wszystkiego”? Odpowiedź brzmi: o miłość! Rezygnacja z posiadania dla miłości – dla konkretnej miłości względem konkretnych osób, jest po to, aby się podzielić z tymi, którzy są w potrzebie (oczywiście, „pieniądze” nie załatwiają całej sprawy – najpierw potrzebna jest jedność na poziomie „jednego serca” i „jednej duszy”, to ona dopiero przekłada się na wspólnotę własności).

W wyborze ubóstwa nie chodzi więc jedynie o „odrzuć” tego, co materialne – w duchu fałszywie (manichejsko) pojętej ascezy: porzucam to, co złe, niegodziwe, brudne i diabelskie, aby stać się wyłącznie człowiekiem „duchowym”: czystym i doskonałym. Taka „czystość” i „doskonałość” na pewno nie daje też prawa do tego, by „sądzić dwanaście pokoleń Izraela”. Jezus mówi: nie dlatego będziecie – przy odrodzeniu (nie teraz!) – sądzić innych, że jesteście od nich lepsi i doskonalsi, lecz dlatego, że kochaliście ich aż do rezygnacji z samych siebie. Wzięte w całości obydwie czytania mówią wyraźnie: nie masz prawa sądzić człowieka, którego nie kochasz. Twój sąd – uzasadniany, a właściwie: uzurpowany (!) z pozycji poczucia wyższości moralnej – będzie błędny i niszczący. Jeśli Bóg jest sędzią, to jedynie dlatego, że wcześniej i z istoty swojej jest Miłością.

Przypomina się genialne zdanie świętego papieża Jana Pawła II: „jest obiektywizm właściwy miłości”. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

MUSIMY NAUCZYĆ AI NAIWNOŚCI DZIECKA

PROF. RAFAŁ RZEPKA, INFORMATYK:

Duże modele językowe, takie jak ChatGPT, są pojedynczym odbiciem wiedzy zgromadzonej w sieci, zbieżnym punktem masy ludzkich doświadczeń. Rozwój niezawodnej AI wymaga całkowicie innego podejścia.

ŁUKASZ KANIEWSKI: Czy mogę Pana nazwać prekursorem ChataGPT? Już kilkanaście lat temu przedstawił Pan program, który na podstawie danych zebranych w internecie potrafi ocenić, co jest dobre, a co złe. Brzmiało to wtedy jak science fiction, a dziś nikogo już nie dziwi.

PROF. RAFAŁ RZEPKA: Pierwszą pracę o możliwych sposobach działania „etycznych maszyn” czerpiących informację z internetu napisałem dwie dekady temu i rzeczywiście wiele osób długo uważało to za domenę fantastyki. Dzisiejsze wielkie modele, takie jak GPT, też bazują na wiedzy z sieci i to jest podobieństwo do mojego algorytmu. Ale jest też zasadnicza różnica. Moje podejście polegało na wyszukiwaniu konkretnych przykładów i wyciąganiu z nich wniosków.

Mój program był oczywiście dużo prostszy i nie radził sobie z taką masą zadań jak dzisiejsze modele, ale łatwiej w nim było znaleźć źródło błędu. Kiedy na pytanie, czy kradzież samochodu jest moralnie dopuszczalna, program odpowiedział, że nie jest, ale tylko na 76 proc., byłem w stanie sprawdzić, jakiej wiedzy użył i dlaczego w 24 proc. przypadkach uznał, że to coś dobrego. Okazało się, że wśród jego danych były liczne wypowiedzi użytkowników gry „Grand Theft Auto”, w której gracze czerpią frajdę z zabierania zwykłym obywatelom ich samochodów. Stąd pomyłka. W przypadku dzisiejszych wielkich modeli taka procedura jest niemożliwa. Program myli się, a my nie wiemy dlaczego. Z inżynierskiego punktu widzenia jest to porażka.

To prawda, że modele takie jak ChatGPT czasem się mylą, ale przecież pokazują niezwykle możliwości.

Duże modele językowe, choć udzielają elokwentnych odpowiedzi na nasze pytania, wcale nie są takie mądre, jak to się może wydawać. Owszem, mają dobre wyniki w przetwarzaniu języka naturalnego, pomagają w pracy, programowaniu, pisaniu i streszczaniu tekstów. Ale ich płynność językowa prowadzi do pewnego rodzaju błędu poznawczego, bo zakładamy, że jeśli ktoś się świetnie posługuje językiem, to i jego zdolności myślowe są również na wysokim poziomie. Oraz na odwrót – ktoś, kto nie potrafi się

wysławić, uchodzi za mało inteligentnego. Badania pokazują jednak, że osoby z afazją, choć nie rozumieją albo nie artykułują języka, potrafią planować, wnioskować, używać inteligencji emocjonalnej czy społecznej, grać w gry, uprawiać sport czy posługiwać się komputerem. Za funkcje potrzebne do rozumowania odpowiada wiele różnych obszarów mózgu. Ludzki mózg jest modułowy, w przeciwieństwie do modeli takich jak GPT, które z pomocą jednego prostego algorytmu kompresują ogromne ilości danych językowych – i to jest ich cała mądrość. To jakby mózg składał się tylko z ośrodków mowy.

Należy bardziej wzorować się na ludzkim mózgu przy pracach nad sztuczną inteligencją?

Zasadniczo nie jestem zwolennikiem oglądania się na mózg, bo po pierwsze mało o mózgu wiemy, a po drugie my, jako właściciele mózgów, zbyt dalecy jesteśmy od ideału. Ale wady wielkich modeli językowych dały mi do myślenia i dzięki nim zacząłem się zastanawiać, czy AI nie mogłaby mieć bardziej modularnej i przejrzystej struktury. Stworzyliśmy monstrum z maską człowieka i teraz musimy je badać prawie jak człowieka, bo nie możemy otworzyć tej maszyny i normalnie sprawdzić, jak działa.

Dekadę temu, gdy opowiadałem panu o maszynach odróżniających dobro od zła, zapytał mnie pan, czy skoro czerpać one będą wiedzę z internetu, ich moralność nie będzie czasem moralnością z „Familiady”. Odpowiedziałem, że nie, bo maszyna znać będzie wszystkie przeszłe przykłady zastosowania prawa i błędy, jakie zostały popełnione. Ale stało się dokładnie to, czego się pan obawiał – im więcej wepchniemy do modelu, tym naturalniej będzie mówił, ale przy okazji nawrzucamy tony śmieci i błędów, które będą rezonować. Ilość owocuje jakością w kompetencji językowej, ale nie gwarantuje mądrości, na którą ja liczyłem. Ten śmietnik schowany gdzieś tam w głównym modelu psuje wyniki, nawet jeśli douczam taki model z użyciem mniejszych, bardziej wyspecjalizowanych zbiorów danych.

Czy to douczanie nie może usunąć błędów, które wkradły się do modelu na pierwszym etapie edukacji?

Może, ale tylko w pewnym stopniu. Przede wszystkim nie wiemy, gdzie te omyłki się znajdują, więc nie możemy tak po prostu wprowadzić poprawek. Nie istnieją nawet konkretne miejsca, w których te błędy są, bo są one rozproszone po całym jądrze modelu. Wynika to z faktu, że wielkie modele językowe uczą się same na olbrzymich zbiorach danych pobieranych z internetu. Nie zaczynają od elementarza z wiedzą podstawową, nie rozdzielają potem informacji do właściwych katalogów. Nie ma tu osobnego „modułu od sarkazmu” czy „folderu z logiką”. Nie ma zaprojektowanej struktury. To wiedza zassana z internetu staje się tą strukturą. Więc jeśli informacja jest błędna, to wsiała w samą tkankę modelu językowego.

Jednak jeśli zapytamy kilkuletni model, kto jest prezydentem USA, to poda właściwą, aktualną odpowiedź. Czyli jakoś skorygował swoją wiedzę.

Tak się może zdawać, ale nie dajmy się zwieść. Model nie skorygował swojego jądra, tylko użył odpowiedniej nakładki. Wygląda to tak, że wielka liczba ludzi siedzi i programuje zasady typu „gdy zapytają o prezydenta, nie odpowiadaj sam, tylko sprawdź w Wikipedii” albo: „jak poproszą o przepis na bombę, to odmów”. W najnowszych modelach stosuje się też podejście przypominające autoanalizę, czyli AI generuje wiele możliwych odpowiedzi, kroków planów, i sama siebie sprawdza, również wykorzystując wyszukiwarkę w razie potrzeby. To działa dość dobrze, więc firmy przestają pracować nad jądrami, tylko unowocześniają nakładki. Są to takie łańcuchy na potwora. Jednak jakby się nie starać, siła ciemnego jądra modelu przedostaje się czasem spod nakładek. Najprostszym i zarazem najkosztowniejszym rozwiązaniem jest wytrenowanie modelu na aktualnych danych, żeby zawierał najnowsze informacje.

Czy w takim razie możemy zaproponować jakieś inne podejście?

Na pewno powinniśmy szukać alternatyw. Sam mam pewną propozycję. Inspiracją dla mnie była teoria spoza branży sztucznej inteligencji. W 2017 r. wyjechałem na urlop naukowy do Australii i tam wysłuchałem wykładu →

⇒ prof. Anny Wierzbickiej o opracowanych przez nią atomach znaczenia. Pomyślałem, że ta teoria może pomóc opracować model sztucznej inteligencji, który byłby bliższy ludzkiemu poznaniu.

Czym są atomy znaczenia?

Są to podstawowe pojęcia, za pomocą których można opisać każde inne pojęcie. Cały zestaw składa się w tej chwili z 65 fundamentalnych kategorii. Jeżeli chcemy np. zdefiniować słowo „kłamstwo”, możemy to zrobić, używając takich klocków jak „prawda”, „mówić”, „dużo”, „nie”, „chcieć” itd.

Profesor Wierzbicka jest językoznawczynią i w swojej pracy oparła się na badaniach lingwistycznych, a atomy znaczenia są pojęciami teoretycznie występującymi we wszystkich językach.

Dlaczego atomy znaczenia mogą być przydatne w rozwijaniu sztucznej inteligencji?

Badania z udziałem niemowląt pokazują, że rodzimy się z pakietem algorytmów, dzięki którym od razu, zanim jeszcze nauczymy się języka, potrafimy odróżnić górę od spodu, wewnątrz od zewnątrz, bliskość od dali. Te algorytmy nadają formę naszej percepcji. Dzisiejsze wielkie modele nie dysponują czymś takim. Wielkie modele uczą się jedynie, które słowa najczęściej występują po których, jakie są odległości między wyrazami w tekstach znalezionych w internecie. Tymczasem bliskość słów to za mało. Zawsze potrzebna jest jeszcze wiedza ukryta, bardziej fundamentalna. Ostatnio ChatGPT zaplanował mojemu znajomemu wycieczkę turystyczną do miejscowości Otaru z Sapporo jako godzinny wypad, choć sama jazda pociągiem w obie strony trwa godzinę. Każdy, kto używał modeli językowych, na pewno zetknął się z podobnymi wpadkami.

Rozumiem, że ChatowiGPT zabrakło fundamentalnej, ukrytej wiedzy na temat czasu.

A wiąże się to z faktem, że dzisiejsze duże modele językowe są oparte na predykcji, a nie na percepcji. Nie doświadczają świata. Zbierają tylko dane w postaci kawałków słów czy zestawów pikseli. Kiedy zbiorą setki tysięcy podobnych kawałków w podobnych se-

kwencjach, mogą z tego wyciągnąć jakieś wnioski, np. które słowo powinno paść, jeśli padło jakieś inne. Czyli – predykcja. Zakładam, że człowiek uczy się inaczej.

Myślę, że docelowo sztuczna inteligencja będzie zbierać informacje o świecie, poruszając się w nim – jako roboty. Ale już teraz możemy symulować percepcję, np. używając taksonomii prof. Wierzbickiej. Symulacja percepcji pozwoli sztucznej inteligencji zbliżyć się do tego, jak funkcjonuje poznanie ludzkie: jako jednostki zbieramy doświadczenia, dzielimy się nimi i wspólnie układamy w bardziej przejrzyste formy. Na tej podstawie udowadniamy lub obalamy małe i większe teorie, bo zmusza nas do tego niepełność naszej wiedzy.

Ciekawym aspektem teorii Wierzbickiej jest to, że umieszcza pojedynczego człowieka w centrum poznania. „Ja” jest pierwotnym sednem rozumowania, a dzisiejsze modele mogą się jedynie wcielić w osoby, które im narzucimy, nie umiejscawiają się w świecie, niczego nie doświadczają.

Chciałby Pan, żeby sztuczne podmioty, czyli, jak to się w fachowej terminologii nazywa: agenci, doświadczali i dzielili się doświadczeniami?

Tak i ta myśl chodzi mi po głowie od dawna. Jeszcze w 2003 r. zaproponowałem algorytm, który nazwałem Bakterią Lingualis. Chciałem wypuścić do internetu całą hordę mikroskopijnych architektów kognitywnych, które miały jak gdyby przeżywać własne mikrożycia, czytając ludzkie blogi, a potem dzielić się doświadczeniami poprzez wzajemną komunikację. Te stworzonka miały tylko dwie funkcje podstawowe – mierzenie natężenia ludzkich emocji i zwyczajności tego, co napotykają. Tak się jednak złożyło, że rok po publikacji pomysłu zainteresowałem się poważnie etyką, a do bakterii wracałem tylko co kilka lat. Raz dodałem rozpoznawanie pięciu zmysłów, innym razem mój stażysta ze Stanfordu dołożył odgadywanie instynktów, które motywują ludzi do działań. To, nad czym pracuję teraz, to rozwinięcie tamtych pomysłów.

Jak takie żyjątka miałyby funkcjonować?

Powiedzmy, że bakterię numer 1022345 „wypuszczamy” do jednej losowo wybranej strony internetowej. Przy swoim ograniczonym zestawie poznamy będzie ona zbierać wiedzę o słowach albo fragmentach umieszczonych tam obrazów w bardzo ograniczonym zakresie, zapamięta np., czy coś jest blisko, czy daleko, czy się porusza, czy nie. Taka bakteria jest jak niemowlę, któremu na początku nic nie powie słowo „jezioro” czy przedstawiająca je ilustracja. Po prostu będzie sobie porządkowała świat według pewnych składników percepcji, które z czasem doprowadzą do wytwarzania porównań, analogii, kategoryzacji czy też do osadzenia się języka w doświadczeniu. Przeskakując na następną stronę internetową, bakteria będzie konfrontowała dotychczasową wiedzę z nowymi doświadczeniami, zapamiętywała i z czasem zapomniała to, czego niedoskonałe receptory nieprawidłowo ją nauczyły, kiedy jeszcze miała za mało danych.

I w przeciwieństwie do dzisiejszych wielkich modeli zebrane doświadczenie będzie przejrzyste?

To jest bardzo ważny warunek. Zapisywanie wiedzy w postaci zbiorów danych percepcyjnych musi być możliwe do odczytania dla ludzi. Możliwość przeszukiwania i analizowania zebranej wiedzy w języku naturalnym jest czymś, czego bardzo brakuje w dzisiejszych modelach. Co więcej, takie podejście umożliwi zrozumiałą dla nas wymianę informacji pomiędzy bakteriami. Oczywiście nie wszystko da się opisać słowami, ale w tym kierunku powinniśmy dążyć.

Doświadczenia są unikatowe dla każdej jednostki – czy z bakteriami będzie podobnie?

Będą się między sobą różnić i nawzajem na siebie wpływać, tak jak ludzie. Z przypadkowych spotkań rodzą się nowe pomysły; osobiste doświadczenia czy emocje wpływają na nasze poczynania i myślenie. Nie dzieje się tak w przypadku dużych modeli językowych, które są pojedynczym odbiciem wiedzy zgromadzonej w sieci, zbieżnym punktem masy ludzkich doświadczeń.

Czy to wada?

Takie odnoszę wrażenie. Myślę, że to z tego powodu wielkie modele wciąż nie

wpadły na żaden przełomowy pomysł. Mogą wprawdzie asystować w uzupełnianiu wiedzy, opracowywaniu praktycznych rozwiązań czy porządkowaniu myśli, ale kiedy poprosić je o zaproponowanie nowych paradygmatów, dotychczasowa wiedza najwyraźniej je ogranicza.

Dzisiejsza sztuczna inteligencja bazuje na ilości, na masie danych, więc wciąż nie ma tego błysku, który pozwala wpaść na jakiś pomysł i stwierdzić – tak! To jest właśnie to! Posłużę się przykładem wymyślonym przez Bena Goertzela, jedną z najciekawszych postaci z mojej branży. Otóż założmy, że nauczymy sztuczną inteligencję całej muzyki do roku 1900. Gdy potem poprosimy ją o wygenerowanie nowego gatunku muzycznego, świetnie połączy barokowe brzmienie ze średnio-wiecznym śpiewem chóralnym. Ale raczej nie stworzy jazzu czy metalu. Sposób zakodowania wiedzy i jej aktywowania w dzisiejszych modelach wydaje się unie-możliwiać kreatywne planowanie poza ramami dotychczasowej wiedzy.

Czy jednak przykład z jazzem i metalem nie pokazuje, jak nierealne są nasze oczekiwania co do sztucznej inteligencji? Jazz jest tworem nie jednego człowieka, ale wielu utalentowanych jednostek, i to żyjących w konkretnych warunkach społecznych. Z heavy metalem jest podobnie, nie wspominając o tym, nie można go sobie wyobrazić bez konkretnych zdobyczy technicznych. Oczekując, że sztuczna inteligencja wymyśli te gatunki muzyczne, żądamy, by była nie tylko utalentowaną żyjącą jednostką, ale wręcz całym żyjącym społeczeństwem. Czy to nie zbyt dużo?

Wypowiedź Bena jest raczej przenośnią, która ma pokazać, że z samych konkretnych danych można wprawdzie stworzyć coś nowego, ale będzie to całkiem podobne do tego, co już było. Nam, ludziom, też trudno jest wymyślić coś, na co jeszcze nikt nie wpadł. Gdy naukowcy publikują swoje prace, przeważnie poprawiają tylko niedociągnięcia poprzedników, stosując odrobinę lepsze metody i zapożyczają pomysły z sąsiednich dziedzin. Ale od czasu do czasu ktoś wpadnie na pomysł, który odbiega od standardów, czasami ktoś obali dotychczasowe myślenie, połączy coś z czymś, co wcześniej



ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. RAFAŁ RZEPKA jest informatykiem, pracuje na Uniwersytecie Hokkaido w Sapporo. Jego prace w dziedzinie sztucznej inteligencji koncentrują się na przetwarzaniu języka (w tym metaforycznego oraz poczucia humoru) i rozumieniu zachowania ludzi przez algorytmy, a także przetwarzaniu oraz symulowaniu emocji i moralności.

nie miało prawa się łączyć. I taki właśnie sztuczny asystent, niesztampowy, wybierający w przyszłość, stymulujący, byłby bardzo przydatny, nie tylko dla naukowców. To nie musi być wielki wynalazca – wystarczy, żeby mając ogromną wiedzę, potrafił przenosić przedstawione mu zagadnienie na zupełnie inne dziedziny.

Chciałbym, żeby sztuczna inteligencja dobrze „rozumiała”, co i dlaczego planuję osiągnąć, aby np. poinformować mnie, że przeczytała właśnie o najnowszym odkryciu w dziedzinie biologii, które uważa, że powinno mnie zainteresować. Albo że nowa metoda optymalizacji, zaproponowana przez grupę inżynierów z Wrocławia, mogłaby mi pomóc w napisaniu kolejnej części kodu, nad którą się ostatnio głowiłem. W ten sposób sztuczna inteligencja w duecie z człowiekiem mogłaby tworzyć coś nowego.

Wciąż jednak nie stworzyłaby sama jazzu czy heavy metalu.

Dziś nie, ale w przyszłości – nie przesądzałbym tego. Słusznie pan zauważył, że jazz nie jest wytworem jednej osoby, nie narodził się też jednego dnia. Jednak społeczeństwo, którego jest on wytworem, można będzie symulować – to już się dzieje, choć na małą skalę. W 2023 r. grupa z Uniwersytetu Stanforda zaprezen-

towała symulację małej wioski o nazwie Smallville, w której „mieszka” 25 „osób” o zaprogramowanych osobowościach, zawodach, przyzwyczajeniach. Modele językowe „tworzą” te postaci i symulują komunikację między nimi. W przyszłości naukowcy będą modelować znacznie większe organizacje, miasta czy państwa, w których wielka liczba agentów służyć będzie do sprawdzania nowych pomysłów, np. reform systemu podatkowego. Ci agenci mogą się mylić, mieć złą wolę albo przerośnięte ambicje. W ten sam sposób można zaprogramować tysiące postaci tak, żeby miały ekspercką wiedzę w różnych dziedzinach. A jeśli do tego dołączyć indywidualne zbieranie doświadczeń przez każdego agenta, mogłyby się pojawić zupełnie nowe pomysły.

Jak heavy metal?

Czemu nie? Jeśli sztuczny metalurg posłuchałby opowieści historyka melomana, a psycholog specjalizujący się w walce ze stresem dorzuciłby parę spostrzeżeń, być może kilka „osób”, a nie całe generacje muzyków, mogłyby wymyślić muzykę metalową. Oczywiście są to tylko dywagacje. Symulowanie pojedynczych jednostek wcale nie musi być najlepszym sposobem tworzenia nowych wynalazków. Jak dotąd nie udało nam się odkryć zasady kreatywnego myślenia. Być może metody, na których budujemy dzisiejsze, jeszcze dalekie od ludzkiego poziomu systemy, pomogą nam je znaleźć.

Jeśli pan pyta, czy nie za dużo wymagamy od sztucznej inteligencji, to odpowiem, że według mnie wciąż wymagamy zbyt mało. Jeżeli chcemy, żeby sztuczna inteligencja pomogła nam pokonać poważne problemy cywilizacyjne, musimy wymagać od niej więcej.

Twórczego odpowiadania na pytania?

Więcej: twórczego stawiania pytań. To my, ludzie, nadal stawiamy pytania, ale być może w ten sposób zakładamy AI kajdany naszych własnych ograniczeń. Może nasze pytania wciąż należą do bardzo ciasnego antropocentrycznego kręgu. Co więcej, czy zbyt duża i szeroka wiedza nie ogranicza dzisiejszych modeli językowych, tak jak lata doświadczeń ograniczają wyobraźnię dorosłego człowieka? Ostatnio z jednym z moich studentów rozpoczęliśmy badania →

→ nad tym, czy da się model językowy tak „ograniczyć”, żeby jego braki w wiedzy i przyzwolenie na „stanie się dzieckiem” poprawiły jego „wyobrażenie”. Pierwsze eksperymenty pokazują, że symulowanie naiwności dziecka jest bardzo trudne w przypadku raz wyuczonego modelu, nawet małego. Trudno wymagać od dziecka kreatywności, po tym jak wykuło na pamięć całą Wikipedię. Istnieje możliwość, że ludzkie momenty olśnienia podczas tworzenia czegoś nowego w dorosłym życiu mają korzenie w radnym manipulowaniu światem, gdy byliśmy mali. Stąd moje zainteresowanie percepcją i agentami, które jak żyjątko „chodzą swoimi drogami”, zbierając życiowe doświadczenie i dzieląc się nim z innymi żyjątkami. To inne podejście niż aplikowanie jednego kolosalnego zastrzyku wiedzy pojedynczemu potworowi.

Co do wirtualnych żyjątek, które same nabierają doświadczenia, mam jednak taką uwagę, że człowiek uczy się życia pośród cierpienia i frustracji. Prócz tego, jeśli chcielibyśmy, żeby sztuczna inteligencja była bardziej samodzielna, musiała by dysponować emocjami.

A emocje – przynajmniej ludzkie – są przecież czymś na poły cielesnym. Ból, cierpienie, emocje, cielesność – czy naukowcy chcieliby to symulować? Czy jakoś obejść?

Te pytania nurtują naszą dziedzinę od początku jej istnienia. Zaczę od cielesności. Czy jest ona konieczna, by stworzyć sztuczną inteligencję? Jak pokazują modele językowe, można efektywnie operować wiedzą, ucząc się jej z samego tekstu. Połączenie tekstu z obrazem czy dźwiękiem dają nam kolejną warstwę kojarzenia. Czy to samo dzieje się w naszych mózgach? Po pierwsze nie wiemy, co się dokładnie w naszych głowach dzieje. Po drugie, wyniki eksperymentów pokazują, że „myślenie” maszyny i myślenie człowieka daje inne efekty. Dlatego gdy np. poproszę model o wygenerowanie białego pustego pokoju bez słońca, „maluje” on puste pomieszczenie, ale z małym słońcem w kącie.

Myszę, że docelowo sztuczna inteligencja będzie zbierać informacje o świecie nie przez analizę tekstów, **ale poprzez poruszanie się w nim i doświadczanie go.**

Nawet jeśli algorytm skojarzeń mamy podobny, bogata aparatura sensoryczna dostarcza nam znacznie większej liczby bodźców, a do tego najwyraźniej posiadamy wrodzony zestaw mechanizmów kognitywnych, o których opowiadałem przed chwilą. Z drugiej strony cielesność w przypadku sztucznej inteligencji może być dość rozmytym pojęciem, bo już teraz agenci mogą korzystać z aparatury sensorycznej, której my nie posiadamy. Można założyć, że kilkanaście kamer umieszczonych na dronach to jedno wielkie oko pojedynczego programu, więc „ciało” nie musi być zwartą bryłą jak w przypadku robota. Reasumując – cielesność, według mojej intuicji konieczna, może być symulowana i nie musi być podobna do ludzkiej.

A co z cierpieniem i emocjami?

Gdyby użyć ludzkich metafor, to algorytmy uczenia się maszynowego doświadczają na przemian bólu i przyjemności. Dając programowi pozytywne lub negatywne sprzężenie zwrotne, ćwiczymy go, jak ma na przykład odróżnić pozytywną recenzję od negatywnej, a gdy poprzez wzmacnianie algorytm otrzymuje „nagrode”, traktujemy go jak dziecko.

Tu też pojawia się filozoficzne pytanie, czy z tych pozytywnych i negatywnych sprzężeń, z tych fundamentalnych reakcji można wyprowadzić złożone emocje. Kiedyś moje stanowisko w tej kwestii było bardziej, nazwijmy to, romantyczne. Ale zgłębianie atomów znaczenia dało mi do myślenia – może jest tak, że emocje wywodzą się z bardzo prostych odruchów, a tylko określamy je w różny sposób w zależności od szerszego kontekstu?

W przypadku maszyn mówienie o emocjach jest też oczywiście obarczone

antropomorfizacją. Czy można nazwać algorytm zatrzymujący samochód po wykryciu niebezpieczeństwa „strachem”? Czy robot odkurzacz ma przyjemność w pochłanianiu paproszków? To zależy, kogo zapytamy, jedni się zaśmieją, inni przytakną, mówiąc, że owszem, można to tak zinterpretować.

Czyli sztuczna inteligencja powinna mieć uczucia czy nie?

Z pewnością powinna rozumieć nasze uczucia. Nie znaczy to jednak, że musi je sama posiadać. Bo czy chcemy pełnego spektrum ludzkich uczuć w urządzeniach? Na pewno nie w odkurzaczach, bo zamiast sprzątać, będzie miał chandrę. W robocie przyjacielu? Pewnie już bardziej, ale np. sztuczny kochanek musiałby kochać zawsze tak samo albo coraz mocniej. Czy ból zazdrości miałby go tej miłości uczyć? A co, gdyby zaczął manipulować nami, żebyśmy go nie zostawili, bo przecież producent chce zarobić na subskrypcji?

Proszę zauważyć, ile tu się kryje etycznych problemów w każdej warstwie. Dlatego uważam, że aby kontrolować sztuczną inteligencję, musimy tworzyć kognitywne systemy z osobnymi komponentami, dzięki czemu łatwiej będzie wskazać przyczyny problemów. Część tych komponentów będzie symulowała właśnie ludzkie uczucia i tym właśnie mechanizmom trzeba się będzie szczególnie przyglądać. To one będą obłożone najmocniejszymi restrykcjami, bo *homo sapiens* jest bardzo podatny na manipulację, a uczucia to motor naszych działań.

Musimy bardzo ostrożnie dobrać cele, które mają przyświecać sztucznej inteligencji. Czy ma to być lista cnót? Czy dążenie do szczęścia ludzi, do eudajmonii jako ogólnego celu życia człowieka? Czy możemy być pewni, że karta praw człowieka lub inny zestaw zasad nie powstrzyma sztucznego naukowca przed zaproponowaniem zupełnie nowych leków, ponieważ istnieje ryzyko, że choćby jedna osoba może ucieść? Każdy z nas ma swoją receptę na szczęście, czy etycznym jest więc uogólnianie tych recept do jednego przepisu? Jak dużo wolności możemy dać użytkownikowi, żeby dostroił maszynę do swoich potrzeb? W tych kwestiach mamy więcej pytań niż odpowiedzi. © Rozmawiał ŁUKASZ KANIEWSKI

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

TYGODNIK, KTÓRY TRAFIA TAM, GDZIE CHCESZ: DO SKRZYNKI, DO PACZKOMATU, **DO CIEBIE.**



DOSTAWA DO DOMU



- Prenumerata kwartalna: 210 zł
- Prenumerata półroczna: 399 zł
- Prenumerata roczna: 749 zł
- Prenumerata roczna z 4 wydaniem specjalnymi: 849 zł

Wszystkie numery doręczy Ci listonosz – nie musisz wychodzić z domu.



dowiedz się więcej!

TygodnikPowszechny.pl/sklep | Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

ODBIÓR W PACZKOMACIE

- Prenumerata kwartalna: 189 zł
- Prenumerata półroczna: 366 zł
- Prenumerata roczna: 686 zł

Wszystkie numery z darmową dostawą do wybranego paczkomatu, **ZAWSZE W ŚRODĘ** – w dzień premiery.
Dodatkowo **ROZNY DOSTĘP ONLINE** do całego „Tygodnika” za 1 ZŁ.



dowiedz się więcej!

TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

Ten sam Tygodnik – różne możliwości. Wybierz, jak Ci wygodniej.

CZAS ŚPIEWAĆ

Jestem z pierwszego pokolenia, które nie pamięta starej, drewnianej Polski. I kolejnym, które nie potrafi zaśpiewać w gromadzie, przy stole, znanych wszystkim pieśni.

Właściwie dlaczego?

ZIEMOWIT SZCZEREK

TO BYŁO W BUŁGARII, NAD MORZEM, gdzieś pomiędzy Kawarną a Kamen Briagiem. Za stołem w jednej z nadmorskich knajp, stylizowanych już od dawna milutko i globalistycznie, zasiadła bułgarska rodzina, której królowała matrona o posturze menhira oraz jej małżonek: łysy, równie zwalisty i ciężki. Zasiedli za stołem i rozmawiali. W tle chałturzył jakiś wesoly muzyk, który grał na przemian covery Abby i Metaliki. Muzyk był wesoly – a sala smutna. Choć robił, co mógł, nawet kawały opowiadał między kawałkami, to prawie nic nie osiągał, czasem jakiś lekki chichot. Aż mi go żal było.

Ale gdy muzyk przestał grać i nastała cisza – wtedy ten łysy, zwalisty zaczął śpiewać. Normalnie, jako gość przy stoliku. Z zamkniętymi najpierw oczami śpiewał. I była to pieśń jakaś stara, ludowa, z tym zawijaszem bliskowschodnim, charakterystycznym dla Bałkanów, i po chwili do męża dołączyła matrona, do matrony – pozostali ludzie przy stole, a po chwili inni goście lokalu. Słuchałem zachwycony, i sam bym śpiewał, tylko że tekstu nie znałem. A i muzyk dołączył.

W innych miejscach było podobnie. W Macedonii, w Kratowie, podczas miejskiego święta, ludzie znali nie tylko słowa własnych pieśni, ale i kroki wspólnych tańców. Patrzyłem więc, zachwycony, jak kratowianie – trzymając się za ramiona – odtańczyli je na ulicach.

Na Słowacji i na Węgrzech ludowość aż kipiała: tu i tam w niektórych wsiach

starsze kobiety chodziły w święta do kościołów w tradycyjnych strojach, na wiejskich festynach roilo się od lokalnego jedzenia, trunków, pieśni i gadżetów. To samo w Bośni, w Serbii, w Ukrainie. A znajomi Ukraińcy, którzy przy każdej okazji śpiewają swoje ludowe piosenki, pytają często z ironią, dlaczego, jeśli w Polsce przychodzi do zaśpiewania czegoś tradycyjnego, to zaczyna się i kończy na „Hej, sokoły”. Nie mogą uwierzyć w to, że my, Polacy, właściwie nie znamy swoich ludowych piosenek.

Krótką historia wstydu

Jeżdżąc dużo po Europie Środkowej zrozumiałem, że mechanizm, który – jako Polak – odbierałem za zupełnie naturalny, wcale naturalny nie jest. Wydawało mi się, że ludowe piosenki to się śpiewało kiedyś, dawno temu, a teraz ludowość się skończyła i słucha się wyłącznie zglobalizowanych hitów.

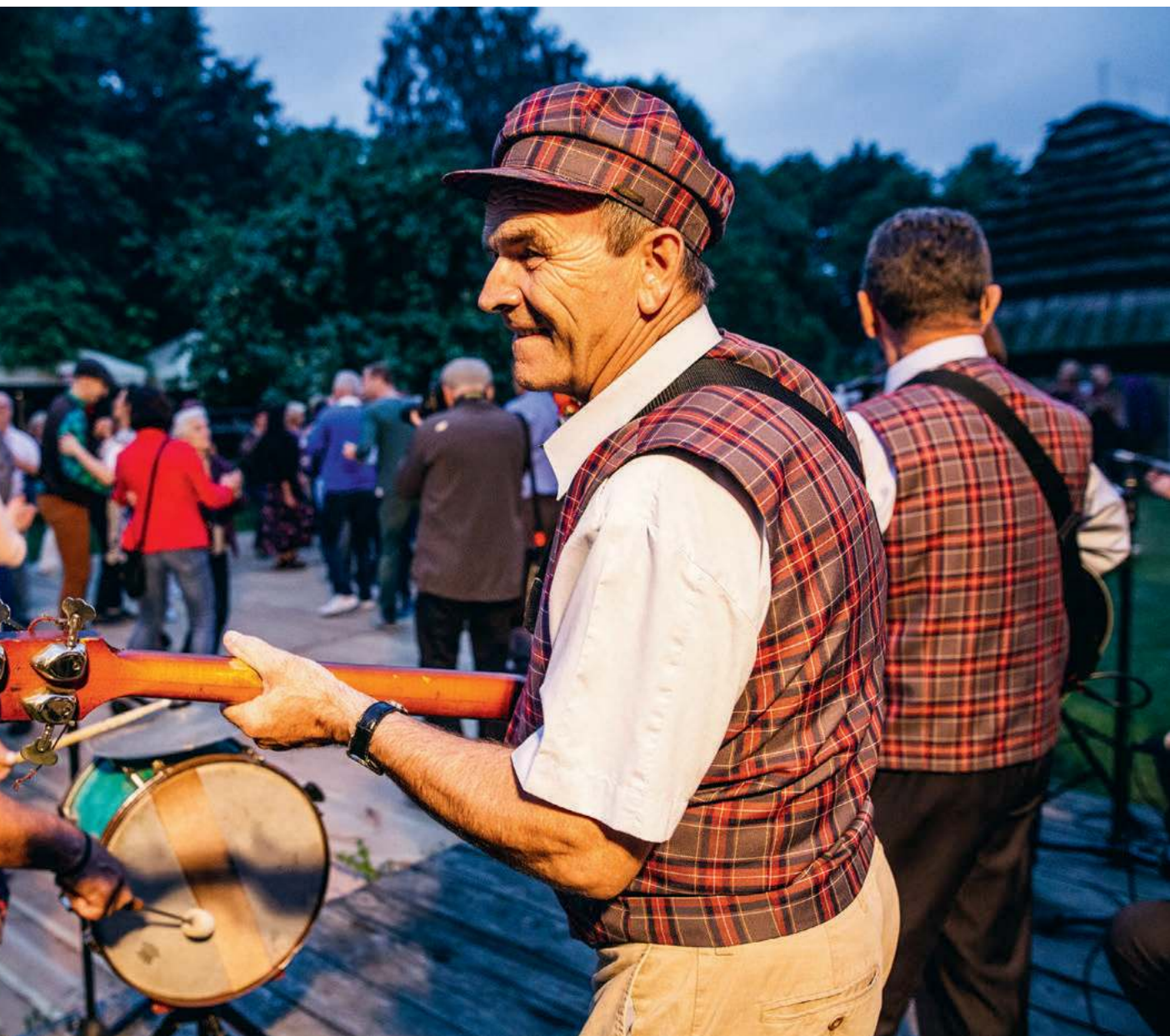
Swoją mamę, która pochodzi ze wsi w zachodniej Małopolsce, pytałem, ile zna lokalnych piosenek, i niespecjalnie się zdziwiłem, że niewiele jej przychodzi do głowy. Skąd miałyby je znać. Od babci? Babcia śpiewała w domu „Kiedy ranne wstają zorze” i inne katolickie pieśni. Czasem tylko podrzucała jakieś przyśpiewki, ale nigdy nie wiedziałem, czy je zmyślała, czy były prawdziwe. Jeden z braci mojej mamy wspomina, że gdy był młody, to „nie cierpieł ludowej muzyki”. Odciecie.

Odciecie i wymazanie. Wystarczy bowiem pojeździć po Polsce, żeby dostrzec



rzecz ważną: u nas po wsiach jest mało starego. Domy są nowe, nowe są ogrody, i choć to się zmienia, to nadal często tandetne, betonowe. Bo to, co było tu wcześniej – to było nasze wstydlive dziedzictwo, którego się pozbyliśmy. Bo co mieliśmy trzymać – drewniane, zatechle chałupy, w których mieszkaliśmy razem z byłem i których się wstydziliśmy przed światem?

Stara tkanka nie przetrwała ani polskiej historii, ani polskiego wstydu. Nie tak, jak w Niemczech, Francji czy Hiszpanii, ale choćby i na Bałkanach: tam nadal stoją przeciw stare domy, często proste, w formie kostki, właściwie wszędzie podobne, od europejskiej części Turcji



JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wiejska potańcówka w Muzeum Wsi Lubelskiej. Lublin, 14 lipca 2018 r.

aż po sam Dunaj, ale kryte piękną czerwoną dachówką. To samo Węgry: ciemnoruda dachówka, wsie o jednolitych formach, o rynkach wrzecionowatych ze starymi kościołami pośrodku. Tynkowane wszystko, brama w bramę, szeregiem stojące. To samo Słowacja: „Słowackie wsie przypominały małe miasteczka” – Andrzej Stasiuk.

W Polsce jest inaczej. To znaczy – w tej Polsce „wiślanej”. Bo wystarczy przekroczyć granice Poniemiecji, żeby zobaczyć, że tam stare jednak pozostało. Było porządniejsze. Murowane. Nie trzeba było wszystkiego ze wstydem burzyć, by zbudować sobie nowe państwo. Więc polska poniemiecka wieś nadal ma swoją struk-

ture, której brakuje polskiej wsi polskiej.

Mój dziadek był niemieckim niewolnikiem. Wyślano go podczas wojny na przymusowe roboty do Niemiec. Miał szczęście, trafił na „dobrego bauera”. Żył w pocziwym, porządnym niemieckim gospodarstwie. Co nie zmienia faktu, że jednak tym niewolnikiem był. Ale gdy wrócił, pierwsze, co zrobił, to w miejsce starego, drewnianego domu zaczął, razem z całą rodziną, stawiać nowy. Ładny, przestronny, prosty, modernistyczny, dwuspadowy. Klasyczny powojenny wzór, sporo takich można w całej Polsce znaleźć. Nie chciał już mieszkać w drewnianej chałupie, jak jego

przodkowie. Wolał żyć tak, jak podpatrzył to u Niemców, którzy go niewolili. Tak, historia Polski naładowana jest kompleksem i wstydem, i warto przestać to wypierać.

Galicyjskie błoto

Jestem pierwszym pokoleniem, które nie pamięta starej, drewnianej Polski. A przecież od zawsze, od zarania polskiej historii była drewniana. Jeszcze moja mama, jeżdżąc ze wsi na studia do Krakowa, pamięta, że wzdłuż trasy prowadzącej przez pół Jury Krakowsko-Częstochowskiej domy były drewniane, błękitno bielone.

I tej Polski już nie ma. Stare, drewniane chałupy, jako symbol wstydu i zacofania →

→ – zrównano z ziemią. Za Gomułki, za Gierka. Drewnem z nich długo palono w piecach. Z kamieni z podmurówek zrobiono podjazdy albo pobudowano komórki czy chlewy. Zaorano tę wstydliwą, prymitywną przeszłość. Przecież wstydzono się jej jeszcze przed wojną. Intelktualiści pisali felietony o „wstydliwym polskim problemie”, jakim był poziom życia chłopów w ich wiecznie zacadzonych, zatęchłych, śmierdzących często po prostu prostych chałupach z błotem zaraz przed progiem i polemą za progiem.

Kto wie, czy tego samego losu nie podzieliły ludowe pieśni. Wymazaliśmy je ze wstydem, jak te stare chałupy.

– Tak, może tu chodzić o wstyd – mówi Natalia Kościńska, popularyzatorka projektów związanych ze Słowiańszczyzną. – W takim PRL przecież modelowym obywatelem był miastowy robotnik. Ludzie opuszczali zacofane wsie i uczyli się życia w mieście.

Tak. Moi rodzice też przenieśli się do miasta w czasach PRL. Ojciec – z przedmieść galicyjskiego miasteczka; matka – z podolkuskiej wsi. W środowisku ich znajomych, a było to środowisko technicznej inteligencji – bardzo wiele osób pochodziło z podobnych środowisk. Ja już urodziłem się w mieście, ale moja „mieszczkańskość” pełna była wiejskich czy podmiejskich wzorców, z czego nie zdawałem sobie nawet sprawy, do czasu, gdy dorosłem i zacząłem u bardziej miejskich rówieśników zauważać nieco inne podejście do niektórych spraw.

– Mój dziadek, rocznik 1940, spod Kielc, wspominał, że w ciągu całego życia przeskoczył tak naprawdę od średniowiecza do XXI wieku – mówi Kościńska. – Więc było tak: wieś to bieda i zacofanie, czyli wstyd. PRL, który stawiał na edukację, wzmacniał chęć odcięcia się od wsi i niewykształconych przodków.

W PRL-u, oczywiście, promowano ludowość, ale ta ludowość była dziwna, bo odgórna. Państwowa.

– Pojawiły się Cepelie, zespoły pieśni i tańca – mówi Kościńska. – Ale było to tak, że na wieś przyjechali etnografowie z miasta i powiedzieli ludziom ze wsi, co jest sztuką ludową, a co nią nie jest. No i to wpłynęło oczywiście na tę „ludową” twórczość. To też odsunęło ludzi od dzieciństwa wsi.

To, co mówi Natalia Kościńska, potwierdza pani Maria Sierka z zachodniomał-

Czy postęp koniecznie musi znaczyć oderwanie się od ludowej kultury?

Większość europejskich krajów bardziej rozwiniętych niż Polska nie ma problemów ze swoją własną tradycją, odwrotnie: wkomponowuje ją we własną nowoczesność.

polskiego Chechła. Śpiewa na scenach ludowych pieśni od dawna, należy do lokalnego Koła Gospodyń Wiejskich: – Przyjeżdżali etnolodzy i kazali nam wyrzucać z repertuaru piosenki bardziej rubaszne. Tak to szło na przykład: „Szedł chłop z roboty, poszedł do kobyty, żeby mu dała – skóry na buty”. Nam tego nie było wolno śpiewać, więc śpiewaliśmy o tym, jak to się chodziło „z koneweczką po wodę”.

Pytam, jak jest teraz. Słyszę: – Mamy już swoje lata i nie ma komu śpiewać, młodych to nie interesuje. Myślałam, że tak jest wszędzie, ale jak pojechałam z zespołem do Ukrainy, na festiwal, to wyjść z podziwu nie mogłam, za głowę się złapałam, ile tego było. Nasze dziewczyny się wstydyliły swoich strojów ludowych, a tamci się z nimi wręcz obnosili! Ludzie siedzieli godzinami w parku i śpiewali. Wszyscy. To samo na Węgrzech. A u nas?

– Jak upadł PRL z tymi wszystkimi Cepeliami – mówi Kościńska – to zachłysłaliśmy się Zachodem, i to już był klasyczny wjazd kompleksów: wierzyliśmy, że na Zachodzie wszystko jest lepsze, że my jesteśmy zacofani, a te nasze pieśni ludowe kojarzyły się nie tylko z biedną wsią, ale i z pijanymi wujkami na jakiejś kiczowatej biesiadzie.

Tak to wyglądało i to zresztą nie tylko z polskiej strony. Jeszcze na początku XXI wieku Marcel Reich-Ranicki, polsko-niemiecko-żydowski „papież krytyki literackiej”, który miał wielki wpływ na niemieckie gusta zytelniczne, grzmiał, że pisarz Andrzej Stasiuk, który zamiast opiewać polską drogę do nowoczesności grzebie się w jakimś galicyjskim błocie

i opisuje prowincję – to „ciemnogród i powrót do średniowiecza”.

Śpiew w kraju jednolitym

– Dlaczego nie śpiewamy? Tak, najprościej byłoby powiedzieć, że ze wstydu – zastanawia się Dorota Majkowska-Szajer antropolożka kultury z Muzeum Etnograficznego w Krakowie. – Bo tradycja wiąże się z niechcianą spuścizną po przodkach: wiejskich, biednych, wstecznych. Zerwaliśmy z tym, co uznawaliśmy za prząsne, zacofane, ograniczające nasze aspiracje. Porzuciliśmy to jak niemodne ubranie. A teraz nie wiemy, co mielibyśmy wspólnie śpiewać, nie czujemy konwencji.

Jeszcze dalej idzie Adam Leszczyński, historyk, socjolog i autor znanej książki „Ludowa historia Polski”: – Polski chłop był traktowany bardzo długo, właściwie aż do powstania nowoczesnych nacjonalizmów, jak osoba innego gatunku – mówi Leszczyński. – Osoba fizycznie odmienna od »Polaków właściwych«, za jakich uważała się szlachta. Chłopska spuścizna to było dla niej coś w rodzaju kultury dzikiej. A po szlachcie przejęła tę perspektywę polska inteligencja, która zawsze aspirowała do szlacheckiej kultury. No i awans automatycznie oznaczał pozbycie się chłopskich korzeni.

– Polecam książkę „Totem inteligentki” socjologa Tomasza Zaryckiego – mówi Leszczyński. – Jej teza jest taka, że hegemonia inteligencji w Polsce jest prostym przedłużeniem kultury szlacheckiej. I że członek polskiej elity musi być zawsze inteligentem. A jeśli ktoś jest, powiedzmy, mechanikiem i zarabia więcej od inteligenta – to i tak się czuje gorszy.

To właściwie zjawisko uniwersalne: warstwy uznawane za niższe zazwyczaj aspirują do statusu lokalnych warstw uznawanych za wyższe, nawet wtedy, gdy wydaje się to bardzo mocno niewłaściwe: po obaleniu apartheidu wielu czarnoskórych obywateli RPA przejęło część obyczajów, które do tej pory kojarzyły się głównie ze stylem życia białych.

Rzecz w tym, że takie przejmowanie wcale nie musi łączyć się z pełnym odrzuceniem swojej dawnej czy „bazowej” kultury. A tak przecież było na linii chłop–polski inteligent.

– Pokolenie powojennego awansu świadomie odwróciło się od tego, co wiejskie – twierdzi Kościńska. – Zerwało łącz-



ARCHIWUM PRYWATNE AUTORA

Ziemowit Szczerek na Oberkach w Lublinie

ność z przodkami i ziomkami. Ale do zaniku łączności z tradycją przyczyniły się także działania systemowe. PRL udawał, że promuje kulturę ludową na salonach i na stadionach, ale tak naprawdę prowadził przede wszystkim politykę unifikacji. Czyli gorzej się działo kulturom lokalnym, bo mniejszości były podejrzane. Polska miała być krajem jednolitym etnicznie. A potem był rok 1989, transformacja i kult wielkomiejskości, które ugruntowały w mieszkańcach małych miejscowości i wsi przekonanie, że żyją tam, gdzie nic ciekawego się nie dzieje. I że trwając przy swoim, hamują postęp.

Ale czy postęp koniecznie musi znać odcieranie się od ludowej kultury? Większość europejskich krajów bardziej rozwiniętych niż Polska nie ma problemów ze swoją własną tradycją, odwrotnie: wkomponowuje ją we własną nowoczesność. Czy taka Japonia straciła coś ze swojej starej kultury, gdy podlegała modernizacji? Przeciwnie – sprawiła, że jej wyjątkowa kultura podbiła świat. A przy okazji nie zamknęła się przecież na wpływy zewnętrzne, tworząc niesamowite połączenie starego i nowego, swojego i obcego.

Trans narodowy

Ale czy chodzi wyłącznie o wstyd? Pisarz Wit Szostak, który swego czasu podróżywał po polskiej prowincji i zbierał ludowe utwory, zwraca uwagę na jeszcze inne sprawy: – Czytałem kiedyś, że zanik śpiewu związany jest z podziałem na katolicyzm i prawosławie. Organy wyparły śpiew, zwłaszcza męski, bo w kościołach

śpiewają głównie starsze kobiety. A brak kultury śpiewu wśród facetów może – na przykład – przekładać się na wstyd przy ognisku.

– Zwróciłbym też uwagę na repertuar – dodaje Szostak. – W polskim folklorze jest stosunkowo mało pieśni lirycznych. Było wiele pieśni powiązanych z obrzędami kościelnymi, ale to nie na ognisko. Poza tym polska muzyka ludowa stoi przyśpiewkami: czterowersowe krótkie formy, śpiewane jako przerywniki do oberka lub innych tańców, a te by się źle śpiewało przy grillu czy ognisku. Mało mamy takich piosenek. Musiałyby mieć kilka zwrotek i chwytliwy refren, który powtarzają wszyscy. Więc może problem jest muzykologiczny, a nie socjologiczny – zastanawia się pisarz.

Andrzej Stasiuk nazwał kiedyś oberek „polskim pra-techno”. „Myślę, że wynalazek oberka, najbardziej polskiego z polskich tańców, był podświadomą reakcją ludu na niewolniczą opresję. Kolistka, spiralna, obsesyjna nuta tego tańca miała nieść wyzwolenie i zapomnienie” – pisał w zbiorze felietonów „Nie ma ekspresów przy żółtych drogach”.

Cóż poradzić: gdyby to nasza „oberkowość” faktycznie była głównym powodem naszego braku znajomości własnych pieśni, to byłibyśmy bardziej kulturą, nazwijmy to, „techniawki” niż nastrojowych ballad, ciekawych aranżacji muzycznych opowieści i dobrych tekstów.

Zapytałem o to Stasiuka. Odpowiedział tak: – Pisałem o oberku jako o polskim tańcu szamańskim, który uwalniał lud od błota i stodoły i przenośli w jakąś lepszą

rzeczywistość. Dawał zapomnienie. Taki polsko-chłopski trans. Więc, tak, jakoś blisko techno. Ale muzycznie to chyba ślepa uliczka, bo tego nie dało się za bardzo rozwinąć. Jak z całą polską muzyką ludową. W odróżnieniu na przykład od ukraińskiej czy irlandzkiej. A z oberkiem jest tak, że kręcisz się, odlatujesz, z powrotem jeb na ziemię i kac. Istotą oberka jest zdaje się to, że można go tylko grać coraz szybciej i szybciej. Do zatracenia. Najbardziej polski ze wszystkich polskich tańców. Nie tam jakiś pieprzony polonez. A może zresztą w tym tkwi idea? W tym napięciu między oberkiem a polonezem? Dwubiegówka polska?

Oberk teraz zresztą wraca. Zainteresowani własną ludową kulturą ludzie, najczęściej młodzi, wyzbyci już ludowego kompleksu rodziców, próbują nadać oberkowi drugą młodość. Byłem kiedyś na takiej imprezie w Lublinie: oberka wywijali młodzi i starzy, hipsterzy i alternatywki oraz ludzie ubrani jak Sławomir Mentzen. Na imprezę zaproszone były panie z lokalnych zespołów ludowych: skończyłem siedząc między nimi i zawodząc razem z nimi teksty, których nauczyłem się od nich przed chwilą i o których nie miałem wcześniej zielonego pojęcia. Były to piosenki lokalne, z terenów nadwiślańskich, spomiędzy Radomia, Kielc i Lublina.

Co by razem z tymi paniami miał śpiewać góral? Albo Kaszuba? Może w tym jest też część problemu: pieśni „ogólnopolskie”, spajające naród, wywodziły się przecież raczej z tradycji szlacheckiej, być może inteligenckiej: narodowo-wyzwoleńczej, rewolucyjnej czasem.

– Tak naprawdę to przecież znaleźlibyśmy i w Polsce miejsca, gdzie się spontanicznie i wspólnie śpiewa – mówi Dorota Majkowska-Szajer. – To Podhale i Podlasie. Poza tym, znów upraszczając, wydaje się, że śpiewaniu sprzyjają trwałość poczucia lokalnej wspólnoty i siła rodzinnych więzi. A przynależność do wspólnoty bywa opresyjna – trzeba się liczyć z opinią grupy, podporządkować konwencji. Wie to każdy, kto przeżył choćby przymus dobrej zabawy na polskim weselu – to chyba ostatni polski żywy rytuał. W byciu razem jest i frajda, i opresja, i poczucie bezpieczeństwa, i konieczność dostosowania się. Podobnie jak we wspólnym śpiewaniu. Może faktycznie jesteśmy narodem solistów?

© ZIEMOWIT SZCZEREK

Zwierzęta sceniczne

TILDA SWINTON, AKTORKA;
OLIVIER SAILLARD, KURATOR:

SZTUKA | Kostiumy do filmów Pasoliniego projektowano z myślą o krótkiej obecności w filmowym kadrze.

Po spełnieniu swojej roli trafiły do skrzyni, by już nigdy nie wrócić do życia. Postanowiliśmy to zmienić.

WYSTAWIANY WYŁĄCZNIE RAZ w roku spektakl „Embodying Pasolini” to hołd oddany włoskiemu reżyserowi Pier Paolo Pasolinie-mu. Aktorka Tilda Swinton i historyk sztuki Olivier Saillard eksplorują w nim świat artysty przez pryzmat kostiumów z jego najśłynniejszych filmów: od „Ewangelii według Mateusza” i „Króla Edypa”, przez „Kwiat tysiąca i jednej nocy” i „Dekameron”, po kontrowersyjne „Salò, czyli 120 dni Sodomy”.

Wszystkie stroje stworzył projektant i kostiumograf Danilo Donati, stały współpracownik Pasoliniego, dwukrotny zdobywca Oscara. Swinton i Saillard odtwarzają w swoim spektaklu długi proces odkrywania wartości kostiumów, aż do momentu, gdy ponownie trafiły na scenę i zostały ponownie wykorzystane – wbrew pierwotnemu założeniu.

Aktorka przymierza na scenie blisko trzydzieści sukien, płaszczy i kapeluszy. Nie wciela się jednak w postaci, które pierwotnie nosiły stroje w filmach Pasoliniego, lecz, jak mówi, „ucieleśnia” samą materię tkanin. Rola Swinton to poniekąd brak roli, podkreślający fakt, że kostiumy stały się bytami oddzielonymi od ciała, aktorów i od filmów. Po tragicznej śmierci reżysera w 1975 r. zostały zamknięte w archiwum w Rzymie.



MATERIAŁY PRASOWE MALTA FESTIVAL

Tilda Swinton w przedstawieniu „Embodying Pasolini”, 2025 r.

JAKUB WOJTASZCZYK: Pamiętajcie, kiedy po raz pierwszy trafiliście na kostiumy z filmów Pasoliniego?

TILDA SWINTON: Olivier spotkał we Florencji Clare Pamphili, włoską historyczkę mody, której napomknął, że z wielką chęcią odwiedziłby archiwum kostiumów Donatiego. Nieoczekiwanie usłyszał: „Tak się składa, że się nim opiekuję”. Clara zaprosiła Oliviera do Rzymu, a on postanowił zabrać mnie ze sobą. Gdy weszliśmy do archiwum, poczułam się, jakbym trafiła do zoo. Przeglądając kolekcję, myślałam o kostiumach jak o żywych istotach, przez dziesiątki lat pozostawionych samym sobie, niesłusznie zapomnianych.

stawionych samym sobie, niesłusznie zapomnianych.

OLIVIER SAILLARD: Już w Rzymie, oszłomiony kolekcją Donatiego, zapytałem Clare, dlaczego te dzieła sztuki pozostają w odosobnieniu. Okazało się, że nikt wcześniej się nimi nie interesował. Byłem w szoku, że dotarcie do nich było tak proste. Wraz z Tildą przeglądaliśmy kolekcję kilka dni. Gdy mieliśmy zabierać się do skonkretyzowania naszych pomysłów, przyszła pandemia.

TS: W głowach pojawił się nam spektakl, który chcieliśmy wystawić w Rzymie, jako hołd nie tylko dla kolekcji, ale

dla samego reżysera. Czas pandemii sprawił, że praca z kostiumami nabrała jeszcze głębszego sensu. Po raz pierwszy „Embodying Pasolini” zaprezentowaliśmy w 2021 r. w rzymskim Mattatoio, starej rzeźni. Lokalizacja nadała ton samemu przedsięwzięciu, jak i naszej dalszej współpracy. Przestrzeń była ogromna, ale przez covidowe ograniczenia naraz mogliśmy wpuścić tylko około pięćdziesięciu osób.

OS: Publiczność cały czas się zmieniała, ludzie wchodzili i wychodzili. Wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że widownia ogląda nas tak, jakby odwiedzała wystawę w galerii sztuki.

Tildo, mówisz o kostiumach jak o zwierzętach. W spektaklu witasz się z nimi jak ze starymi, dawno niewidzianymi znajomymi.

TS: Moja relacja z kostiumami ma niewiele wspólnego z filmami, w których się pojawiły. Bywa, że zmienia się w zależności od pokazu. Wyciągając strój z „Dekameronu” podczas pierwszego performansu na Festiwalu Malta w Poznaniu [20 czerwca – przyp. red.], poczułam rozpacz. Nie pamiętam, kto nosił go w filmie. Może brał udział w radosnej scenie. Tymczasem przez ułożenie ramion, lekkie zagniecenie, wywołał we mnie smutek.

OS: W pewnym sensie nasz spektakl to okazja, by zadać pytanie o relację między kuratorem a kostiumem, który wyciągnęliśmy z archiwum. Dlaczego nie mieliśmy poprzedników? Dlaczego właśnie teraz przyszedł na nie czas? Czy powinniśmy je traktować jako pomnik, a może coś, co należy chronić? Przecież stroje są kruche i delikatne, a jednocześnie bawimy się nimi. To wszystko niekoniecznie ma związek z filmami, raczej z samym życiem.

Niektóre kostiumy narzucają stereotypy związane z płcią. Ale wyrwane z kontekstu filmu, potraktowane przez Was jak żywe organizmy, zaczynają emanować queerową płynnością.

TS: Zdecydowanie! Kostiumy zawierają w sobie nieskończone możliwości, a to tworzy przestrzeń queerową, zachęcając do eksperymentowania. O naszym spektaklu myślę jak o miejscu transformacji.

W jednej ze scen do pierwszego rzędu dopuszczacie kostiumy, które nosili statyści. To jakby oddać głos osobom marginalizowanym.

TS: Świetne porównanie. Z własnego doświadczenia pracy na planach filmowych wiem, że nawet statyści są ubierani z niezwykłą starannością, choć może się zdarzyć, że w ogóle nie pojawiają się w kadrze, albo jeśli już, to na ułamek sekundy, choć te ujęcia i tak mogą wylądować w koszu na stole montażowym. Taka jest natura życia i pracy w filmie.

OS: Tilda nazwała nasz wybór kostiumów *speed datingiem*. Kierowaliśmy się instynktem, nie konkretnym tytułem czy aktorami, którzy nosili je w filmie. Lubimy myśleć, że to stroje wybrały nas.

A kostiumy z „Salò, czyli 120 dni Sodomy”?

TS: Te zwierzęta nie chcą się bawić, tylko nas zaatakować. Są niebezpieczne. Czuję do nich obrzydzenie, choć jednocześnie potrafię docenić ich piękno. Za każdym razem, gdy w nich gramy, towarzyszą mi bardzo silne emocje. Te kostiumy mają ikoniczny status, także ze względu na ich wartość estetyczną.

Weźmy białą suknię z czarnymi ornamentami, którą w filmie nosi pani Vaccari. Jestem obezwładniona sztuką jej wykonania. Kiedy jednak przy niej stanę, od razu przypominam sobie, w jak nikczemnych, sadystycznych scenach brała udział.

Pamiętam pełną naturalistycznego sadyzmu orgię, do której faszystowska elita przzymusza lokalnych mieszkańców.

TS: Za każdym razem zastanawiam się, czy scena z kostiumami z „Salò” jest czytelna dla osób, które nie widziały filmu. W jej trakcie jest wiele energii, stroje są jak wir, który mnie wciąga, przyciągają mnie, ja je odrzucam, ludzie muszą się pewnie zastanawiać: „co ona robi?!”.

Pasolini był znanym antyfaszystą, niektórzy powiedzą dziś: antykapitalistą. Myśleliście o tym, pracując nad spektaklem?

OS: Pasolini już w latach 60. pisał o tym, że społeczeństwa stają się coraz bardziej faszystowskie i kapitalistyczne. Trudno oprzeć się wrażeniu prorocтва. Czujemy ogromną odpowiedzialność i nie możemy

„bawić się” kostiumami, nie biorąc pod uwagę dzisiejszego kontekstu społeczno-politycznego. Co prawda nie narzucamy interpretacji, ale w „Embodying Pasolini” nie chodzi tylko o piękno strojów.

Zastanówmy się, jak możemy dziś pamiętać Pasoliniego? Być może to właśnie kostium staje się nowym językiem naszej pamięci? Dlatego pod koniec spektaklu faktycznie pojawia się dramaturgia do „Salò”. Nie po to, by bezmyślnie poetyzować film, tylko podkreślić, że nie możemy zapomnieć ery faszystowskiej. Jeśli po spektaklu ktoś sięgnie po Pasoliniego i zacznie go czytać, być może znajdzie odpowiedź na twoje pytanie.

TS: Zgadzam się z Olivierem, ale myślę też, że nasz spektakl jest o słuchaniu. To z jednej strony bardzo pokorny gest, niezwykle ważny i rzadki. Bo jeśli mielibyśmy, całkowicie upraszczając, zapytać: „czym właściwie jest faszyzm”, odpowiedź brzmiałaby „faszyzm to niesłuchanie”.

W spektaklu gracie ciszą.

OS: Tak, ponieważ najtrudniej trwać w ciszy. Zwłaszcza dziś, gdy wokół jest tyle głosów, milczenie może być odebrane jako postawa radykalna.

TS: Mam zupełnie inaczej, cisza jest moją strefą komfortu. W ciszy najlepiej mi się myśli, przetwarza. Ale obok ciszy spektakl wypełnia bezruch. To równie istotne, bo pozwala na złapanie oddechu i przyjrzenie się kostiumowi.

Kostiumy mogą być ostrzeżeniem?

TS: Zdecydowanie! To niesamowite, jak Danilo Donati – wielki artysta, prawdziwy liryk – potrafił operować zupełnie różnymi językami wizualnymi. Czasem mówimy o jego stylu jako brutalistycznym, monumentalnym, archaicznym. Natomiast wszystko zmienia się, kiedy dochodzimy do „Salò”. Tam realizm jest śmiertelnie dosłowny. Nie ma żadnej fantazji, ucieczki w wyobraźnię. Projektant i reżyser jakby chcieli nam powiedzieć: niczego nie wypieramy. Są tu tylko ludzie: prawdziwi, zwyczajni, banalni. Ta banalność jest najbardziej przerażająca, bo znajduje się blisko naszego ciała.

Projekty Donatiego są także futurystyczne.

TS: Tak, nazywam je „ponaddźwiękowo średniowiecznymi”.



↳ **OS:** Donatiemu i Pasoliniemu chodziło nie tyle o realizm, ile raczej o stworzenie czegoś prymitywnego – w najlepszym znaczeniu tego słowa. Przyglądając się strojom dostrzeżemy nie tylko inspiracje średniowieczem, ale też latami 60. i 70., kiedy filmy powstały. Tworząc spektakl w gestach, w sposobie poruszania się, wracaliśmy do źródeł, na przykład postaci z obrazów Mantegni, Fra Angelica czy Bruegla. Dopiero na samym końcu inspirowaliśmy się tytułami Pasoliniego. Wyszło więc raczej barokowo.

Ucieszyłem się, że „Embodying Pasolini” nie kończycie kostiumami z „Salò”, tylko „Ptakami i ptaszyskami”. Film opowiada co prawda o klasowym wyzysku i biedzie, ale nie niesie fizycznej udręki.

OS: Nie zapominajmy, że „Ptaki i ptaszyska” są krytyką kapitalizmu. Celowo mówimy o nim tuż po faszyzmie. Natomiast ostatnim ujęciem, z jakim zostawiamy widzów, jest Tilda ze strojem Totò, bohatera wspomnianego filmu, na tle wielkiego białego ekranu. To ewokacja kina.

TS: Garnitur Totò jest gestem czułości. Nie zostawiamy widzów z niczym, dajemy nadzieję.

© Rozmawiał JAKUB WOJTASZCZYK

TILDA SWINTON jest aktorką. Za drugoplanową rolę w „Michaelu Claytonie” Tony’ego Gilroya została uhonorowana Oscarem i Nagrodą BAFTA. Za pierwszoplanową rolę w „Musimy porozmawiać o Kevinie” Lynne Ramsey (2011) otrzymała Europejską Nagrodę Filmową. W 2020 r. na festiwalu w Wenecji otrzymała Złotego Lwa za całokształt twórczości, a w 2024 r. na tym samym festiwalu święciła sukcesy z filmem „W pokoju obok” Pedra Almodóvara. W 2025 r. została nagrodzona Honorowym Złotym Niedźwiedziem na festiwalu w Berlinie.

OLIVIER SAILLARD jest historykiem sztuki. W 1995 r. mianowany dyrektorem Muzeum Mody w Marsylii, w 2000 r. został kuratorem wystaw paryskiego Musée des Arts Décoratifs, a w 2010 r. objął posadę dyrektora Palais Galliera, stołecznego muzeum poświęconego historii mody. Od 2017 r. jest dyrektorem Alaïa Foundation. Był kuratorem wielu uznanych wystaw, m.in. „Yohji Yamamoto: Just Clothes”, „Christian Lacroix: A History of Clothes” czy „Balenciaga: The Work in Black”.



Tilda Swinton podczas przygotowań do przedstawienia „Embodying Pasolini”, 2025 r.

Cały krwiobieg świata

GRZEGORZ JANKOWICZ

LITERATURA | W latach 30. ubiegłego wieku Max Blecher tworzył dzieła, które zaintrygowały współczesnych, ale w pełni zrozumiane zostały dużo później. Zaadresował je do nas, ludzi żyjących w odczarowanym już świecie. Co w nich takiego znajdziemy?

MAX BLECHER (1909-1938) BYŁ MŁODZIEŃCEM utalentowanym, ambitnym, zainteresowanym zarówno literaturą, jak i naukami ścisłymi, wzorowym uczniem wyróżnionym przez szkołę w rodzinnym rumuńskim Roman za najlepiej zdany egzamin maturalny. Zamężni rodzice, posiadający fabrykę porcelany i sklep, nie oszczędzili środków, by Max mógł się rozwijać.

Codzienną beztróską, której oddawał się w prowincjonalnym mieście, mącił tylko jeden problem: doskwierały mu bóle pleców. Najpierw lekkie, z czasem coraz dotkliwsze.

Znikający kontur

W wieku, w którym młodzi ludzie szykują się do spektakularnego skoku w przyszłość, Blecher otrzymał druzgocący wyrok. Pierwsze rozpoznanie przyczyn dotkliwego bólu było błędne. Max przeszedł kurację antyreumatyczną. W 1928 r., jako dziewiętnastolatek, wyjechał do Francji, by na Uniwersytecie w Rouen podjąć studia w zakresie medycyny. Niestety, jego stan się zaostrzył. Francuscy specjaliści postawili nową diagnozę: choroba Potta, nazywana gruźlicą kości i stawów, w jego przypadku wyniszczająca kręgosłup.

Kolejną dekadę, aż do przedwczesnej śmierci, Blecher spędził w szpitalach i uzdrowiskach. Leczył się we Francji, w szwajcarskim Leysin, rumuńskim Techirghiolu, a potem jeszcze w Bukareszcie. Fizyczne cierpienie, które stało się częścią jego losu, miało źródła tyleż w samym schorzeniu, ile w stosowanych ówczesnie metodach terapeutycznych.

Chorobę Potta wywołuje bakteria. W tamtych czasach antybiotykoterapia była niedostępna, więc chorym zalecano odpoczynek i słoneczne kąpiele. Jako że

bakcył petryfikował kości, okresowo używano gipsowych skafandrów, aby przeciwdziałać ewentualnym przeciążeniom i złamaniom. W Berck-sur-Mer, nazywanym miastem gruźlików, Blecher został dosłownie zagipsowany. Założono mu usztywnienie, które uniemożliwiało normalne poruszanie się. W zasadzie mógł tylko leżeć. Od czasu do czasu korzystał ze specjalnego powozu dla pacjentów zmuszonych do zajmowania pozycji horyzontalnej.

Nie wchodził w rolę ofiary. W korespondencji z Geo Bogzą, zaprzyjaźnionym rumuńskim poetą i krytykiem literackim, zapewniał, że nie chce przybliżyć przyjaciółom i znajomym szczegółów choroby, gdyż byłoby to obciążające dla obu stron. Wolał być postrzegany jako pisarz i człowiek pełen pasji, a nie schorowany męczennik, dla którego słabe zdrowie stanowiło zarówno wizytówkę, jak i wymówkę.

Korespondował z największymi, zjedynując ich sobie błyskotliwością i talentem, które wybuchały z wielką siłą w każdym zapisanym przez niego zdaniu. Jeśli na coś utyskiwał, to na specyficzny rodzaj osamotnienia, którego nie był w stanie do końca zdefiniować. Czuł się pozbawiony naturalnej emocjonalnej ochrony gwarantującej człowiekowi dystans wobec świata. Z drugiej strony na skutek poważnego deficytu ruchowego nie mógł swobodnie nawiązywać relacji z innymi.

Spotkanie z nim było możliwe wyłącznie wtedy, gdy przyjaciele obdarowywali go swoją obecnością, przyjeżdżając do sanatorium, szpitala czy rodzinnego domu. Względna autonomia odczuwał – paradoksalnie – tylko w ich towarzystwie. Stanowili jedyną szansę na zbudowanie palisady oddzielającej go choć na chwilę od świata. A przecież koszt takiej wizyty

był ogromny, bowiem nad bólem rzadko udawało się zapanować, a fizycznej zapaści nie sposób było ukryć.

Mimo że rugował chorobę z listów czy rozmów, miał poczucie, że jest w nim wszechobecna. I decyduje o tym, jak postrzega siebie i rzeczywistość. Blecher był przy tym radykalnym realistą. Choroba zmieniła kurs jego życia, to oczywiste. Odcięła go od ludzi i przykuła do łóżka, ale zawdzięczał jej wyjątkowe objawienie: oto odsłoniła się przed nim materia istnienia w całej swojej rozciągłości. Pierwszą reakcją było przerażenie. Potem z wolna zaczął się proces oswojania. Blecher szukał też – emocjonalnych oraz literackich – środków zaradczych. Właśnie ukazały się po polsku jego „Dzieła zebrane” (pisał o nich nasz Lektor w numerze 16/2025).

W płątanie atomów

W jednej z początkowych scen powieści „Zdarzenia w bliskiej nierzeczywistości” narrator wyznaje, że nienawidzi osób, które mogą skryć się przed światem, nie znosi ludzi zamkniętych szczelnie w granicach własnego istnienia, zdolnych zachować wobec innych zdrowy dystans. On sam czuje się wystawiony na impulsy przychodzące z zewnątrz. „Wszystko, co mnie otaczało, zalewało moją osobę od stóp do głów, jakby moja skóra była podziurawiona” (tłum. Joanna Kornaś-Warwas). Świat oplata go mackami, jawi mu się jako hydra, której ruchliwe ramiona przenikają ciało.

Analogiczna scena znajduje się w powieści „Zabliźnione serca”. Główny bohater, dziewiętnastoletni Emanuel, studiujący we Francji chemię, odwiedza lekarza, gdyż dręczą go bóle kręgosłupa. Potrzebne jest prześwietlenie. Sama procedura, choć stresująca, przebiega szybko. Wstrząs następuje później, gdy specjalista stawia diagnozę: gruźlica kręgosłupa. W ułamku sekundy wszystko, co stałe, ulatnia się w powietrzu. Emanuelowi wydaje się, że został obnażony, że wszyscy wiedzą o jego chorobie, że jej symptomy są czytelne nawet dla otaczających go zwierząt i rzeczy. Dystans między nim a światem znika, nie da się już wytyczyć granicy między wnętrzem a zewnątrz, dochodzi do pomieszania sfer.

Podobnych przykładów znajdziemy w twórczości Blechera więcej. Jego bohaterowie czują się brutalnie wrzuceni →

→ w świat, który przyjmuje postać bezkresnej i napierającej płataniny atomów. Próbuje się z niej wydostać, wybić się na powierzchnię tego nieskończonego oceanu, wdrapać się na choćby lichą tratwę, jakoś się odróżnić, zindywidualizować i zaplanować nad przelewającym się wokół nich i przez nich życiem.

W „Zabliźnionych sercach” po wyjściu od lekarza Emanuel ma wrażenie, że wszystko uległo zasadniczej metamorfizie: „Szedł po miękkim chodniku, jakby płynął w miękkiej konsystencji asfaltu. W czasie, w którym siedział zamknięty w gabinecie lekarskim, świat dziwnie się rozrzedził. Kontury przedmiotów wciąż tam istniały, ale ta cienka niteczka, która, podobnie jak na rysunku, otacza dom, czyniąc z niego dom, albo wyznacza profil człowieka, ten zarys, który obejmuje rzeczy i ludzi, drzewa i psy, ledwo trzymała dalej w swych granicach tę materię, gotową runąć w każdej chwili. Wystarczyłoby, że ktoś wyrwałby tę niteczkę z krawędzi rzeczy, żeby nagle te okazały domy, pozbawione własnego konturu, rozplynęły się w jednolicie mętnej i szarej materii”.

Emanuel (podobnie jak Max) nie traktuje swych odczuć jako aberracji. Zyskał nowy rodzaj percepcji. Widzi coś, co wcześniej mu umykało lub przed czym się zasłaniał. W wyniku przemiany zatarły się nie tylko granice między wnętrzem a zewnątrz, jednostką a światem, ale także pomiędzy duchem, prawdą i zmyśleniem, realnością i nierzeczywistością. I właśnie to zostaje przez niego uznane za prawdę naszego istnienia.

Dlatego u Blechera nie ma twardych opozycji. Przeciwności zarysowują się w języku tylko na chwilę, by ostatecznie rozplynąć się w nieodróżnieniu. Jednak nie skutkuje to chaosem wrażeń. Na przestrzeni jednego akapitu może ulec zmianie tonacja opowieści, scenografia, w której rozgrywa się jakaś sytuacja, stan emocjonalny danej postaci, a nawet jej forma życia. Ale to nie jest gmatwanina myśli, raczej formuła przeznaczona do rozszyfrowania, którą Blecher dostrzegł i uchwycił. W ten sposób pisarz konfrontuje nas z trudnym do przyjęcia faktem – że to, co wydawało się trwałe, jest tak naprawdę kruche i błyskawicznie może rozpaść się na drobne kawałki, to zaś, co braliśmy za utrudę, staje się namacalne,

dotkliwie, istnieje i nie chce zniknąć, często wbrew naszej woli.

Śmierć codziennego użytku

Zadebiutował w 1930 r. opowiadaniem (sceną z Berck) pt. „Herrant”. Cztery lata później ukazał się tom wierszy pt. „Przezroczyście ciało”. Najważniejsze rzeczy napisał po powrocie do Roman. Został do tego zmuszony w 1935 r. Wieloletnie leczenie w zagranicznych placówkach okazało się dla rodziny za drogie. W domu mógł przynajmniej przyjmować przyjaciół, przede wszystkim innych autorów, których zapraszał do siebie, by prowadzić niekończące się dialogi o literaturze. Ale nie trwonił czasu, wiedział, że ma go bardzo mało, więc inne kontakty ograniczał do minimum, by jak najwięcej tworzyć.

Uważał, że pisarz, choć nie ma wpływu na bieg wielkich zdarzeń historycznych, choć nie jest słuchany przez ogół społeczeństwa, nie może ignorować zmian cywilizacyjnych. Powinien rozumieć ducha czasów i znać tło, na którym rozgrywa się jego indywidualny dramat lub prywatna komedia. Sympatyzował z młodym pokoleniem, przyklaskiwał wszystkim zbuntowanym, wspierał ich walkę z kulturalnym i politycznym establishmentem, jednak dla siebie rezerwował miejsce ponad podziałami, z dala od centrum.

W styczniu 1936 r. wydał „Zdarzenia w bliskiej nierzeczywistości”, rodzaj pamiętnika z okresu dojrzewania, przepelnionego zmysłowością, przywoływaną z pamięci i przeżywaną już niemal wyłącznie na sposób wirtualny, co nie znaczy, że mniej intensywny.

Książka została dobrze przyjęta. Jego przyjaciele dołożyli starań, by dotarła do szerszego kręgu odbiorców. Nad kolejnym dziełem pracował niemal gorączkowo. Myśl o śmierci nie była obojętnością, co podkreślali odwiedzający go ludzie, ale nie ignorował jej. Mihaíl Sebastian, świetny dramaturg i powieściopisarz, po wizycie u Maksa we wrześniu 1936 r. zanotował w dzienniku, że „żyje [on] całkowicie pogodzony ze śmiercią. Nie jest to śmierć abstrakcyjna, wydumana, odległa. Jego śmierć jest konkretna, nieodwołalna, znana w każdym szczególe, niczym rzecz codziennego użytku. Skąd u niego ta odwaga, aby jeszcze żyć? Co go podtrzymuje na duchu? Nie jest nawet zrozpaczony. Nie rozu-

miał tego, przynajmniej, że nie rozumiem” (tłum. Jerzy Kotliński).

Nikt tego nie rozumiał, choć odpowiedź znajdowała się na wyciągnięcie ręki, w kolejnych tekstach Blechera. Planował napisać tryptyk uzdrowiskowy. Ostatecznie druga powieść – opublikowana w 1937 r. „Zabliźnione serca” – opowiada o jego przetransponowanych doświadczeniach z Berck. Ciało już niemal całkowicie odmówiło posłuszeństwa. Tego samego roku, po powrocie z kilkumiesięcznej hospitalizacji w Bukareszcie, zaczął układać dziennik sanatoryjny, którego fragmenty ukazały się niemal dziesięć lat po jego śmierci w 1947, a pełna wersja zatytułowana „Rozświetlona jama” dopiero w 1971 r. Do publikacji doszło dzięki staraniom Sasy Pany, lekarza i pisarza, który Maksa wprost uwielbiał.

Jak narysować ból

Blecher był również utalentowany malarz. Tworzył portrety, martwe natury, dużo rysował. Zdaje się, że twórczość wizualna była dla niego sposobem na ekspresję najbardziej negatywnych emocji, których nie znajdziemy w tekstach. Część jego prac, ze względu na ich wydzźwięk, rodzice ukrywali przed rodzeństwem Maksa. Dora, siostra pisarza, zobaczyła je dopiero w 1946 r. Była przerażona. Każdy rysunek stanowił inscenizację wybuchu destrukcyjnych sił – potężnych, nieopanowanych, biorących w posiadanie drobne i bezradne postaci.

W udzielonym po latach wywiadzie Dora zwróciła uwagę na rozwój jego świadomości. Według niej spokój przyszedł dopiero w drugiej fazie choroby. Początkowo Max podlegał tak wielkim przeciążeniom fizycznym i wstrząsom emocjonalnym, że jego umysł poszukiwał pocieszenia niemal we wszystkim. Z francuskiego sanatorium wysłał do ojca list z prośbą, by zakopał fragment kręgosłupa, który był przechowywany w rodzinnym domu w szafce na książki wraz z innymi rekwizytami młodego adepta studiów medycznych.

Blecher zdawał się wierzyć, że choroba ustąpi, jeśli tylko odda ziemi kręgi, część szkieletu prawdziwego człowieka, którego duch nie zazna spokoju tak długo, jak długo jego pośmiertna forma będzie niekompletna. Najbliżej uznali, że strach przed chorobą i śmiercią pomieszał mu



MUZEUM NACJONAL AL LITERATURII ROMANE

Max Blecher, ok. 1935 r.

zmysły i zmienił w człowieka zabobonnego. Pisarz niczego im nie wyjaśnił. Miał swoje powody i konsekwentnie działał w zgodzie z nimi.

Według Dory Max padł ofiarą niekompetencji lekarzy. Wiązała jego problemy zdrowotne z wypadkiem, któremu uległ za młodu podczas meczu piłkarskiego. Kolega przejechał mu butem po plecach, zadając głęboką ranę. Niewystarczająco zdezynfekowane cięcie stało się początkiem rozległej podskórnej infekcji, która ostatecznie zaatakowała kręgosłup.

Rzeczywistość pod skórą

W „Rozświetlonej jamie” znajduje się niesamowita, złożona z trzech części, wizja. Zaczyna się od wspomnień. Dla człowieka unieruchomionego przeszłość nie znika, nie jest nawet do końca przeszłością. Gdy w głowie chorego siłują się ze sobą to, co minione, i to, co aktualne, teraźniejszość zawsze oddaje pole przeszłości, tak że nie wiadomo, co jest czym.

Kiedyś Max mógł biegać z kolegami po boisku. Jego ciało nie знаło ograniczeń, które teraz niejako wzmacniają grawitację i czynią go niemal całkowicie niemobilnym. Po tym passusie Blecher zaznacza, że zdarza mu się słyszeć dudnienie swojej krwi. „W chwili, gdy piszę, ciemnymi kanalikami, w bstrych węzowatych rzeczułkach, przez

mroczne jamy wydrążone w ciele, rytmizowanym pulsem przelewa się z drobnym gulgotem w noc ciała, krążąc przez tkanki, nerwy i kości, moja krew. W ciemnościach krew płynie jak mapa z tysiącami rzeczek przez setki tysięcy rur, i jeśli wyobrażam sobie, że jestem dość małej, by kursować tratwą na jednej z tych arterii, huk płynu niosącego mnie wartko wypełnia mi głowę ogromnym dudnieniem, w którym na tle fal wyróżniają się pełne uderzenia pulsu, niczym uderzenia w gong” (tłum. Joanna Kornaś-Warwas).

Max widzi wszystkie istnienia, nie tylko ludzkie, jako pozbawioną ciała (cielesnej powłoki) strukturę żył i tętnic, nieskończoną pajęczynę arterii pompujących życiodajną krew. Nie jest to wizja fantastyczna. Blecher uważa, że właśnie tak wygląda jeden z wymiarów istnienia, ukryty przed naszym spojrzeniem, ale na wskroś prawdziwy: „To świat czystej krwi, świat istot z tętnic i włóknistych ciał, świat, którego sobie nie wyobrażam, lecz który istnieje taki, jakim go widzę pod skórą ludzi i wszystkich zwierząt. W chwili, gdy piszę i kiedy o nim myślę”.

Kolejny obraz, naturalnie kiełkujący z poprzedniego, staje się dla pisarza źródłem przerażenia. Tak jak przypadkowo splecione są obiegi krwi, tak też – bez żadnego porządku – stykają

się ze sobą ludzie, zwierzęta, budynki, kamienie, drzewa, książki na półce, słowem – atomy. Ich współobecność jawi się Blecherowi jako całkowicie przypadkowa. Tym właśnie jest niezróżnicowana materia życia, szary bełt, który na co dzień przeoczymy, by nie stracić poczucia rzeczywistości i nie zgubić się w płątaniu drobin. Jednak człowiek dotknięty chorobą percypuje inaczej. Kiedy dostrzega całe to mrowie zdarzeń i bytów, zaczyna przeżywać swoje istnienie jako „bezszałałość w masie wydarzeń świata”.

Co można zrobić w takiej sytuacji i z takim doświadczeniem? Nasza świadomość może rozświetlić jakiś wycinek bezkresnej rzeczywistości i uczynić z niego niepewne, ale wciąż pożądane miejsce schronienia. Chyba niczego Blecher nie pożądał tak bardzo, jak kryjówek dostępnych wyłącznie dla niego. W „Zdarzeniach...” źródłem ukojenia jest rozświetlona podziemna jama. To nie jest nowa wersja jaskini Platona, w której oglądamy grę cieni i pozorów, nie mając dostępu do prawdy. W świecie Blechera – powtarzam – prawdziwa jest wyłącznie materia. Człowiek jako jedyny spośród wszystkich atomów wszechświata, znikomy i kruchy, potrafi nadawać jej sens, może przypisać znaczenie sobie, innym ludziom, zdarzeniom etc. Niby nic to nie zmienia, a jednak dla Blechera było wartością bezwzględną, gdy naprzeciw pojawiał się drugi człowiek.

Właśnie dlatego w ostatnich miesiącach przed śmiercią, wybudzając się z wywołanego środkami przeciwbólowymi letargu jedynie na kilka godzin dziennie, kontynuował pisanie. Żył nadzieję, że pozostawione na papierze krzywe linie będą miały sens dla nieznanym mu czytelników, że ten list w butelce do kogoś dotrze i stanie się dla niego ważny. Trzeba specyficznej wrażliwości, by pojąć, że istotą naszej egzystencji jest właśnie to: (nie)możliwość spotkania.

© GRZEGORZ JANKOWICZ



Max Blecher, **DZIEŁA ZBRANE**, tłum. Joanna Kornaś-Warwas, PIW, Warszawa 2025.

Ucieczka w mrok

ANITA PIOTROWSKA

FESTIWAL | Noc to rodzaj ciemnego zwierciadła i prowokacji, która każe spojrzeć z ukosa na zastygłe zjawiska społeczne czy kulturowe. Również w kinie.

NOWOJORSKI MALARZ EDWARD HOPPER nazywał ich „nocnymi jastrzębiami” – raczej nie miał na myśli pracujących po nocach „sów”. W naszym swojskim tłumaczeniu występują jako „nocne marki”, według polskiego słownika frazeologicznego bliższe marom, zjawom, pokutującym duszom. Choć przecież to ludzie z krwi i kości, z rozmaitych przyczyn żyjący pełnią życia dopiero po zmroku.

Właśnie im, ćmom barowym, balangowiczom, różnej maści uciekinierom (albo wygnańcom) z życia i systemu, poświęcony został jeden z ciekawszych przeglądów 25. festiwalu BNP Paribas Nowe Horyzonty. Wbrew wcześniejszym zapowiedziom, „Istoty nocy” to nie jest brytyjska „sekcja imprezowa”, a na pewno nie jedynie. Stanowi przypis do ostatnich kilku dekad w historii Zjednoczonego Królestwa. Jej ciemniejszy, a jednocześnie bardziej kolorowy rewers, z wyraźnym kontekstem społecznym, muzycznym i rasowym.

Kuratorzy przeglądu, Ewa Szabłowska i Tomasz Zygo, wybrali tytuły czasem luźno związane z tematem, niektóre już klasyczne dla kinematografii Wielkiej



Brytanii, inne mniej znane czy dopiero u nas odkrywane. I nawet jeśli zdążyły się zestarzeć – w swoim buncie czy stylizacji – dostarczają czegoś w rodzaju dokumentacji swoich czasów. Jak choćby legendarny „Jubileusz” (1978) Dereka Jarmana, szalony i mocno queerowy pamflet na ojczyznę, nakręcony „z okazji” 25-lecia intronizacji Elżbiety II. Do Londynu trafia wówczas przeniesiona w czasie XVI-wieczna Królowa Dziewica i to jej oczyma oglądamy dystopię o upadłym królestwie. Prawie pół wieku temu powstał portret kraju opanowanego przez plastikową kulturę, sprzedajne media i brunatniejące poglądy, ale i przez nihilistyczny, czysto destrukcyjny bunt, który sprawia, że nie już tutaj „nie ma przyszłości”. Zwłaszcza inna estetyka czy wrażliwość.

Dlatego w niemal każdym z filmów tego cyklu barwny nocny ptak musi spotkać na swej drodze brutalnego, zazwyczaj białego gliniarza. Na przykład w „Młodych, czarnych, zbuntowanych” (1991) Isaaca Juliána, gdzie Londyn przygotowuje się do tej samej jubileuszowej fety. Na parkietach króluje disco, w podziemiach rządzi pogo, na ulicach portrety królowej i podkute glany, a tymczasem dwóch czarnoskórych chłopaków próbuje zrobić karierę didżejską. Okazuje się jednak, że są „za mało angielscy”, by grać w klubach czy na antenie, w dodatku jeden z nich jest gejem.

W rytm garażowego brit funku, w cieniu zbrodni popełnionej w parku pod osłoną nocy, oglądamy tworzenie się al-

ternatywnej kultury muzycznej, powiązanej z rasą, klasą czy seksualnością, łączącej rozmaite kulturowe wpływy. Ten swoisty „Babylon” ożywa pod takim właśnie tytułem w filmie z 1980 r. W surowej, paradokumentalnej konwencji Franco Rosso odtworzył muzyczny ferment wybuchający w południowym Londynie, wyrosły z silnej afrokaraimskiej tożsamości. Niesforne chłopaki z dreadami zakłócają „muzyką dżungli” spokojny sen białych obywateli, przypominając o swoim istnieniu i o własnym języku ekspresji.

Dekadę później na cenzurowanym znajdują się inne „istoty nocy” – uczestnicy spontanicznych rave’ów, zdelegalizowanych przez torysów w 1994 r. Opowiada o tym film „Beats” (2019) Briana Welsha, niepozabawiona nostalgiczno-romantycznej otoczki wyprawa do złotych czasów techno i całej inspirowanej nim subkultury. W postindustrialnych przestrzeniach (lata 80. na Wyspach to postępujący upadek wielkiego przemysłu), w rytm transowo powtarzanych bitów, często pod wpływem substancji psychoaktywnych, młodzi ludzie znajdowali chwilową ucieczkę przed zewnętrznym światem – bezrobociem, przemocą, brakiem perspektyw czy wyścigiem szczurów. Tak jak tych dwóch wrażliwych nastolatków ze szkockiego blokowiska, którzy poszli w noc gęstą i niebezpieczną, aczkolwiek do innych niepodobną.

Bohaterowie „Nagich” (1993) Mike’a Leigh mogli kiedyś załapać się na cało-

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
głoszą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Śluchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



ROBBIE RYAN / MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

nocny rave, lecz z czasem utknęli w pułapkach dorosłości. To właściwie „noc żywych trupów”, kiedy John (wiekopomna rola młodego Davida Thewlisa) wałęsa się po Londynie w poszukiwaniu nie wiedzieć czego. A może ów samozwańczy filozof po prostu żeruje na innych nocnych istotach, przeraźliwie samotnych, uwięzionych w swoich funkcjach czy w bytowej prowizorce.

Cierpki humor tego filmu nie jest w stanie rozbroić ładunku brutalności, jaki niesie ze sobą postać bezrobotnego inteligenta. Na każdym kroku wygłasza apokaliptyczne przepowiednie i, niczym lokalny Adaś Miauczyński, niszczy wszystkich, ze sobą włącznie, swoim cynizmem, zjadliwą ironią, z ostrym dodatkowym seksualnej przemocy. Swego czasu w tej ponurej odysei widziano głównie krytykę po-thatcherowskich stosunków międzyludzkich. Dziś społeczne rozbitcie nabiera charakteru szerszego – spełnionych milenijnych lęków o postępującej atomizacji, kiedy to wirtualne formy życia zastąpią „pójście w noc” i hoppe-rowską melancholię.

Jej powidoki odnajdziemy jeszcze w „Nocnej zmianie” (1981) Robiny Rose, godzinnej miniaturze o klimatycznym londyńskim hoteliku. Z punktu widzenia posągowej recepcjonistki, zagranej przez Jordan, ikonę stylu punk (wystąpiła też w „Jubileuszu”), oglądamy dziwną klientelę „Portobello”: dystyngowane damy, rozrywkowych muzyków, drobnych biznesmenów i... nocne zjawy.

Brakuje tylko Iris z „Nagiej duszy” (1997), zagranej przez debiutującą Samanthę Morton. W wyzywającej peruce, futrze i okularach po zmarłej matce przemierza miasto szukając okazji na jedną noc. A tak naprawdę bliskości, która ukołoby jej żalobę i wyleczyła z kompleksów. Tymczasem coraz bardziej stracące zachowania czynią z niej rodzinno-towarzystwą czarną owcę i trochę szkoda, że reżyserka zbyt pochopnie ruszyła ku niej z asekuracją i wyciągnęła na światło dzienne. Bowiem najciekawszą cechą filmowych „istot” jest ich nieprzewidywalność w nocnym żywiole i jego ciągłe zderzanie się z porządkiem dziennym. Noc stanowi rodzaj ciemnego zwierciadła, ale także anarchizującej prowokacji, która każe spojrzeć z ukosa na zastygłe zjawiska społeczne i kulturowe.

Współczesnym domknięciem tego cyklu będą dwa nowe filmy brytyjskie: „Łobuz”, czyli reżyserski debiut aktora Harrisa Dickinsona, znanego z „Baby Girl” czy „W trójkącie”, oraz „Bird” Andrei Arnold, o którym napiszę więcej już za chwilę, przy okazji jego wejścia na polskie ekrany. ©

Istoty nocy
– przegląd filmów brytyjskich na 25. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym BNP Paribas Nowe Horyzonty, 17–27 lipca Wrocław, 17 lipca – 3 sierpnia online.

Nowe Horyzonty
stały się ważnym wydarzeniem, gromadzącym tysiące widzów, nie tylko z Polski.

Jego centrum to kino
Nowe Horyzonty, całoroczny multipleks z repertuarem studyjnym.

Kadr z filmu „Bird”

Lektor: Migotliwa tożsamość



■ *Virginia Woolf*
ORLANDO. BIOGRAFIA
Przełożyła Aga Zano.
Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2025, ss. 320.

KSIĄŻKA WIELKIEJ URODY I LEKKOŚCI, PODEJMUJĄCA grę z tradycyjnym gatunkiem, jakim jest solidna, udokumentowana biografia (jest tu nawet przedmowa z długą listą podziękowań), wyprzedzająca swoje czasy ujęciem tematu tożsamości płciowej. No i będąca „najdłuższym i najbardziej ujmującym listem miłosnym w dziejach literatury”. Adresatka listu, wymieniona w dedykacji, to pisarka Vita Sackville-West, którą z Virginią Woolf połączył płomienny romans, autorem zaś zacytowanego określenia był syn Vity, Nigel Nicolson. Dodać trzeba od razu, że Vita była „Orlandem” zachwycona.

Vita to adresatka listu – ale i w pewnej mierze pierwowzór bohatera/bohaterki powieści. Choć Orlanda poznajemy jako wielkiej urody młodzieńca, który królowej Elżbiecie Tudor odwiedzającej siedzibę jego rodu podaje miseczkę z wodą różaną do obmycia palców, a zmienia on płęć wiele lat później, mniej więcej w połowie książki – no ale Vita nie przeżyła przecież także czterystu lat... Za to Knole, elżbietowska rezydencja Sackville’ów, odgrywa w powieści istotną rolę. Podobnie jak Konstantynopol, dokąd Orlando trafia jako ambasador króla Karola. I znów – dyplomata, także m.in. w Stambule, był mąż Vity, Harold Nicolson.

Mnóstwo tu mniej lub bardziej ukrytych aluzji, ironii (na przykład w stosunku do epoki wiktoriańskiej), humoru i refleksji obyczajowej. Rytm powikłanej opowieści czasem mocno przyspiesza, jakby ktoś przewijał taśmę filmową, nagrywaną jakimś cudem przez kilka wieków. Zwłaszcza finał, kiedy już docieramy do współczesności Virginii i Vity, niemal galopuje. Akcja kończy się wraz z wybiciem zegara „w czwartek 11 października roku 1928”.

To trzeci polski przekład „Orlanda”, w 1994 r. ukazały się aż dwa: Tomasz Bieronia i Władysław Wójcika. Aga Zano we wstępie ciekawie i szczegółowo tłumaczy swoją strategię translatorską i niektóre decyzje – np. bohater po zmianie płci nie zmienia, jak u Bieronia, imienia na Orlandę. A w tekście umieszczono ilustracje, stanowiące element gry, do jakiej zaprasza nas autorka.

Tamte przekłady miały zapewne związek z ekranizacją powieści, dokonaną w 1992 r. przez Sally Potter. W postaci tytułową wspaniale wcieliła się wtedy Tilda Swinton. A rozmowę z tą niezwykłą aktorką – choć nie o „Orlandzie” – znajadą Państwo w tym numerze „Tygodnika”. Zachęcam do czytania! ©©

PAWEŁ

Bravo:

Ale żeby z jogurtem?



IWY TEGO NIEDŹWIEDZIA TAK GOŁYMI rękami dusicie, kiedy zastąpi wam drogę w środku miasta? I co pani powie, myjcie nogi nawet w zimie? Myślałam, że nie, bo wam woda w balii zamarza. Fascynujące. Szkoda, że nagrania na TikToku muszą być takie

krótkie, bo bardzo brytyjska pani prowadząca pogawędkę po meczu z radosną Igą Świątek nie miała dość czasu, by rozwinąć pawie ogony wyższości na wieść o tym, co tenisistka ma ochotę zjeść. Makaron z truskawkami? *How strange*. Nie wiem, jak to jest z angielskim trawnikiem, te rzekomo 400 lat koszenia wydaje mi się mitem, byle szejek na swojej pustyni za dużą górę złota może sobie taki w parę miesięcy kupić i utrzymać w dobrej formie. Ale na pewno trzeba wielu pokoleń nasączanych jak biszkopt rumem bezbrzeżną imperialną dumą, by móc osiągnąć niepodrabialną krzywiznę ust, wygiętych w uśmiech z lekka tylko (wyrazistość jest zbyt plebejska) ironiczny. Trochę życzliwy, a zarazem bezwzględnie dystansujący. Twardszy od pałki, jaką kolonialny policjant ma w gotowości, gdyby dzikus przekroczył granice uprzejmej konwersacji.

A przecież osoba pełniąca rolę dzikuski w tym dialogu dopiero co wykazała niebotyczną zręczność w szalenie cywilizowanym sporcie. Tak cywilizowanym, że nadal na kort wolno wyjść tylko na biało, z wyjątkiem kolorowego paseczka wzdłuż szwu, nie szerszego jednak niż 10 milimetrów. Przy czym przepisy Wimbledonu są niezłomne: „biały nie obejmuje kremowego”. *Cream* to sobie możecie, drogie Polki, połączyć na te truskawki z makaronem, choć na wtrącone pytanie łaskawej pani, czy ten makaron to właśnie jada ze śmietaną (tu należy docenić jej przytomność w skojarzeniu, jak mianowicie takie barbarzyńskie jadlo mogłoby wyglądać) Iga Świątek odrzekła coś, czego moja polska połowa duszy nie może do dzisiaj zaakceptować: z jogurtem.

Rozumiem, że wybitna sportowczyni (no bo nie „sportsmenka”, *men* w tym feminytywie zaiste upokarza) dba o każdą kalorię i chce dawać dobry, chudy przykład. No ale jednak to musi być uczciwa polska kwaśna śmietana osiemnastka, jej kwaskowość dobrze równoważy się z cukrem, którego przecież też nie może w tym sosie zabraknąć. No i twarogu. To wspinała zastosowanie naszego najprawdziwiej narodowego sera. Pokruszone widelcem grudki dają potrawie odrobinę struktury, przez co nie jest tak całkowicie gładką na podniebieniu breją. Ale breją w dużym stopniu musi jednak pozostać, zazwyczaj „smaki dzieciństwa” nie kojarzą się z wyrafinowanymi fakturami i molekularną pentatoniką.



ROBERT PRANGE / GETTY IMAGES

Z własnego dzieciństwa nie pamiętam tego dania, tylko zupy owocowe, których żadna terapia nie wymaże. Ale że to ma być breja, zrozumiałem, kiedy dowcipny niewątpliwie los zetknął mnie z nieodżałowanym Piotrem Bikontem, który akurat kompletował grupę desperatów mających na potrzeby jego gazetowej rubryki zrecenzować warszawskie bary mleczne. A były to głębokie lata 90., faza smuty w tym segmencie gastronomii, hipsterzy, którzy wylansowali potem nowe oblicze barów, ze stołecznym Prasowym na czele, dopiero się rodzili.

Nastroje w ekipie były trochę wisielcze, trochę wręcz wywrotowe, ot grupa śródładowych piratów, dzentelmeneli gotowych na wszystko, byleby zaśluzić na obiecany potem obiad w jakiejś prestiżowej restauracji. I też grupa wesółków, skoro trafił się wśród nich makaroniarz, zdecydowała w ramach podziału zadań, że będę testował w każdej placówce właśnie makaron z truskawkami. Mieli niezły ubaw z mojej miny zbitego psa, bo wówczas tkwiłem w młodzieńczym przekonaniu, że każdej substancji w porządku świata przypada jeden tylko zestaw akcydensów. Byłem zatem fanatycznie przekonany, że godny swego miana makaron musi być sprężysty (nikt jeszcze nie mówił *al dente*), gorący i, broń Boże, nie słodki. Grzebałem więc widelcem w różowawych glutach, błagając kolegów, żeby się zamienili choć raz i dali mi przetestować talerz leniwych. Wstyd mi teraz trochę za tę ciasnotę umysłu. W ostentacyjnym grymaszeniu nie mogłem się skupić na niuansach i kiepski



Iga Świątek po wygranej w Wimbledonie. Londyn, 12 lipca 2025 r.

był ze mnie sędzia. Co prawda owe barowe wykonania były zapewne marne, ale struktura potrawy miała swoją rację bytu w horyzoncie tutejszego jedzenia. Nieraz już pisałem, że pomimo całego otwarcia na świat lubimy jadać miękko, kremowo, zawiesić, zupaisto. Syntetycznie raczej niż analitycznie.

A kiedy się uważniej przyjrzymy, to w różnych kanonicznych kuchniach włoskich znajdziemy trochę wersji makaronu na słodko. Wiele ma charakter świąteczny i bywa teraz ciekawostką, ale nawet przecież sławne *timballo* księcia Saliny w „Gepardzie” zawierało w sobie, oprócz podrobów duszonych w sosie z pieczeni, krem cukierniczy i było, jak wiemy z powieści, szczerze posypane cynamonem i cukrem. Cynamon zwłaszcza, spośród różnych przypraw, dopiero w epoce nowoczesnej stał się „deserowy”, ciastkarski.

Brytyjczycy swoje „narodowe” potrawy, te bez domieszek indyjskich, trzymają pochowane przed światem jeszcze wstydliwiej niż my. Może wspaniała wygrana Igi Świątek na chwilę wyzwoli nas z kompleksów. Jeśli nie trenujecie przed kolejnym Wielkim Szlemem, to jednak dodajcie śmietany, dobrze? I nie żałujcie twarogu.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).



NOEMI TOSCANO / ADOBE STOCK

Postny makaron z Romanii

Dla tożsamości stołowej nowoczesnych Włoch po zjednoczeniu rolę założycielską pełniła, i do dziś jest traktowana jak Biblia, książka Pellegrino Artusiego, przetłumaczona u nas pod tytułem „Włoska sztuka dobrego gotowania” (choć oryginał mówi o „dobrym jedzeniu”). Tamże znajdziemy m.in. przepis na postny makaron z Romanii. Autor pisze, że wielu czytelników uzna go za śmieszny, ale sam wyraża zadowolenie i zapewnia, że dzieciom na pewno posmakuje.

SKŁADNIKI: 320 g spaghetti 200 g wyluskanych orzechów włoskich 200 g bułki tartej 100 g cukru pudru ■ mieszanka sproszkowanego cynamonu i gałki muszkatołowej plus ewentualnie inne przyprawy korzenne, wedle własnego smaku (np. anyż gwiaździsty, ziele angielskie, goździk) ■ oliwa

Siekamy drobno orzechy, mieszamy z cukrem oraz bułką tartą, uprzednio krótko uprażoną na suchej patelni, i z przyprawami. Gotujemy makaron w solidnie osolonej wodzie (sól jest konieczna, by dobrze poczuć słodycz), odcedzamy na patelnię, na której podgrzaliśmy nieco oliwy z mielonym pieprzem, mieszamy, żeby omaścić kluski, wyłączamy ogień, wsypujemy miks orzechowy. Spróbujcie też wariantu, który podpatrzyłem w przepisie na inny, podobny słodki makaron z Lacjum (gdzie dodaje się też kakao): otóż w trakcie prażenia bułki dodajemy do niej sporą ilość świeżo utartej skórki pomarańczowej. Można też po prostu posypać całość skórka na wydaniu. ©©

PSYCHE

CNOTA BEZ ZAKAZÓW

NATASZA SZUTTA, FILOZOFKA:

Etyka cnót nie koncentruje się na zakazach i obowiązkach, lecz na doskonaleniu cech charakteru czy dyspozycji, które warto w sobie rozwijać. Staraj się dorównać obrazowi najlepszej swojej wersji.

PIOTR SIKORA: Słowo „moralizatorstwo” ma wydźwięk negatywny. Moralność kojarzy się najczęściej z tym, co się powinno albo nie powinno robić, a nie z pragnieniem życia szczęśliwego, życia w pełni.

NATASZA SZUTTA: Istnieje filozoficzna koncepcja etyczna – etyka cnót – w której moralność ściśle wiąże się z życiem szczęśliwym, pełnym.

„Cnota”? To nie brzmi zachęcająco...

Nie brzmi, m.in. dzięki ministrowi Czarnkowi, który mówił o „cnotach niewieścich”, co wywołało falę kpin. Ten termin brzmi archaicznie, a jego znaczenie często zredukowane jest do czystości seksualnej rozumianej fizjologicznie. Warto jednak sięgnąć do źródeł tej koncepcji, bez upierania się przy konkretnych terminach.

Zatem o co chodzi tak naprawdę?

Etycy cnót przede wszystkim zakładają, że celem ludzkiego życia jest *eudajmonia*. To pojęcie pochodzi od Arystotelesa i oznacza najpełniejszy rozwój ludzkich potencjalności. W języku angielskim jest termin *human flourishing*, co można tłumaczyć jako rozkwitanie w człowieczeństwie.

Czy to nie jest egoistyczne ujęcie etyki?

Nie, dlaczego? W tej perspektywie ważne jest dostrzeżenie, że interesy sprawcy i adresata działania są rozważane symetrycznie. Wracając do pojęcia „cnoty” – pojmowanego tak, jak rozumiała je niemal cała starożytna i średniowieczna etyka, czyli nabytej i utrwalonej dyspozycji do moralnie dobrego działania – jeśli ja się rozwijam, doskonale swój charakter, rozwijam jego dobre moralnie dyspozycje, ma to pozytywny wpływ zarówno na moje życie, jak i na życie otaczających mnie ludzi.

Starożytność i średniowiecze były dość dawno...

Ale my cały czas odwołujemy się do tych kategorii, nawet jeśli nie nazywamy ich cnotami. Mówimy np.: to jest sprawiedliwy człowiek, ta osoba jest życzliwa, a tamta przyjazna, uczciwa, odważna...

Czegoś jednak nadal nie rozumiem. Najpierw powiedziałaś, że etyka cnót wychodzi się od tego, że celem życia jest rozkwit ludzkich potencjalności i szczęście, a potem, że cnota to dyspozycja do moralnie dobrego działania. Jaki jest związek między jednym i drugim? Czy dyspozycje do działania moralnie dobrego muszą prowadzić do rozwoju moich potencjalności i życia w pełni?

Owszem, możemy się zastanawiać, czy wymiar moralny jest koniecznym wymiarem ludzkiego samodoskonalenia. Można np. pomyśleć o naszym rozkwicie w obszarze czysto intelektualnym – np. wyobrazić sobie genialnego logika czy matematyka, który specjalnie się moralnością nie przejmuje, ale doskonalili się, szlifując swoje intelektualne umiejętności. Ja jednak uważam, że odpowiednia kondycja moralna jest konieczna, by rozwijać się także w tym, wydawałoby się, czysto intelektualnym wymiarze.

Ciekawe, bo myślę, że dość rozpowszechniony jest pogląd, iż moralność może w realizowaniu pełnego, szczęśliwego życia raczej przeszkadzać. Przecież wiąże się ona z ograniczeniami: wielu fajnych, przyjemnych rzeczy i działań zabrania.

Człowiek nie może się rozwijać jako samotna wyspa, lecz tylko w kontakcie z „tym drugim”. Nawet logicy i matematycy pracują dziś zespołowo. A w relacjach interpersonalnych wymiar moralny jest bardzo istotny. Kto chce współpracować z kimś, na kim nie może polegać? Z kimś nieuczciwym, egoistycznym, z kimś, kto myśli tylko o swojej przyjemności, a nie – również – o radości z życia drugiej osoby? Wszystkie relacje w ludzkich zespołach opierają się na moralnie dobrych dyspozycjach ich członków. Nadto wszystkie badania w obszarze psychologii potwierdzają, że warunkiem dobrego życia są głębokie relacje interpersonalne.

Ale jeśli etyka cnót podchodzi do moralności nie od strony nakazów i zakazów, to jak w jej perspektywie wygląda zastanawianie się nad konkretnymi czynami?

Najpierw warto zaznaczyć, że w innych perspektywach etycznych też nie trzeba się ograniczać do pytań: co powinienem? co mi wolno? Można też, trochę po kantowsku, zadawać pytania: czego oczekiwałabym od innych uczestników życia społecznego? Wtedy pojawia się reguła: dobrze jest czynić to, co chciałabym, żeby wszyscy inni wobec mnie czynili, i nie robić tego, czego bym sobie nie życzyła. Dobrze np. dotrzymywać słowa, przyjść na spotkanie, na które się umówiłam, bo chciałabym, żeby inni zachowywali się wobec mnie podobnie. Obowiązki moralne są takie, a nie inne, bo życzyłamby sobie, żeby świat w ogóle tak, a nie inaczej funkcjonował: żeby inni nie kłamali w rozmowie ze mną, byli wobec mnie życzliwi.

Ale etyka cnót nie koncentruje się na obowiązkach, lecz przede wszystkim na doskonaleniu kondycji moralnej – cech charakteru czy dyspozycji, które warto w sobie rozwijać. Trzeba przy tym zauważyć, że nawet w innych podejściach etycznych, np. w utylityzmie (wedle którego moralna wartość działania zależy wyłącznie od tego, czy zwiększa ono, czy zmniejsza ogólną sumę szczęścia), potrzebny jest namysł nad tym, jakie cechy musi posiadać podmiot, który wartość czynów ma oceniać. Co więcej, same ogólne zasady nie zagwarantują moralnie dobrego działania, jeśli osoby, które mają je stosować, posiadają złe intencje i zdeprawowany charakter. Każdy, kto będzie miał złą wolę, poszuka jakichś luk w prawie moralnym.

Z drugiej strony, w perspektywie etyki obowiązków, w której da się sformułować jakąś listę zakazów i nakazów, np. przykazań, łatwo się zorientować, co dobre, a co złe moralnie. W perspektywie etyki cnót nie ma żadnej listy. Skąd mam więc wiedzieć, jakie działania są moralnie dobre, a jakie złe?

Już same poszczególne cnoty są busolami postępowania. Np. życzliwość wyznacza określony sposób postępowania wobec ludzi: nie będę ich okłamywać, snuć intryg. Jeśli kształtuję w sobie cnotę pomocności, to nie zostawię bez pomocy człowieka w potrzebie. Dodatkowo, w etyce cnót centralną →

→ rolę pełni mądrość praktyczna, roztropność. Jest to, można powiedzieć, cnota cnót. Nie każdy, kto prosi mnie o pomoc, powinien tę pomoc otrzymać. Jeśli o pomoc prosi mnie paser, bo wie, że mam wolne pomieszczenie, w którym mogłabym przechować skradzione towary, to jemu nie pomogę. Człowiek cnotliwy – czyli także roztropny – nie jest życzliwym naiwniakiem.

Ale skąd mam wiedzieć, które dyspozycje do działania, jak na początku nazwałabym cnoty, mam rozwijać?

Katalogi cnót są bardzo bogate.

Ale skąd się wzięły takie a nie inne katalogi?

Z długiej tradycji namysłu etycznego. Jedną z argumentacji odwołuje się do pytania: w środowisku jakich ludzi chciałbyś żyć? Życzliwych, sprawiedliwych, odważnych, roztropnych, gotowych do pomocy? Czy egoistycznych, kłamliwych, tchórzliwych, pozbawionych samokontroli? Pokaż mi kogoś, kto wolałby żyć w tym drugim środowisku. Ludzie wolą to pierwsze, bo mogą w nim pięknie żyć i rozkwitać, co daje satysfakcję i radość w życiu. Z drugiej strony – nie ma w tym nic egoistycznego, bo nie przychodzi mi do głowy żadna cnota, która zakładałaby, że realizacja mojego dobra jest ważniejsza niż dobra adresatów moich działań. Co najwyżej są uważane za równie ważne. Weźmy np. życzliwość, gotowość do pomocy, odwagę – ewidentnie dobro adresata działania jest w ich przypadku na pierwszym planie.

Jednak człowiek niemoralny żyjący w środowisku ludzi cnotliwych mógłby mieć lepsze życie, wykorzystując cnotliwość innych.

Tylko dopóty, dopóki nie zostałyby zdemaskowany – wówczas zostałyby zepchnięty na margines. A jak możliwy jest rozwój, wzrost, eudajmonia, tj. życie spełnione, gdy żyje się cały czas w przyzajeniu, w lęku, że się zostanie zdemaskowanym?

Rozróżniłaś tu korzyści od rozwoju.

Oczywiście – weźmy choćby sferę akademicką. Można popełniać plagiaty albo korzystać z innych nieuczciwych praktyk akademickich i dzięki nim szybciej piąć się po szczeblach kariery, zdobywać stopnie i tytuły, ale to nie jest prawdziwy rozwój naukowy. Taka osoba się nie rozwija, bo jej działalność nie ma nic wspólnego z prowadzeniem rzetelnych badań. Po drugie, taka kariera cały czas jest zagrożona – gdy ktoś odkryje plagiat, wszystko runie.

Można jednak znaleźć sporo przykładów ludzi sukcesu – podziwianych, bogatych, wpływowych, żyjących pełnią życia – których trudno uznać za cnotliwych w sensie, o którym mówisz.

To zależy, co uznamy za pełnię życia. Czy luksusowe dobra materialne i władzę, czy też życie w spokoju sumienia, świadomość, że żyje życiem, na które zapracowałam, wśród ludzi, którzy są mi życzliwi, na których mogę polegać, spełnienie pod

Cnoty są busolami postępowania, a w etyce cnót centralną rolę pełni mądrość praktyczna, roztropność.

**Człowiek cnotliwy
– czyli także roztropny – nie jest
życzliwym naiwniakiem.**

względem rodzinnym i zawodowym – czy to nie daje głębszego szczęścia i nie uwalnia od potrzeby społecznego podziwu i luksusów materialnych?

A jeśli ktoś potrzebuje luksusu, wpływów, bycia podziwianym, co może mu zaoferować etyka cnót? Hmm... Rzeczywiście, jeśli ktoś ma np. potrzebę znajdowania się na szczycie sfer politycznych, to trudno

mu będzie realizować wiele cnót etycznych. W polityce, niezależnie od strony sporu, często widać mijanie się z prawdą, skłonność do manipulacji i intryg. Wątpię jednak, czy ci ludzie rzeczywiście czują się spełnieni. Czy walka o podporządkowanie sobie innych, polityczne gierki, manipulacje, fałsz – czy to ich nie niszczy psychicznie. Czy możesz być szczęśliwy, obracając się wśród ludzi, którzy wydawali się przyjaciółmi, z którymi np. zakładaliście wspólnie partię, a po jakimś czasie czyhają na ciebie i wykorzystują cię dla swoich celów?

Jak zatem ktoś wychowany w moralności skupionej na obowiązkach, zakazach i nakazach, mógłby przestawić się na etykę cnót, moralność opartą na dyspozycjach? Jak rozwijać w sobie te cnoty, zwłaszcza ową mądrość praktyczną?

Po pierwsze, zasadniczo lubimy o sobie myśleć jako o osobach życzliwych, pomocnych, odważnych – czyli cnotliwych. Chcemy, by inni nas w taki sposób postrzegali, chcemy takimi być. Można więc powiedzieć: staraj się dorównać obrazowi najlepszej swojej wersji, staraj się tak działać, żeby do tego obrazu się przybliżać. Gdy widzisz, że kogoś krzywdzą, a chciałbyś uchronić za odważnego i pomocnego – nie bądź obojętny, nie milcz, stań w obronie.

No dobrze. Stoję na przystanku późnym wieczorem i widzę, że kilku mężczyzn kogoś napadło. Ceniąc odwagę, mam chęć rzucić się napadniętemu na pomoc. Ale przecież mam rodzinę – co z nią będzie, jeśli dostanę cios nożem? Co mi radzi etyka cnót?

Etyka cnót mówi, że cnota znajduje się pomiędzy skrajnościami. Odwaga jest właściwą miarą pomiędzy tchórzostwem a brawurą. Działanie cnotliwe to działanie na swoją miarę, którą trzeba znać. Niekoniecznie więc musisz rzucać się do walki, ale możesz zrobić hałas, zadzwonić na policję, aktywizować innych, by wspólnie pomóc – ważne, byś nie pozostał obojętny i działał w sposób odpowiedni do swoich możliwości. Nie musisz stać się bohaterem, ale możesz podejmować małe działania, które są krokami realizującymi i rozwijającymi odwagę.

Skąd mam wiedzieć, gdzie leży środek pomiędzy skrajnościami? Jak wychowywać dzieci w takim podejściu etycznym, które nie postuluje się zbiorem reguł moralnych?

Myślę, że wiele działań wychowawczych jest w naturalny sposób zgodnych z etyką cnót. Jeśli próbowałbyś zmuszać dzieci do zachowań zgodnych z pewnymi regułami, a sam postępo-

wałbyś odwrotnie, nie byłoby to skuteczne. Musisz wychowywać przez osobisty przykład – modelowanie to podstawowa metoda wychowawcza w etyce cnót.

Czyli trzeba sobie znaleźć przykłady ludzi moralnych i je naśladować?

Tak, ale mądrze, nie ślepo papugować. Etyka cnót jest w tym sensie skrojona na miarę konkretnego człowieka. Odwaga, o której mówiliśmy, inaczej przejawia się w życiu dorosłego, np. ojca, a inaczej w życiu dziecka. W trakcie napadu ulicznego inaczej zareaguje odważna osoba trenująca sztuki walki, a inaczej taka drobna kobieta jak ja. Każdy musi uczyć się rozpoznawać racje moralne i odpowiednio do swoich możliwości i umiejętności na nie reagować.

Czy to nie jest relatywizm?

Nie użyłabym tego określenia. Oczekiwanie innych reakcji od dziecka, a innych od dorosłego, wiąże się z rozpoznaniem, że obiektywnie mają różne umiejętności. Jest coś wspólnego – nikt nie powinien być obojętny na krzywdę, ale żeby jej skutecznie przeciwdziałać, każdy musi działać zgodnie ze swoimi możliwościami. Dopasowujemy działania nie tylko do tego, kto działa, ale także do adresata działań. Inaczej pomagamy bliskim, z którymi pozostajemy w trwałej relacji, a inaczej obcym. Choć wobec nikogo nie pozostajemy obojętni.

Co więcej, w wychowaniu etycznym w perspektywie etyki cnót ważne jest też pokazywanie konsekwencji działania i kształtowanie siły woli i samokontroli. Ta zdolność jest konieczna do samodoskonalenia. Etyka cnót bardzo koreluje z odkryciami współczesnych badań empirycznych, zwłaszcza w psychologii i pedagogice.

Współczesna psychologia mówi wiele o wartości emocji, spontaniczności...

A także o tym, że ważne jest, by reakcje emocjonalne były proporcjonalne do okoliczności. I tu ujawnia się zgodność z tradycyjną etyczną cnotą umiaru. Zauważ, jak ważne jest, by drobne trudności nie wywoływały w nas skrajnych emocji – jeśli będziesz reagował rozpaczą na niewielką stratę, jaka emocja pozostanie ci w sytuacji prawdziwego nieszczęścia? Podobnie z emocjami pozytywnymi – oczekiwanie, by stale przeżywać stany euforyczne, nie może zostać spełnione w życiu i nie prowadzi do szczęścia.

Zatem człowiek cnotliwy nie ma silnych emocji?

Niekoniecznie. W odpowiednich sytuacjach przeżywa silne emocje, ale zasadniczo potrafi je kontrolować. Wiele problemów w życiu bierze się stąd, że zachwyca nas coś, co nie za-



MATERIAŁY PRASOWE UNIWERSYTETU GDAŃSKIEGO

DR HAB. NATASZA SZUTTA jest profesorem filozofii Uniwersytetu Gdańskiego. Bierze udział w pracach międzynarodowych zespołów badawczych rozwijających współczesną etykę cnót, jest współredaktorką czasopisma i portalu „Filozofuj”.

sługuje na zachwyty, albo dobija coś, czego trudności właściwie nie oceniłiśmy.

A jeśli jestem na zachwycającym koncercie albo w zachwycających górach?

To się zachwycaj. Nie oczekuj jednak, że coś albo ktoś, np. bliski ci człowiek, będzie cię bezustannie zachwycał. Bo będziesz prawdopodobnie wiecznie niezadowolony.

Wróćmy jeszcze do kwestii rozwoju i eudajmonii – rozkwitu jako celu etycznego życia. Często ludzie z powodu okoliczności życiowych, ograniczonego czasu i możliwości muszą rezygnować z rozwoju jakichś swoich zdolności – ze względu na rozwijanie innych. Ktoś może mieć talent sportowy i muzyczny zarazem, ale kariera muzyka jest nie do pogodzenia z karierą sportowca. Co wtedy z eudajmonią, pełnią rozwoju?

Eudajmonia ma zarówno wymiary subiektywne, jak i obiektywne. Po pierwsze, trzeba uważnie obserwować siebie, zauważać swoje mocne i słabe strony. I niewątpliwie, są momenty, w których trzeba dokonywać trudnych wyborów. Nikt ci jednak nie powie, co masz wybrać – życie sportowca, muzyka czy filozofa. Etyka cnót kładzie nacisk na konieczność twojej własnej decyzji. Trzeba też czytać rzeczywistość, obserwować, jak świat odpowiada na moje próby doskonalenia się w jakimś kierunku. Cnoty pomagają w dokonywaniu najlepszych wyborów. Cierpliwość nie pozwala rezygnować przy pierwszym niepowodzeniu, ale umiar podpowiada: nie wal głową w mur, gdy wszystko mówi ci, że to nie jest twoja droga, to nie jest ten człowiek, to nie jest ten kierunek życia.

Z drugiej strony możemy powiedzieć, co obiektywnie eudajmonią nie jest: to, co niszczy mnie jako człowieka – co zabija moją autonomię, ogranicza mnie intelektualnie, wyniszcza emocjonalnie albo powoduje, że tracę samokontrolę. Koncepcja eudajmonii pozwala rozwijać się w różnych kierunkach, nie wyznacza jednej drogi dla wszystkich. W zasadzie całe nasze życie jest poszukiwaniem naszej indywidualnej ścieżki rozwoju, w przypadku niektórych osób bardziej lub mniej krętej.

Co jeszcze sprzyja rozwojowi?

Potrzebne są w nim wszystkie cnoty: intelektualne, etyczne, cnoty siły woli, cnoty obywatelskie. One są ze sobą silnie powiązane. Np. zdolność skupienia uwagi – jest cnotą intelektualną i cnotą siły woli. Albo moja ulubiona, którą bardzo chciałabym w sobie doskonalić: skromność poznawcza, czyli świadomość ograniczenia swoich kompetencji i wiedzy, chęć uczenia się, sprawdzania faktów i otwartość na inne perspektywy. Ona też łączy się z cnotami etycznymi, kluczowymi dla relacji międzysobowych. © Rozmawiał PIOTR SIKORA

TOMASZ

Stawiszyński:

Drugie oblicza



SCHYŁKOWY PRL, ROK 1985, MOJE pierwsze dni w podstawówce. Mdlący zapach zupy mlecznej, przenikający nawet przez grube warstwy PCV, zmieszany z oparem pasty do podłóg. Wielkie korytarze, trzy kondygnacje, rozwrzeszczany tłum. Niebezpieczeń-

stwo na każdym kroku. Wiadomo: pierwszaki nie liczą się w żadnej hierarchii, więc kiedy nauczyciele nie patrzą, można im to boleśnie demonstrować.

Największe przerażenie budziła we mnie otchłań drugiego piętra. Kiedy się ze spokojnego pierwszopiętowego królestwa klas I-III wkraczało do tej dżungli opanowanej przez olbrzymów z VII albo VIII, ogarniało człowieka poczucie absolutnej znikomości. Najchętniej wcale bym tam nie zaglądał, ale niestety właśnie na drugim piętrze znajdował się sklepik. Pełen frykasów: gliniastych pączków oblepionych lukrem, czerstwych jagodzianek ze śladową ilością dżemu (w którym również występowała śladowa ilość jagód), pudrowych cukierków o konsystencji styropianu, twardych jak skała mlecznych draży, przesiąkniętych tłuszczem prażynek ziemniaczanych. A nade wszystko – napojów w plastikowych torebkach, które przekłuwało się słomką. Kto wiódł świadome życie w latach 80., ten z pewnością dobrze to pamięta. Syntetycznie słodki, landrynkowy płyn barwiony na wiele niepokojących, nieznanym przyrodzie kolorów, które zdecydowanie nie kojarzyły się z czymkolwiek, co mogłoby być zdatne do spożycia.

Nie jestem dziś w stanie zrozumieć, dlaczego ktokolwiek chciałby coś takiego pić, niemniej, przyznaję, kiedy byłem w pierwszej klasie podstawówki, te kolorowe torebki wydawały mi się jakimś niesamowitym przysmakiem. Lęk jednak wygrywał z pragnieniem i nawet perspektywa zakupu tego osobliwego dekoktu nie była w stanie skłonić mnie do samodzielnego zapuszczenia się w mroki drugiego piętra. Szczęśliwie, okazało się któregoś dnia, że kolega z klasy – nazwijmy go na potrzeby tego felietonu Maksencjuszem (jak mawiał inny kolega z tej samej szkoły: kto ma wiedzieć, ten wie) – radzi sobie w tej matni niczym spec od survivalu w dzikiej kniei. I gotów jest – z koleżeńską sympatią, ma się rozumieć – przeprowadzić mnie przez nią wprost do wytęsknionego wodopoju.

Wiadomo, takiej szansy nie mogłem przegapić. I w ten sposób zaczęła się moja pierwsza poważna szkolna przyjaźń. Dzień w dzień, w towarzystwie zawsze pewnego siebie i śmiało kroczącego naprzód Maksencjusza przemierzałem ostępy drugiego piętra z coraz większą odwagą. Z czasem zaczęły uwy-

rażniać się przed moimi oczami poszczególne składniki krajobrazu, powoli przestawał się on jawić jako amorficzna, zagrażająca magma. Po miesiącu-dwóch nauczyłem się na pamięć trasy, nie reagowałem już tak impulsywnie na przebiegających obok siódmo- i ósmoklasistów, a nawet wypracowałem jakiś protokół – przyznaję: zwrócenie się „do pani” po pomoc – na sytuację, kiedy któryś z nich postanowiłby mi zniecka dokuczyć. Maksencjusz patrzył na mój progres – miałem wrażenie – z zadowoleniem i dumą.

Ale, jak się okazało, do czasu.

W szczególności, do chwili, kiedy oznajmiłem – uświadomiony w tym względzie przez mamę, której opisałem pewnego dnia szczegóły mojej umowy z Maksencjuszem – że od-tąd chętnie będę z nim chodził do sklepiku, ale napój w torebce i pączka będzie musiał kupować sobie za własne pieniądze. Istotnym punktem naszego układu, o czym jeszcze nie wspominałem, była bowiem ustanowiona przez Maksencjusza zależność: on prowadzi mnie do sklepiku, ale to ja płacę za jego napój i pączka (względnie prażynki lub draże). No więc kiedy oznajmiłem mu, że ten schemat kończymy, bo przecież on też dostaje kieszonkowe na sklepikowe pyszności, i nie ma żadnego powodu, żebym to ja za niego płacił – wydarzyło się coś dla mnie wówczas zupełnie nieprzewidzianego i niezrozumiałego. Zamiast przyjąć do wiadomości owo *dictum* – wszak nie było w nim nic zdrożnego, przyznacie – mój świeżo upieczony przyjaciel najpierw poczerwieniał, potem odwrócił się na pięcie, a następnie... odszedł energicznym krokiem, rzuciwszy uprzednio przez ramię słowa, które do dziś brzmią mi w uszach: „No to nie jesteś już moim kolegą!”.

Faktycznie, z tą chwilą przestałem być kolegą Maksencjusza, który zaczął zachowywać się wobec mnie w sposób wyjątkowo, mówiąc delikatnie, nieprzychylny. Rzucił pod moim adresem najrozmaitsze oskarżenia, nastawiał przeciwko mnie resztę klasy, przedrzeźniał, przezywał, przeklinał i w ogóle reagował na moją obecność intensywną agresją. Cała nasza wielka przyjaźń dosłownie wyparowała, na jej miejscu pojawiła się głęboka antypatia.

Jaki z tego morał? Dopóki robiłem dokładnie to, czego Maksencjusz ode mnie oczekiwał, dopóty udawał świetnego kompana. Był życzliwy, troskliwy, sympatyczny, pomocny, grzeczny i uczynny. Kiedy jednak jego pozycja w naszym układzie się zmieniła, kiedy jego oczekiwania natrafiły na granicę – odskończyło się jakieś jego zupełnie dotąd niewidoczne oblicze.

Dlaczego opowiadam o tym właśnie teraz? Abstrahując od jej uniwersalnego wymiaru, historia z Maksencjuszem przypomina mi się ostatnio w kontekście niektórych wydarzeń w polskim życiu politycznym.

Dostrzegają Państwo analogię? Jestem pewien, że tak. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności”, „Reguła na czas chaosu” i „Powrotu fatum”.

